O ZMIERZCHU

TEGOŻ AUTORA.

	Rb.	k.
Chłopi. Powieść współczesna. I. Jesień. II. Zima. III. Wiosna. IV. Lato	6	—
Fermenty. Powieść. Wyd. II. 2 t.	2	—
Komedyantka. Powieść. Wyd. III.	1	50
Lili. Żałosna idylla, z ilustr. T. Jaroszyńskiego .	1	—
Marzyciel. Szkic powieściowy. Senne dzieje. — W pruskiej szkole	1	60
Przed świtem. Pewnego dnia. Sprawiedliwie . .	1	20
Spotkanie. Szkice i obrazki. Wyd. II. . . . . Treść: Cień. — Oko w oko. — Franek. — Suka. — Szczęśliwi. — Śmierć. — Zawierucha. — Tomek Baran. — Z wrażeń włoskich.	1	50
Ziemia obiecana. Powieść. Wyd. II. 2 t.	2	40
Z ziemi chełmskiej. Wrażenia i notatki. Wyd. II.	—	50

WŁADYSŁAW ST. REYMONT

□□□

O ZMIERZCHU

Z PAMIĘTNIKA — W JESIENNĄ NOC — W POREBIE — PRZY ROBOCIE — WENUS — LEGENDA WIGILIJNA — W GŁĘBIACH — □ □ □ DWIE WIOSNY □ □ □

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1911

Wyp. 02

54348

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku
FUW0255005

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

K-205/75/54348 p

O ZMIERZCHU

Sokół leżał umierający.

Wiele, wiele dni już tak przeleżał.

Zachorował, więc go rzucono, jak niepotrzebny kawał ścierwa.

Dobrzy ludzie nie kazali go dobijać, pomimo iż skórę miał bardzo piękną.

Dobrzy ludzie pozwolili mu zdychać zwolna, w samotności i zapomnieniu. —

Dobrzy ludzie tylko czasem go kopali, aby mu przypomnieć, że kona za długo.

A poza tem nikt się nim już nie zajmował.

Czasami odwiedzały go psy myśliwskie, z którymi kiedyś gonił »par force«.

Ale psy mają dusze spodlone życiem z ludźmi, więc na każdy głos panów uciekały od niego, — pozostawał tylko dłużej Łapa, stary i ślepy wyżeł, towarzysz najdawniejszy, ale ten drzemał pod żłobem, bo go nudził ten chory koń i przestraszały jego ogromne oczy, pływające we łzach, oczy żebrzące o ratunek, oczy przesmutne —

Sokół pozostawał sam.

Odwiedzały go tylko dnie; przychodziły rożowo-złote, upojone żarem, rozśpiewane weselem i lizały ciepłymi językami promieni jego bok zraniony; przychodziły i szare, smutne o zielonych twarzach, po których deszcz spływał; przychodziły srogie, o bolesnych, zimnych, uwitych z wichrów i chmur głowach; przychodziły smutne, rozjątrzone i napełniały stajnię płaczem — a każdy długo patrzał w jego oczy — a każdy odchodził cicho, jakby z trwogą.

Sokół bał się tylko nocy.

Czerwcowych nocy, krótkich, a tak dusznych, tak okropnie cichych, tak pełnych strasznych niepokojów tajemnic i trwogi — czerwcowych nocy.

W takie noce wiedział, że umiera, szalał ze strachu, zrywał się z łańcuchów, rozbijał kopytami ściany, chciał uciekać, uciekać —

Pewnego dnia, po południu, zerwał się na nogi, długo patrzył w smugi słońca, które się lały przez szpary ścian i zaczął rżeć długo, żałośnie —

Żaden głos mu nie odpowiedział w tej ciężkiej i sennej ciszy upalnego dnia.

Jaskółki przelatywały ze świergotem, szczebiotały po gniazdach, uwieszały się ścian, to jak strzały pierzaste przecinały złote roje much, brzęczących w świetlistych pasach.

A od łąk dalekich, dalekich — drgał ostry, bolesny brzęk kos.

A od pól, od morza zbóż, od morza kwiatów płynęły słoneczne chrzęsty.

Tylko tutaj, dokoła niego, leżało bezmierne, przerażające milczenie — —

Zadrżał, bo jakiś głuchy, oddalony tętent, rozległ się w głębi, zbliżał się coraz bardziej, i coraz straszniej huczał w pustej stajni! — — —

Ciemna, ohydna trwoga wgryzła mu się w serce, rzucił się oszalały, zerwał łańcuch i wybiegł na dziedziniec.

Oślepiło go słońce, a ból dziki rozrywał mu pazurami wnętrzności, że stał długo ze spuszczoną głową nieprzytomny. Aże ochłonął nieco i zwolna, zwolna budziły się w nim jakieś przypomnienia, jakieś niejasne zarysy pól, łąk i lasów; wstawała w nim niezmożona tęsknota ucieczki, tęsknota przestrzeni, tęsknota życia.

Kierowany tym głuchym instynktem, zaczął szukać wyjścia.

Obszedł czworobok podwórza, z trzech stron otoczony budynkami — ale wyjścia nie było, powracał znowu, szukał niestrudzenie, aż trafił na drewniane sztachety, poza któremi stał dwór.

Patrzył na wielkie trawniki, w których spały psy, na olbrzymie bukiety róż, kwitnących w pośrodku, na dwór, błyszczący w słońcu oknami...

I rżał cicho, prosząc... żałośnie.

Cierpiał coraz srożej, niepokój nim władnął, strach nim rzucał, ból go szarpał.

Więc choć słaniał się na nogach, chociaż każdy ruch sprawiał mu nieopisaną mękę, chociaż krew ciekła strumieniami z podrażnionej rany, szukał znowu wyjścia i znowu stawał, kładł głowę między sztachety i krwawemi oczami patrzał na dwór.

Jednego słowa dobrego, jednej pieszczoty ludzkiej łaknął, a byłby położył się i skonał.

Pusto było dokoła, cicho i sennie.

Zaczął rozpaczliwie gryźć drzewo, szarpać zębami bramę, łamać sobą, wyrywać, aż się otworzyła, że przeszedł i poszedł prosto do ganku.

Nikt nie usłyszał jego rżeń żałosnych, stał długo, patrzał na przysłonięte okna, próbował wejść na schody, obchodził dwór ze wszystkich stron.

A potem jakby nagle zapomniał o wszystkiem, zobaczywszy wolną przestrzeń przed sobą, roztocze zbóż i pól.

Potykał się, słaniał, a szedł niezmordowanie zahypnotyzowany ogromem przestrzeni.

* * *

Wiosna śpiewała wszystkimi rytmami potęgi.

Wyrosłe zboża falowały płowymi kłosami, szumiały jak morze po żwirach wybrzeży i jak morze kołysały się w monotonnym rytmie. Skowronki wisiały w czystem powietrzu i dzwoniły srebrnymi hymnami. Zapachy gryk, koniczyn, zbóż — tęczowemi falami kołysały się nad ziemią. A niżej tuż

przy ziemi, w trawach, kwiatach, w puszczach żytnich, śpiewał swój hymn wesela ocean stworzeń wszelkich. Wiatr miękki, ciepły, pieszczotliwy tarzał się po ziemi, otwierał kwiaty, pławił się w wodach, kołysał na młodych pękach wierzb, przewalał się w tumanach pyłów kwiatowych, huczał wesoło po lasach i dorzucał swój słodki, fletowy głos do ogólnej harmonii.

Przyroda śpiewała wszystkimi głosami, ogromną, przepotężną pieśń wesela, upojenia, życia.

A od łąk tylko dochodziły zgrzytliwe, ostre, bolesne brzęki kos.

Sokół zadrżał, przebudził go z upojenia ból, straszny, dziki ból, aż mu sierść się zjeżyła, a oczy pokryły białawą mgłą męki; dyszał ciężko, lizał trawy, chłodził nozdrza rozpalone gorączką, pić mu się chciało, a pchał go naprzód ten sam strach ciemny, ta sama niezmożona tęsknota ucieczki.

Szedł przez zboża, tylko coraz ciężej, coraz wolniej, coraz senniej — potykał się o zagony, trawy oplątywały mu nogi i ciągnęły, krzaki zagradzały przejścia, ziemia zapadała się pod nim, czasem zboża zasłaniały świat.

Jego biedna, ślepa dusza zapadała coraz głębiej w noc pełną grozy i strachu.

Nic już nie poznawał, wszystko go przerażało, szedł jak w tumanie, oślepły, nieprzytomy, oszalały trwogą.

Kuropatwa, która wiodła młode, wyrwała mu

się z pod nóg z takim krzykiem, że uskoczył w bok i potem długo patrzył po zbożach i ruszyć się nie śmiał.

To zające trwożyły go śmiertelnie, że uciekał oślepły ze strachu.

To wrony przebiegały cichym lotem nad zbożami, ale gdy go spostrzegły, usiadły na gruszy i krakały długo i złowrogo —

A on drżał cały, jego aksamitną białą skórę przebiegały śmiertelne dreszcze.

Wydostał się wreszcie na łąki i śmiertelnie zmęczony upadł pod ścianą żyta, wyciągnął nogi, głowę przytulił do traw i wpatrzony w pustynię nieba jęczał żałośnie, jęczał litości —

Wrony sfrunęły z drzew, podskakiwały wśród traw, i były coraz bliżej, bliżej... bliżej...

Zboża przechylały się nad nim i patrzyły czerwonemi oczami maków i zgniłemi, przerażającemi oczami rumianków.

Wrony były coraz bliżej; ostrzyły dzioby o kretowiska, szły rozsypane, zabiegały ze wszystkich stron, podskakiwały z pazurami gotowymi do darcia, to przelatywały nad nim z cichym, łupieżczym krzykiem, a tak nizko, że widział ich straszne, okrągłe oczy i zakrzywione dzióby wpół otwarte.

Ale nie mógł uciekać, zaczął majaczyć w przedśmiertnej gorączce.

Zrywał się, bo mu się wydało, że poczuł ludzką rękę na szyi... wyciągnął język i lizał jakby czyjąś

dłoń... wyprężył się... ktoś go głaskał pieszczotliwie... zaczął niecierpliwie bić nogami... zdało mu się, że idzie... że jest w polu... strzygł uszami... psy grają... wie co to znaczy... rusza z miejsca... pędzi już... wyciąga się jak struna... dotyka brzuchem ziemi... ani płoty, ani rowy go nie powstrzymają... z wichrami w zawody... dalej... szybciej... prędzej... Uczuł ostrogi w boku... wytęża wszystkie siły... Rży cicho... ta szalona rozkosz biegu ze wszystkich sił... za psami, które grają coraz ciszej... coraz dalej... coraz niewyraźniej...

Ból nim szarpał tak straszny, aż zaskowyczał dziko i porwał się na nogi.

Wrony z krzykiem odleciały.

A on nic już nie poznawał, nic nie rozumiał, patrzał tylko z przerażeniem, że wszystko się chwieje, porusza, zapada... Łąka biegła ku niemu szybko, szybko... Odskoczył kilka kroków, ale tutaj znów zboże biegło ogromną falą, zapadało, wznosiło i szło, szło wciąż z krzykiem głuchym...

Uciekał przed siebie... las stał przed nim, ogromny, czarny, straszny, zginał się, pochylał wolno, groźnie... jeszcze chwila, a runą na niego olbrzymy i zdruzgoczą.

Ogarnęło go szaleństwo, uciekł w łąki, bo usłyszał dalekie głosy ludzkie, biegł ku nim, ale coraz wolniej, bo zapadał w bagna i moczary, bo zagradzały mu drogę rowy głębokie, bo przerażały go

wody rdzawe, zgniłe, pełne błota i żab, które rechotały głucho, posępnie...

A potem zagrodziła mu drogę rzeka, już nie miał sił, upadł nad brzegiem i zapomniał o wszystkiem.

Już się nie bronił nawet od much. Już nie uciekał, nie zrywał się, nie szamotał, tylko położył łeb i jęczał z bólu. Dygotał tylko w sobie ohydnem, niewypowiedzianem drganiem strachu.

* * *

Słońce zaszło, szary, ciężki zmierzch rozlewał się zwolna, szedł od lasów, czaił się pod krzewami, czołgał wśród zbóż i powiewał nad łąkami zgrzebną, wilgotną płachtą mgieł.

Ostatnie blaski, niby konające spojrzenia, drgały trwożnie, czepiały się barw, lśniły na liściach, lizały wody, przebiegały w przestrzeń i konały, rozszarpane przez zmierzch.

Stała się przerażająca cisza letniego wieczoru. Cisza pełna grozy stłumionych jęków, aromatów śmiertelnych, zduszonych krzyków, walki i mordu w przyrodzie.

Zmierzch zapanował, kontury nocy przepadły, barwy rozlały się w szarości brudnej, w mrokach przerażających.

Widma wszystkiego kołysały swoje potworne a nierozeznane kształty nad ziemią.

Sokół rzucił się nagle ostatnim, rozpaczliwym ruchem, potem, przypadł na przednie nogi i oczami rozszerzonemi przez obłęd, patrzył w zmierzch; tam, gdzieś, daleko, w mrokach, galopowało straszne widmo śmierci; — świecący białością szkielet konia olbrzymiego. — Szkielet wyłaniał się z mroków, słychać było głuche tętenty i ginął na chwilę, i zjawiał się znowu, coraz bliżej, a pomiędzy jego żebrami, tysiące wron kłębiło się z dzikim krzykiem i wysuwało ostre dzioby, a na nagiej, długiej czaszce, siedział olbrzymi kruk, chwiał się, łopotał czarnemi skrzydłami i krakał złowieszczo.

Sokół rżał ostatkami sił, jęczał, gryzł ziemię, rozpłaszczał się ze strachu, wył dziko, a widmo było coraz bliżej, bliżej.

Z daleka odezwał się głos psa.

To Łapa przybiegł do przyjaciela, ale Sokół już go nie poznał.

Pies lizał go, szarpał, szczekał, potem jakby zaczął wołać ludzi, wybiegał w łąki, powracał drapał ziemię, wył o ratunek.

A Sokół przewrócił się na wznak i konał.

Trawy cicho zaglądały mu do otwartych oczów, drzewa przybliżały się bliżej i wyciągały ostre, strzępiaste pazury gałęzi, łąka szumiała złowrogo, ptaki pomilkły, woda przycichła w bełkocie, tysiące robactwa czołgało się do niego, tysiące szczęk, ssawek, nóg, wyciągało się ku niemu; cała żywa, tryumfująca przyroda, z zapartym oddechem, w tumanie

zmierzchu przyglądała się oczami gwiazd — tylko tętent był coraz wyraźniejszy, krakanie wron coraz straszniejsze, a widmo coraz bliżej, bliżej.

Pies najeżył sierść ze strachu, zaskowyczał dziko i począł wyć długo, strasznie, rozpaczliwie

Z PAMIĘTNIKA

. . . . . .
. . . . . .
strasznie lubię stawiać kropki . . . . . .
. . . . . .
Nareszcie jestem już narzeczoną! . . . . . .
. . . . . .
. . . . . ale dosyć tej zabawy! To coś okropnego, jak ja lubię kropki. Muszę napisać list do *Kuryera* i spytać się, co to znaczy? Oni muszą wiedzieć, bo na wszystko odpowiadają. W przeszłym roku »Ma« się zapytywała o cudowne miejsca: wymienili wszystkie na całym świecie; a potem »Pa« zapytywał, czy my jesteśmy szlachtą i jakiego herbu? Zaraz odpowiedzieli i wymienili z dziesięć herbów! »Pa« chodził potem do specyalisty radzić się, jaki wybrać na bilety wizytowe!...

Naprawdę mam narzeczonego i to już najzupełniej urzędownie, bo z »Ma« i »Pa«, z ciotkami i wujaszkami, z tortem, z piramidą i błogosławieństwem, i brylantowym pierścionkiem na palcu...

A od cioci Hortensyi dostałam brylantowe kolczyki, zaraz się w nie ubrałam i siadłam wprost

lustra, a trochę z boku lampy, tak się cudownie skrzyły, aż p. Henryk chciał mnie w ucho po...

To on właśnie jest moim narzeczonym.

»Pa« nie chciał się zgodzić, bo p. Henryk jeszcze nie skończył uniwersytetu.

Także powód!

Kto może być już na piątym kursie medycyny, ten chyba i mężem być potrafi!...

Feministką nie jestem i starą panną zostać nie myślę — powiedziałam to »Pa« wyraźnie.

A on mówi, że mam jeszcze czas... pewnie, ale także mam już dosyć tych tańcujących herbatek z uczniakami z szóstej klasy!

Chciałabym już bywać na prawdziwych balach i tańczyć z prawdziwymi mężczyznami!

A nawet mi już wstyd, że rok, jak skończyłam pensyę i nawet ani razu nie byłam narzeczoną, to coś okropnego!

A tyle moich koleżanek już wyszło zamąż! a jedna to nawet umarła!...

»Pa« nie chciał się zgodzić na p. Henryka!

Dopiero, jak »Ma« dowiedziała się, że p. Henryk ma trzy bogate ciotki, to »Pa« trochę zmiękł i powiada:

— Zobaczymy, psiakość nóżki baranie! Hipoteka to zwierciadło! A ciotki bez hipoteki to — nie tędy droga szanowny panie Henryku!...

Spłakałam się strasznie i tak się modliłam, żeby te ciotki były z hipoteką!... i zaraz nazajutrz »Pa«

sprawdził, że wszystkie trzy mają domy i prócz pana Henryka żadnych sukcesorów!...

»Ma« dała z radości na mszę, a ja suknię i zimowy kaftanik córce stróża naszego, jeszcze zupełnie dobre.

A wieczorem przy kolacyi »Pa« powiada:

— I student kochać się może, ale tylko porządnemu człowiekowi wolno się żenić, a ten twój świszczypała jest niezłym materyałem na porządnego człowieka...

I zaraz się zgodził!

Straszni materyaliści ci mężczyźni, jak mówi »Ma«.

Ja tam o majątek nie dbam!

Nigdy mnie to nie obchodziło! Dobrze jeszcze pamiętam te mądre zdania z wzorów do kaligrafii: »Praca uszlachetnia i zbogaca, a pieniądz gubi«, albo to: »wytrwałością i pracą dobijesz się celu«...

To bardzo mądre... tylko trochę tego nie rozumiem, że praca zbogaca... zdawało mi się, że to pieniądz zbogaca... mniejsza z tem.

Nic mnie nie obchodzi, czy p. Henryk biedny, czy bogaty, bo ja go i tak k....., a że chciałabym ładnie mieszkąć, bywać i jeździć własnym powozem, to chyba zupełnie naturalne, bo mam już dosyć tramwajów i jednokonek!...

Ciocia także była przeciwną, tłómaczyła ciągle »Ma« i »Pa«, że p. Henryk, to żadna partya!

BIBLIOTEKA

Doktór, mający trzy ciotki z hipotekami, jest złą partyą!!

Obrzydliwe są te wdowy z pretensyami!...

Oho! mnie oczów nie zamydli, dobrze widziałam, jak przewracała do niego białkami... a tak się wciąż pudrowała i perfumowała, że aż Stokrotki uciekały od niej... i... wiem na pewno, że... że staniki i suknie ma strasznie watowane...

Rano to nigdy nikogo nie wpuszcza do swojego pokoju, ale raz... naprawdę nienaumyślnie... zobaczyłam ją, jak się ubierała...

Jezus! wyglądała, jak pikowany materac!... to coś okropnego!...

A mizdrzyła się do niego, że aż się słabo robiło!

Myśmy się tylko śmiali z p. Henrykiem!

Nie, ja nie obgaduję nikogo, nie lubię plotek, a przytem to siostra »Ma«... ale naprawdę, to zgroza, żeby w tym wieku... i jeszcze...

. . . . . .

»Stokrotek« porwał mi pudełko z czekoladkami i uciekł pod kanapę... zbiłam go jak psa, ale czekoladki już na nic.

. . . . . .

Późno wieczorem. Aż tutaj słychać beczenie Zdzisia... ale dobrze mu tak, żeby nie pan Henryk, to sama jeszczebym co dołożyła...

Taki niegodziwy chłopak, że to coś okropnego.

Pan Henryk wieczorem, bo to dzisiaj sobota,

i po kolacyi, prosił mnie, abym co zagrała; poszliśmy do saloniku i, jak zwykle, przymknęłam drzwi od jadalnego, żeby muzyką nie przeszkadzać »Pa«, bo czytał *Kuryera*... i... ledwieśmy zaczęli szukać nut... a tu z pod kanapy ktoś krzyczy:

. . . . . .

— »Hala, nie całuj się z panem Henrykiem, bo zaraz powiem mamie«...

To coś okropnego, żeby nawet nut poszukać nie można bez kontroli!

Dostał porządną frycówkę od »Pa«, ale popsuł nam wieczór, bo pan Henryk był zmieszany, powiedział, że go głowa boli i poszedł z »Pa« na piwo...

Nie, żeby się tak zdetonować zaraz... tego naprawdę nie rozumiem.

A ta słodziuchna ciotuchna powiada, jak tylko wyszli:

— »Można i tak — ale to rzadko kończy się ślubem«.

To jędza dopiero, co?

A sama to miała trzech mężów i pięciu narzeczonych, to pewnie się z nimi nie całowała nigdy? Aha, może Zdziś w to uwierzy, ale nie ja.

Ja wiem, to wszystko mówi przez zazdrość i że nie chciałam iść za jej protegowanego pana Guzikiewicza!...

Także partya!

Podobno jeszcze młody! wolę nie sprawdzać,

ale za to łysy i jak chodzi, to mu się nogi składają w jedenastkę i czasem tak zabawnie wyskakują! A do tego ma fabrykę drutów! No, żeby chociaż szyn!

Potem toby mnie nazywali druciarką!

Nie chcę, niechaj sobie uszczęśliwia inną swojemi drutami i nóżkami!

Ale co kwiatów i cukierków miałam od niego!

Naprawdę, ale róże to sprowadzał z Nizzy. »Pa« mówił, że każdy transport kosztuje kilkanaście rubli!

A na Boże Narodzenie, to mi przysłał brylanty!... jak włoskie orzechy takie ogromne, a jakie cudne! To coś okropnego — »Ma« kazała mi je zaraz odesłać z powrotem...

Tak mi było żal... tak żal, że okropnie się zbeczałam, no bo »Ma« nie pozwoliła mi się w nie ubrać nawet do teatru...

Przecieżby ich nie ubyło!

Przymierzyłam je tylko ukradkiem...

Szkoda że...

Ale ja i tak, chociaż mi nie daje brylantów kocham pana Henryka!

Co prawda, to te jego bilety do teatru, kwiatki, nuty, książki, to mi się już porządnie sprzykrzyły

. . . . . .

11-go marca. Oho! Zdziś znowu płacze! Co ten chłopak wyprawia, to coś okropnego!

Pan Henryk bywa u nas na obiadach, w czwartki, soboty i niedziele. »Ma« mówi, że nie wypada zapraszać go częściej, bo i tak codziennie bywa wieczorem na herbacie.

Dzisiaj po obiedzie wlazł panu Henrykowi na kolana i mówi:

— »Niech pan zawsze przychodzi na obiady, bo jak pan jest, to mama daje leguminę«.

Myślałam, że się spalę ze wstydu; »Ma« też się zmieszała okropnie, tylko »Pa« się śmiał..

Ja nie wiem, co w tem śmiesznego, nie wiem..

. . . . . .

Później. Miałyśmy z »Ma« iść do magazynów, bo chociaż ślub ma być jesienią dopiero, ale już czas szykować wyprawę, a »Ma« mi mówi:

— Kupimy wyprawę w Wiedniu, nic nie mów o tem nikomu.

— Pojedziemy do Wiednia?

— Będziemy tam przejazdem.

— Przejazdem, dokąd?

— Do Włoch! Tylko ani słowa nikomu.

Ubrała się i wyszła.

Pojedziemy do Włoch! ja pojadę do Włoch, będę miała wyprawę z Wiednia!

Nie, to wprost niemożebne, nie mogę temu uwierzyć. »Pa« stanowczo się nie zgodzi, chociaż »Ma« zawsze umie go przekonać...

Ale do Włoch!...

Zeby tylko »Pa« nie chciał kosztów odbić na mojej wyprawie.

Oho, nie pozwolę się skrzywdzić!

Ktoś dzwoni i »Stokrotki« nie szczekają, to pewnie p. Henryk!

Jak to dobrze, że »Ma« jeszcze nie przyszła...

. . . . . .

W nocy. Pan Henryk poszedł trochę wcześniej, bo ma dyżur w szpitalu...

Tak mówił. Wierzę mu, ale bo to wiadomo, co ci mężczyźni robią poza domem?

Był już w tym nowym płaszczu z peleryną i z bobrowym kołnierzem.

Bardzo mu w nim ładnie, bardzo, a tak nie chciał go kupić.

Ale postawiłam na swojem. Powiedziałam mu ostro, że dopóki będzie chodził w tym studenckim szynelu, nie pójdę z nim nigdzie...

Siedzieliśmy w saloniku sami i było nam strasznie dobrze... ogromnie mocny, aż mnie boki bolą i usta tak pieką...

Grałam mu trochę i rozmawialiśmy, jak się urządzimy.

Tak mi jakoś dziwnie duszno i gorąco!...

On chce do salonu ciemne obicia i meble! Także gust! Ciekawam, gdzie to widział? bo na całym świecie, we wszystkich salonach dają się jasne meble i obicia — o i od tego nie odstąpię.

Później to muszę mu powiedzieć... że ta jego broda kłuje, teraz cała twarz mnie pali.

Straszną ochotę miałam, aby mu powiedzieć, że jedziemy do Włoch.

Coś mi jest dziwnego... takbym całowała i ściskała, że to coś okropnego.

Nie. »Pa« nie zgodzi się na Włochy, bo trzeba będzie dom na wiosnę odnowić, już komisarz nie daje o to spokoju.

Tak mi jest smutno, takbym czegoś płakała... a ten niegodziwy Zdziś wyjadł mi wszystkie czekoladki.

Włochy i wyprawa z Wiednia, nie, popękają z zazdrości.

Pójdę do kuchni do Rozalii, bo już nie mogę sama wysiedzieć.

. . . . . .

12 marca.

Taki śnieg, że nic nie widać przez szyby.

A ja się tak nudzę strasznie, że już wytrzymać nie mogę. Pan Henryk dzisiaj nie przyjdzie, napisał że musi siedzieć przy chorej ciotce.

Ciekawam, co ważniejsze, czy jakaś tam ciotka, czy też narzeczona?

Ale »Pa« powiedział, że skoro ciotka chora, to on nie powinien jej zostawiać samej ani chwili.

Rozumiem, ale kiedy ja się tak sama nudzę.

. . . . . .

Wieczorem. Rozalia opowiedziała mi o tych lokatorach z pierwszego piętra, Bańkowskich! że wczoraj pani odprawiła bonę Niemkę dla tego, że nosi szlafroczki i fryzuje się tak samo, jak jej córka najstarsza.

Co? także pretensya! stolarze zbogaceni! a ciągle wyprawiają awantury to o piwnice, to o górę, to im się ciągle piece źle palą!

Jabym dwudziestu czterech godzin nie trzymała takich lokatorów.

Heblowa arystokracya, a ona to się ubiera u Hersego! Fasa obrzydliwa, a już o wiorstę czuć ich wióra! I to tak się stawia, że nam się już nie kłaniają, od czasu, jak się z »Ma« pokłócili o »Stokrotki«.

Że ją ugryzł w nogę, czy gdzieś tam, to wielka obraza!

Naprawdę, ale nie warto zajmować się jakiemiś tam lokatorami.

Dostałam list od Józi, to moja koleżanka, która wyszła za mąż na prowincyę, winszuje mi zaręczyn.

Tak, prawda, ja jestem narzeczoną i mam narzeczonego.

Nie mogę czasem w to uwierzyć, a czasem to mi się zdaje, że to tak już było zawsze, zawsze.

Muszę napisać, jak się to stało.

Ale ja się małżeństwa nie boję, ocho, przy ślubie nie będę płakała.

To było jeszcze jesienią, w listopadzie.

Siedziałam w saloniku ze »Stokrotkami« i wyglądałam na ulicę i strasznie się nudziłam, bo to okropnie nudne być panną na wydaniu. A do »Ma« przyszła jakaś stara pani i rozmawiały w jadalnym — nie podsłuchiwałam, nie, zajrzałam tylko cichutko, czy »Ma« nie przyjmuje jej czekoladą.

Bo ja okropnie lubię czekoladę i usłyszałam, że ta pani mówi o jakimś młodym mężczyźnie, i czy on może u nas bywać.

Uciekłam od drzwi, bo robiło mi się strasznie gorąco, a potem tak się zbeczałam, że aż »Stokrotki« skomlały.

A wieczorem przyszła »Ma« do mojego pokoju i mówi:

— Hala, jesteś dorosłą panną!

— Ja wiem, że jestem dorosłą, a długiej sukienki to mi »Ma« jeszcze nie daje.

— Jesteś dorosłą, dostaniesz długą sukienkę, no i pewnie pójdziesz kiedyś za mąż.

Rzuciłam się »Ma« na szyję, bo ją bardzo, bardzo kocham i nigdybym się z nią nie chciała rozstawać, ale i krótkie sukienki, to też mnie trochę wstydzą.

A wyjście za mąż, to ważna chwila w życiu kobiety-chrześcijanki!

— Ja wiem i... strasznie jestem ciekawa tej chwili.

— Ale z góry wiedz i pamiętaj, że nawet najlepszy mąż jest jeszcze najgorszym!

»Pa«, który przyszedł później, jak to usłyszał, trzaskał drzwiami i wyniósł się do resursy.

I długo »Ma« mówiła o świętości małżeństwa, o cnocie, o obowiązkach i t. p. dyrdymałki, które ja już dawno umiem na pamięć, bo i ciocia to samo umie mówić, przy każdej sposobności!

Już od tych mądrości uszy mnie bolą!

Ale com się »Ma« naprosiła, żeby mi powiedziała, kto to chce się starać o mnie; nie powiedziała.

— Dowiesz się w niedzielę.

Naprawdę, ale umierałam z ciekawości, nie mogłam jeść nawet czekoladek i ciągle mi się chciało płakać.

A to był pan Henryk!

Myślałam, że to będzie ktoś zupełnie obcy!

O, bo ja pana Henryka znałam dawno, jeszcze z czasów pensyonarskich.

Teraz, kiedy jest już moim narzeczonym, to przecież mogę się przyznać!

Jeszcze na wiosnę przysłał mi cały pęk róż, ale »Ma« się rozgniewała i kazała je odnieść do kościoła.

A poznałam go u Naci, bo to kolega jej brata. Prześlicznie tańczy, tylko włosy nosił za długie i tak się źle ubierał... i strasznie ciągle wymyślał na bogatą burżuazyę.

Nacia powiedziała mi w tajemnicy, że on jest soc... no, nie mogę więcej napisać...

Bałam się go, bo dobrze pamiętam, co »Ma« i »Pa« mówili nieraz z księdzem Tolem o tych strasznych ludziach.

Unikałam go, chociaż naprawdę bardzo mi się podobał, a on że często bywał u brata Naci, to, to... musiałam go spotykać.

Ale od urzędowego poznania, to już u nas bywał w każdą niedzielę, a czasem, jak »Pa« nie było, »Ma« zapraszała go, aby i w tygodniu przyszedł na herbatę.

Potem, w karnawale »Ma« urządziła dwa tańcujące wieczory!

Jezus, takeśmy tańczyli mazura, że to coś okropnego, aż ta Bańkowska, z pierwszego piętra, przysłała służącą, że spać nie mogą.

Powiedziałam też służącej, że jeśli pani spać nie może, to niech jedzie na spacer, to jej dobrze zrobi.

Ale »Pa« się rozgniewał na mnie i nie dał już więcej tańczyć!

Ja wiem, bał się o »najlepszego lokatora« — przecież »Pa« się pierwszy kłania nawet tym z czwartego piętra z oficyny.

To też »Ma« za ten zakaz powiedziała mu taki *pater noster*, że długo będzie pamiętał!

I »Ma« miała racyę, miała sto racyi...

Bo żeby się tak nie szanować i jeszcze dla

kogo? dla jakichś tam zbogaconych stolarzy, to coś okropnego...

Nawet panu Henrykowi się to nie podobało, widziałam, jaki zły wychodził...

I pewnie... nie dokończyć mazura ze mną!...

. . . . . .

Chodziliśmy do teatru, na ślizgawki, na spacery do Saskiego ogrodu i tak cały karnawał przeszedł.

Aż »Ma« pyta mi się kiedyś:

— Cóż, nie oświadczył ci się jeszcze?

Ciekawam, kiedy się miał oświadczyć? Przecież ani chwili nigdy nie byliśmy sami. Jak nie ciocia to »Ma«, jak nie »Ma« to ciocia, a w dodatku ten Zdziś nieznośny, że dwóch słów nie można było powiedzieć swobodnie, ani nic.

— Trzeba z tem skończyć, ja to urządzę, bo szkoda czasu... powiada »Ma«.

— I pieniędzy! — dopowiedziała ciocia.

Jakby te obiady, leguminy, ciastka wieczorem tak dużo kosztowały!

— A ja przez to prawie codzienne siedzenie wasze w nocy wyspać się nie mogę.

— To niech »Ma« nas nie pilnuje i idzie spać!

— Chciałby tego aniołek, ja wiem, nic jej nie obchodzą wydatki, bo chciałaby się tylko po kątach całować ze studentami.

Ach ta ciocia, ta ciocia!

To pudło, ten materac!

Nie, już jak ja będę miała córkę, to bez żadnej ciotki, to niema sensu!

Strasznie chciałabym mieć córeczkę... ale taką maciupcią... ot tycią... z jasnymi włoskami i niebieskiemi oczkami... codziennie inaczejbym ją ubierała... bo te chłopaczyska to mi się już sprzykrzyły.

Nawet nie wiem, poco ich przynoszą... bociany! Ha! ha! ha!

Jakże to śmieszna ta bajką!

No i »Ma« urządziła wszystko.

Zaprosiła pana Henryka w moje imieniny na obiad, bo »Pa« już przedtem upewnił się co do ciotek.

Nigdy tego dnia nie zapomnę, nigdy.

Prawie nie spałam całą noc, tylko myślałam, myślałam, jak to będzie i strasznie mi się płakać chciało.

A rano bardzo stróż froterował podłogę w saloniku i w jadalnym, a Rozalia ze stróżką i »Ma« robiły porządki.

Nie, nie mogłam się wziąć do niczego; napisałam tylko dwa meldunki, bo rewirowy przyszedł i jeden kwit na komorne...

»Ma« kupiła mi na imieniny śliczny fular na suknię, a »Pa« dał mi po cichu dwadzieścia pięć rubli, żebym sobie co kupiła.

Tak czekałam tego obiadu!

Musiałam z »Ma« iść na mszę do Karmelitów.

Ale nie mogłam się modlić, bo naprawdę, co zaczęłam czytać modlitwy, to mi się ukazywała twarz pana Henryka, a przytem tak zmarzłam!

W domu już zastałam listy od koleżanek i ogromny bukiet kwiatów, ale bez biletu.

Ubrałam się zaraz w tę nową suknię, w której raz tylko byłam w teatrze; ogromnie mi w niej dobrze.

Taka byłam czerwona, że musiałam się dobrze przypudrować.

A tak mi serce biło, że to coś okropnego...

Przyszedł zaraz po dwunastej!

Jak tylko zadzwonił i »Ma« przez dziurkę od zatrzasku zobaczyła, że to on, zabrała Zdzisia i poszła do kuchni.

Zostaliśmy tylko ze »Stokrotkami«.

I zaraz zaczął mi winszować, a potem mówił tak gorąco... tak mnie po rękach całował... że strasznie się bałam, żeby kto nie wszedł, no, i nawet jeszcze nie zdążył uklęknąć, ani całować... a »Ma« już weszła... a potem »Pa«, a potem ciocia ze Zdzisiem.

Uciekłam i tak beczałam w swoim pokoju... że aż »Ma« przyszła po mnie.

I stało się.

Przy obiedzie piliśmy wino szampańskie, upiłam się trochę, a potem siedzieliśmy już sami w saloniku i... tak mnie cało... Dziwna, ale te dawniejsze to... nie były takie jakieś straszne.

Wieczorem były jego wszystkie trzy ciotki!

Stare, poważne, ale takie wielkie damy!... Tak mi się wciąż przyglądały, że ciągle byłam ponsowa, byłyby zostały na kolacyi, ale »Stokrótki« pogryzły się z mopsem najstarszej ciotki, że ledwie ich pan Henryk rozdzielił.

Ja wiem, to Zdziś je poszczuł na siebie.

. . . . . .

W tej chwili była służąca od ciotki Ani, tej z mopsem, pytać się, czy tutaj niema pana Henryka, bo nie był już u nich od wczoraj!...

Śmieszne te ciotki. I tak od zaręczyn codziennie przychodzi służąca od którejś z ciotek z narzekaniem, że nie był już cały dzień.

Mniejsza z tem.

Otóż, jak tylko wtedy ciotki wyszły, »Pa« zabrał pana Henryka do swojego gabinetu.

Strasznie byłam zmęczona i poszłam do swojego pokoju, położyłam się na otomance, a przez drzwi wszystko było słychać, co »Pa« mówił, i — słyszałam.

Długo milczeli, musiała Rozalia przynosić im wino, bo słyszałam brzęk kieliszków. Już usypiałam, kiedy »Pa« chrząknął i powiada:

— Chciałem z panem pomówić szczerze o różnych różnościach.

Pan Henryk coś mówił, ale tak cicho, że nie słyszałam ani słowa.

— Bo, psiakość, nóżki baranie, jak się jest

młodym, to tam różne rzeczy świtają w głowie, różne mrzonki: swoboda... nędza... całość... jeszcze kieliszek, co? Wyborne, co? Mówię panu niema, jak Litewski.

Było się młodym i rozumie się młodość, ale jak się człowiek żeni, stwarza rodzinę, zostaje obywatelem, to uważa kochany pan, psiakość, nóżki baranie, powinno być ze wszystkiem basta, na czysto!

Skończy pan medycynę, weźmie się pan do praktyki, ożeni, a praca, dobrobyt, porządek, sumienność, oto są nasze ideały, co mówię, oto ideały wszystkich porządnych ludzi na świecie i lojalność... tak, lojalność, psiakość, nóżki baranie, głową muru nie przebijesz, a żyć się musi.

Uważa kochany pan, a żyć się musi — jeszcze kieliszek, co? Uważa pan, zielony tak z 70-go roku. Pyszności wino. Mam tu jeszcze niezły zapasik, to dam wam połowę na wasze gospodarstwo.

Pan Henryk dziękował, słyszałam nawet, jak się całowali.

Ja bardzo kocham »Pa«, ale nie lubię, jak mnie całuje, bo tak zawsze bucha od niego piwo.

— Więc chciałem ci tak, panie Henryku, po ojcowsku, szczerze powiedzieć. Pluń na mrzonki i głupstwa, zostaw to tym półgłówkom i oberwańcom.

Rozsądek, kochany panie, rozsądek, to fundament społeczeństwa, na tem świat stoi! i tego nam potrzeba, jak najwięcej.

Żona, dzieci, praktyka, to pole do pracy, szerokie pole do zacnej, poczciwej, obywatelskiej pracy, to ci mówię ja, Jan Gwalbert.

— Rozalia! przynieś nową butelkę...

— Więc jesteś na czysto? — zapytał.

— Ależ najzupełniej, daję panu słowo honoru.

Znowu się całowali.

A ja kiedyś tak się bałam o niego, i nieraz taka byłam zła, że zajmuje się jakiemiś głupstwami!

Rozalia przyniosła wino, a »Pa« zamknął drzwi na korytarz i cicho mówił:

— Jeszcze jedna butelka i jedno pytanie.

Nie dosłyszałam wszystkiego, a tylko to:

...grzeszki, no, co to pan wie, a ja rozumiem...

Nie wiem, co odpowiedział pan Henryk, śmiali się tylko bardzo głośno.

— Bo jak mnie widzisz, ja, Jan Gwalbert, ja mąż, ojciec i obywatel, mogę ci dopomódz, jeślibyś tego, psiakość, nóżki baranie... potrzebował... Młode winko, panie kochany, musi wyszumieć... no, co?

Ale pan Henryk energicznie się czegoś wypierał.

A potem »Pa« mówił ciszej.

— Było się młodym i wcale niczego... uważasz, panie kochany... nie jedna, psiakość, nóżki baranie, nie dwie... ho, ho i ja byłem Farysem, a jakże, a jakże, a szczególniej ostatnia Frania! Bruneta

biust, jak materace na sprężynach, wspaniała, frontowa dziewczyna... mówię ci, tak chudłem, że moja narzeczona bała się, czy suchot nie mam. Ha! ha! psiakość, nóżki baranie, ale trzeba było się rozstać i powiedzieć, że się żenię. Uważa pan kochany, to rzuciła na mnie stołkiem, co?

Smok nie kobieta, widuję ją czasem na ulicy... ale...

Nie słyszałam już więcej, bo zaraz wyszli...

To dopiero ten »Pa«, nigdybym nie przypuszczała... a wydaje się taki, że ja za niego robię meldunki...

Aha! teraz rozumiem dopiero, dlaczego »Ma« odprawiła Joasię, a »Pa« cały tydzień sypiał w swoim gabinecie.

Naprawdę, ale ci mężczyźni, to coś okropnego.

Już ja pana Henryka będę dobrze pilnowała, mnie nie oszuka, oho!

»Ma« mnie woła.

. . . . . .

15-go marca. »Ma« i »Pa« się gniewają o podróż naszą do Włoch.

Trzy dni nic nie pisałam, bo w domu takie kwasy, nie mówią ze sobą i Rozalia ściele »Pa« w gabinecie.

Ale nam za to nikt nie przeszkadza; chociaż taka korzyść.

Dzisiaj przyniósł pan Henryk próbki na całe ubranie wiosenne.

Wybrałam mu sama, bo to, co miał na sobie, strasznie mi się nie podobało.. Musiał się i ostrzydz, teraz wygląda bardzo ładnie, a jeszcze w tym płaszczu, ani podobny do dawnego.

Bardzo szykowny teraz!

. . . . . .

Muszę skończyć! Otóż, zaraz w niedzielę po oświadczynach były urzędowe zaręczyny!

Prawdziwy bal!

Muzyka — skrzypce i fortepian. Na fortepianie grała jakaś daleka nasza kuzynka, zjadła za to kolacyę i mama jej dała starą salopę. Bo to takie biedactwo!

I tyle gości, tyle gości!

Był i ksiądz Tolo i radca Malinowski z córkami! Nie cierpię ich, brzydkie, napuszone, stare i tak nosy do góry zadzierają.

Ja byłam ubrana w białą suknię, ale wysoko zapiętą, bo »Ma« nie pozwoliła mi nawet małego dekolte zrobić! Pan Henryk przyszedł we fraku, ale tak mu nie dobrze w tem, że musiał iść i przebrać się w mundur.

A potem ciotki, wujaszkowie, znajomi, koleżanki moje; zaprosiłam tylko Cesię i Nacię, bo te jeszcze jako tako się ubierają.

Tyle ludzi, że nie mogli się pomieścić w salonie.

I aż na cztery stoliki grali w karty!

Zdziś dostał nowy garniturek; stróża »Ma« ubrała w stary frak »Pa«, żeby drzwi otwierał, a lokaja wynajęła...

Naprawdę, miał taką minę, jakby gdzie u hrabiów służył.

A jaka kolacya!

Nawet ksiądz mówił do »Ma«, że nigdy podobnej nie jadł, a on przecież znać się musi na tem...

Była sarna, bażanty, ryby, lody, cukry, owoce i tak tego wszystkiego było dużo, tak »Ma« poczciwa nic nie żałowała, że na każdą osobę wypadło po całym ananasie — naprawdę, po całym ananasie.

A przed kolacyą ksiądz Tolo nas pobłogosławił i rodzice też i ciotki i tak się spłakałam, bo... potem ciotka Hortensya dała mi te kolczyki brylantowe... pan radca Malinowski miał śliczną mowę, nic nie słyszałam... patrzyłam w lustro, jak się skrzyły kolczyki...

Panowie tak pili!...

A potem tańce...

»Pa« tak się u..., że tylko chodził i śpiewał i chciał wszystkie panny całować, aż go »Ma« zabrała... Spał u lokatorów na drugiem piętrze. A Zdziś, jak się dorwał do tortu, to zjadł pół piramidy z naszemi cyframi i tak się rozchorował,

że aż pan Henryk musiał chodzić do apteki po lekarstwo.

I bawiliśmy się do dziesiątej rano.

Strasznie byłam szczęśliwa, strasznie!

A rano pan Henryk jak już odchodził... odprowadziłam go do przedpokoju... to... już nie zważał, że »Ma« stoi w drzwiach, tylko tak mnie ca...

Było ciemno, to może i nie widziała...

Naprawdę, ale zaręczyny, to znacznie przyjemniejsze, niż taki zwyczajny bal.

. . . . . .

16-go marca. Taki mróz na dworze, ale pan Henryk mówi, że i tak ślizgawki nie będzie, że zaraz puści. Szkoda, mam taki śliczny kostyum! Umyślnie na ślizgawkę »Ma« mi kupiła.

. . . . . .

Wieczorem. Jakie śmieszne są te ciotki pana Henryka!...

Siedzimy dzisiaj z nim przy obiedzie; dzwonią. Kto taki? Służąca ciotki Sylwi... i weszła do jadalnego z ogromnem futrem, pewnie jeszcze po dziadku i powiada, że pani przysyła i prosi, żeby się Henryczek ubrał na ulicę, bo dzisiaj mróz, a Henryczek wyszedł tylko w palcie.

Służące mówią mu Henryczek!

Muszę ja to wszystko zmienić.

. . . . . .

Jutro musimy z panem Henrykiem złożyć wizyty tym ciotkom.

. . . . . .

18-go marca wieczorem. Byliśmy dopiero dzisiaj, bo wczoraj padał taki deszcz, że wyjrzeć nie można było...

Ledwie żyję i tak mi jest nie dobrze, tak niedobrze, że...

. . . . . .

Byliśmy u tych sławnych ciotek!

Boże, znowu mi tak... chyba ja nie umrę! a mam tyle sukien nowych, narzeczonego, kolczyki brylantowe... toby było okropne...

Najpierw pojechaliśmy do ciotki Ani.

Zaraz, muszę sobie przypomnieć; ciotka Ania to ta z mopsami, na Kruczej; ciotka Jania z papugą, na Hożej; i ciotka Sylwia z wychowanicą, na Nowym Swiecie.

Przyjeżdżamy do ciotki Ani, dom chyba dwa razy większy od naszego, tylko na schodach czuć psami, że to coś okropnego.

Była w domu, podziękowaliśmy jej, naprawdę, nie wiem za co.

Siedziałem, jak na szpilkach. Poczęstowała nas czekoladą i biszkoptami, a ten jej okropny mops cały czas warczał na mnie i wyszczerzał zęby.

A na odchodnem ciotka powiada: Zażyjcie dzieci po pigułce homeopatycznej — taki czas wilgotny!

to zrobi dobrze. Zażyliśmy, co było robić. Już wychodzimy, a służąca niesie coś dużego w papierze.

— To dla was, moje dzieci, sama haftowałam!

Podziękowaliśmy i wyszli, ja byłam rozczulona wprost, ale pan Henryk się uśmiechał.

Pojechaliśmy na Kruczą, do ciotki Jani.

Dom drewniany, stary, ale ogromne place pod ogrodem.

To młodsza ciotka, ucałowała nas, ale nie wiele można było mówić, bo z dziesięć papug i te tak się darły, że pan Henryk musiał się z niemi witać. Poczęstowała nas czekoladą z biszkoptami!

Ogromnie miła staruszka, tylko znowu kazała nam zjeść po kawałku cukru z jakiemiś kroplami od reumatyzmu i dała jakąś dużą paczkę.

— Weźcie, dzieci, to ja, ciotka wasza, sama robiłam.

Już mi się robiło jakoś gorąco, ale pan Henryk powiada:

— Odwagi, panno Halo, jeszcze jedna, musimy odbyć tę pańszczyznę...

Ciotka Sylwia! Otworzyła nam drzwi jakaś panienka, która od razu rzuciła się na szyję panu Henrykowi!...

Tego to nie lubię... żeby...

Siedzieliśmy, a za chwilę znowu wnoszą czekoladę z biszkoptami!...

Jezus, aż mnie zamroczyło! Bo ja bardzo lubię czekoladę... ale raz dwie filiżanki, drugi raz dwie, tego już za wiele...

Ale musiałam pić, ciotka tak prosiła.

A tak mnie oglądała, że ciągle byłam w ponsach...

— Kto ci robi suknie!

Powiedziałam.

— Fuszerka i brak gustu, będziesz od dzisiaj ubierała się u mojej magazynierki!

Nie śmiałam zię odezwać.

— Kto cię czesze?

— Ja sama, a czasem »Ma« mi pomaga.

— Źle, zupełnie źle. Zdejm-no kapelusz!

Zdjęłam i aż mi się płakać chciało...

A ona zawołała służącej, zawołała też wychowanicę i do spółki mnie przeczesały, wyglądałam, że to coś okropnego, jak czupiradło... a do tego tak mi się zrobiło niedobrze... że prawie uciekłam, ale ciotka Sylwia dała mi znowu cały pakiet czegoś...

— Weź na nowe gospodarstwo. Ubieraj się, gdzie ci mówię, czesz się inaczej i niech cię Bóg ma w swojej opiece.

A potem, to pocałowała pana Henryka, i ta wychowanica całowała pana Henryka, i służąca całowała pana Henryka, i już nie wiem kto...

Ledwiem przyjechała do domu...

. . . . . .

Trochę mi przeszło.

»Ma« powiada, że to te lekarstwa ich.

Dostałam trzy poduszki haftowane na kanwie, trzy patarafki pod lampę, trzy czapeczki włóczkowe na szkło od lampy i trzy abażury.

Żebym mogła, tobym w tej chwili wyrzuciła na śmietnik...

Wprost obrzydliwe!

Ale już ja nigdy do nich nie pójdę.

To rodzinka, co?

Nawet w teatrze takich śmiesznych nie widziałam.

. . . . . .

19-go marca. Od wczoraj piekło, »Ma« nie daje spokoju... wciąż idzie szturm o Włochy...

Boże, na czem się to skończy! Muszę iść spać, późno.

Do widzenia kwitnące pomarańcze!

A jeśli nie pozwoli?...

Ale... dałaby mu »Ma« nie pozwolić!...

. . . . . .

Warszawa 20-go marca.

Jedziemy do Włoch!

Naprawdę, jak kocham »Pa« i »Ma«, jedziemy do Włoch.

Tak się tem cieszę, że wprost szaleję z radości...

Muszę iść powiedzieć o tem Naci i napisać panu Henrykowi, żeby przyszedł.

Boże, jaka ja jestem szczęśliwa!

A jeszcze przed godziną myślałam, że umrę z rozpaczy... że się otruję, naprawdę, tak myślałam... Esencya octowa jest w kredensie, a w *Kuryerku* często piszą o takich otruciach...

Ciekawam, jakbym wyglądała po śmierci w trumnie?... Ubraliby mnie w białą suknię, w welon, mnie bardzo dobrze w białym kolorze z welonem... przymierzałam suknię ślubną Józi... i w kwiatach, całe masy kwiatów... i pan Henryk w żałobie, zapłakany... »Ma« płacze, »Pa« płacze — i Zdziś i ciotka Cesia i »Stokrotki«... i księża... i znajomi... i śpiewy!...

Nie chcę, bo mi się już na płacz zbiera.

A jedziemy do Włoch.

»Pa« długo nie chciał, wykręcał się i tłómaczył, to brakiem pieniędzy, to znowu, że nie można zostawiać na Boskiej Opatrzności domu, Zdzisia, »Stokrotek« i cioci... ale, jak się »Ma« zamknęła z nim w sypialnym...

Co to było! Co to było! Sądny dzień! Piekło, rozpacz... śmierć! Straszną godzinę przeżyłam! To dziwne, że nie osiwiałam, bo podobno w takich chwilach ludzie siwieją?

Siedziałam w jadalnym, a tak się wszystko we mnie trzęsło, jak wtedy, gdy mi się miał oświadczyć pan Henryk...

Jak on był wtedy śliczny! jak cudownie mówił: Henio Halę kocha, kocha na śmierć, kocha na całą wieczność!

Tak to lubię, że musi mi to powtarzać codziennie...

Z pewnością, ale żadnej pannie nikt się jeszcze tak cudownie nie oświadczał!

Siedziałam cichutko! »Stokrotki« wlazły mi na kolana, i tak czekaliśmy we troje w strasznej niepewności, aż tu słyszę głos »Ma«:

— Chcesz mojej śmierci tyranie, skąpcze, niegodziwcze... Morderco żony i dzieci!

Jezus! Marya! myślałam, że mi serce wyskoczy! Dobrze, że przyszła ciocia ze Zdzisiem, bo naprawdę byłabym sobie zrobiła co złego.

A potem tak płakałam! tak płakałam, że i ciocia miała łzy w oczach i Zdziś beczał, i »Stokrotki« tak żałośnie skomlały, aż Rozalia przyszła z kuchni i zawołała do sypialnego:

— Panienka umiera!

»Ma« przybiegła, a »Pa« popatrzył na mnie i uciekł, trzasnąwszy drzwiami, przyszedł dopiero na kolacyę.

Przyszedł pan Henryk i siedzieliśmy w saloniku, było trochę ciemno, to jest nie zupełnie, bo drzwi do jadalnego były uchylone...

Boże, jaki on gwałtowny!... tak się bałam, żeby »Ma« nie weszła, tak się bałam... Jeszcze mnie usta palą... a on tak mocno... tak słodko... Ma śliczne

wąsy i bardzo mu dobrze w takim płaszczu do ziemi i strasznie go ko... co miałam mówić?...

Acha, siedzimy, a »Pa« z przedpokoju już woła:

— Psiakość, nóżki baranie! Człowiekiem jestem, obywatelem jestem, ojcem jestem, jedziemy do Włoch! Ja, Jan Gwalbert Adamski, z żoną i córką Halą, jedziemy do Włoch!

— »I ze »Stokrotkami« — prosiłam »Pa« — bo coby one bez nas robiły.

— Dobrze, córko, i ze »Stokrotkami«, psiakość, nóżki baranie.

Chłopiec od kupca przyniósł za »Pa« wino i bakalie. Wypiliśmy na szczęśliwą podróż, zjedli kolacyę i »Pa« zabrał pana Henryka i poszli na piwo.

Myśmy się z »Ma« i z ciocią spłakały z radości, aż »Stokrotki« szczekały, bo i one jadą z nami... Prawie cały dom.

. . . . . .

Poleciałam do Naci, jeszcze siedzieli przy herbacie.

Nie rozebrałam się z żakietu, tylko im wołam z progu: Nic nie wiecie?

— Co takiego? — Zerwali się wszyscy.

— Nic nie widzicie we mnie? Niczego się nie domyślacie?

Milczeli.

— Jadę do Włoch!

Zawołałam głośno i chciałam uciec, ale brat Naci dopędził mnie przy drzwiach i sprowadził do jadalnego.

Krótko tam siedziałam, może parę minut. Już nigdy nie pójdę do nich.

Szkaradni ludzie, wystygli, zimni. Ja im raz jeszcze mówię, że do Włoch jadę, a oni się nie dziwią!

A matka Naci powiedziała, że to nic nadzwyczajnego, że każdy może tam jechać, byle miał pieniądze.

Jaszczurka! Rozumiem, zazdrości nam! Także figura!

Urzędniczyny! Boże, zmiłuj się. Mieszkają w trzech pokojach, Bóg tam wie, jak za nie płacą i mówią, że jazda do Włoch, to nic nadzwyczajnego!

Rzym, Wezuwiusz, Papież, Florencya, morze, góry, Wenecya, to nic nadzwyczajnego!

Barbarzyńcy!

. . . . . .

Później w nocy.

Nie, nie mogę zasnąć.. twardo... dam ja jutro Rozalii, że mi tak posłała! Tak mi czegoś smutno! tak smutno... Zjadłam resztę czekoladek, które przyniósł pan Henryk i zakręciłam papiloty, bo zapomniałam ze wzruszenia... Tak marzę o Włoszech, o tej boskiej Italii, o kwitnących pomarańczach...

o... zaraz, trzeba się dobrze namyśleć, co wziąć na drogę... i jak najmniej, bo »Pa« już zapowiadał:

— Żadnych fatałaszków, brać rzeczy najpotrzebniejsze.

»Pa« suknie nazywa fatałaszkami! Ach ci mężczyźni, niby tacy mądrzy, a najprostszych rzeczy nie mogą zrozumieć.

Niedobrze mi jakoś... to ze wzruszenia... Na siebie wezmę ten szary angielski kostyum... trzeba zabrać: wizytową, tę jedwabną, potem trzeba wziąć strojniejszą, fularową, może się zdarzyć jaka herbatka tańcująca... potem kostyum wiosenny... prawda, przecie tam już wiosna i kwitną pomarańcze... Podobno Włosi są bardzo przystojni i bardzo zuchwali... ciekawam! Trzeba wziąć i białą nad morze, pan Henryk mówił, że mi w niej ślicznie...

Tak mi się oczy kleją...

. . . . . .

Później.

Już usypiałam, ale »Pa« przyszedł z piwa taki wesoły, że pocałował mnie, wywrócił fotel i chciał wejść w lustrzaną bieliźniarkę, a »Ma« tak się rozgniewała, tak krzyczała, aż »Stokrotki« uciekły do kuchni i zaczęły strasznie szczekać. A ta niegodziwa, bez serca Rozalia, oblała je zimną wodą! »Ma« ją wybiła, bo pieski mogły dostać zapalenia płuc, a »Pa« obiecał jej dodatkową frycówkę na

jutro, jak się wyśpi. Za karę musiała iść aż na Nowy Świat do apteki, po wodę sodową dla »Pa« i po lniane siemię na okłady dla »Stokrotek«! Dobrze jej tak, bardzo dobrze!

No, ja mu powiem przed ślubem, ja nie chcę, żeby pan Henryk chodził na piwo i powracał tak późno... nad ranem... ja się tak boję spać sama...

Do widzenia, boska Italio, do widzenia!

. . . . . .

Za cztery dni jedziemy!

Ach, co mamy bieganiny, co pracy z przygotowaniami!

W domu pranie jeneralne... w saloniku dwie szwaczki szyją i reperują, pomaga im ciocia, bo »Ma« nie ma czasu, odprawia rekolekcye na intencyę szczęśliwej podróży.

Zdziś wybił szybę u lokatora z pierwszego piętra i powiesił na schodach kota tych tam handlarzy z oficyny!

»Pa« chciał go wybić, ale ciocia obroniła, i tak mu za to tyranizowanie dziecka nagadała, że zaraz wyszedł.

Ciocia ma racyę, żeby bić chłopca za stłuczenie głupiej szyby i za powieszenie kota, to trzeba być tyranem.

Oho! już ja się nie dam tyranizować panu Henrykowi! Jeszcze czego!

Wczoraj kupiłam dwie bluzki i kapelusz letni...

nic już więcej, bo w Wiedniu podobno wszystko tańsze i ładniejsze. O, ja jestem bardzo oszczędną.

Pan Henryk chciał, żebyśmy dzisiaj poszli na odczyt prywatny... ale to takie nudne... bo już wiem z góry, że będą mówili o tych biedakach robotnikach...

— Trzeba coś dla nich robić — mówi zawsze pan Henryk.

A my przecież bardzo dużo robimy dla nich: »Pa« kupił tabliczkę Towarzystwa przeciwżebraczego, jest przybita na drzwiach, a ja z »Ma« i z ciocią kwestowałyśmy na Wielkanoc u Bernardynów, to mi moją, nowiusieńką, śliczną suknię tak pokapali woskiem, że już na nic.

Cały wieczór studyowałam z panem Henrykiem Włochy.

O, ja znam dobrze Italię... Czytałam kiedyś, jeszcze na pensyi, powieść Ouidy, działo się we Florencyi i Rzymie...

Jakiś młodszy syn lorda kochał się w nauczycielce sióstr!

Boże, jaka to bolesna historya! Ona była chora na suchoty, a jemu nie pozwalał żenić się ojciec! Okropnie się spłakałam!

Wszyscy ojcowie są tyrani. Wszyscy.

A gdyby »Pa« nie pozwolił mi iść za pana Henryka?...

Jezus, jakbym była nieszczęśliwa... Ale nie, bo

dałaby mu to niepozwolenie «Ma«! Oho, nic się nie boję.

Zaraz, Włochy to półwysep, oblewany przez dwa morza: Adryatyckie i... i... jakieś tam — mniejsza o jakieś głupie morze. Stolica Rzym ma mieszkańców, co mnie to obchodzi, a Neapol jest położony nad zatoką tegoż nazwiska, najpiękniejszą w świecie. W Neapolu jest Wezuwiusz i śpiewają: »*O mia Napoli, o santa cita*«.

Aha, muszę sobie kupić sznur korali, bo to teraz modne, no i tam są bardzo tanie.

»Ma« powiada, że musimy być dłużej w Rzymie i widzieć Papieża!... Naturalnie, jak to być w Rzymie i nie widzieć Papieża!...

Pan Henryk twierdzi, że to będzie bardzo trudno, bo on zna takich, którzy byli w Rzymie i nie widzieli Papieża, ale »Pa« powiedział stanowczo, że to się da zrobić.

— Psiakość, baranie nóżki, łapówkę wsunie się komu należy, trach... i wszystkie drzwi otwarte, jak wrota...

Cóż to, pierwszy raz będę miał z urzędami do czynienia, czy co? Zęby się na tem zjadło i grzeczną eksperyencyę się ma, a przytem, wszędzie na całym świecie szanuje się porządnych ludzi, zwłaszczą, jeśli są posiadaczami z czystą hipoteką, bez grosza długów.

»Pa« ma racyę... »Pa« ma sto dwadzieścia razy racyę, wołałam, bo p. Henryk uśmiechał się tak dziwnie.

Nie cierpię go za te miny i zaraz po ślubie stanowczo mu tego zabronię, stanowczo, a jeśli nie zechce posłuchać, to pójdziemy do rozwodu, będę nieszczęśliwą i umrę...

On zawsze musi się sprzeczać z »Ma« i »Pa«.

I o co? o głupiego stróża, że mieszka w mokrej piwnicy!

Mój Boże, a iluż to biedaków byłoby szczęśliwych, żeby mogło mieć chociaż takie mieszkanie!

»Pa« kiedyś powiedział o nim: Filantrop, altruista z cudzej kieszeni.

Ale ja jestem pewna, że jego nic nie obchodzą ci stróże, a tylko umyślnie tak mówi, żebym się pogniewała i żeby mnie mógł przepraszać... a ja strasznie lubię, jak mnie tak gorąco, tak mocno... przeprasza...

Tylko żeby już raz skończył tę medycynę i wziął się do praktyki... no i żeby się już nie kryć ze wszystkiem... bo ja zaraz mam takie głupie rumieńce... że... że... »Ma« poznaje i krzyczy:

— Hala! ja ci dam całować się ze studentami!

No to czemu u nas nie bywa jaki hrabia, albo literat, przecież jabym wolała... nie, nie, napisałam niegodziwość, ale przy przepisywaniu na czysto wykreślę z pewnością, bo ja kocham pana Henryka ogromnie, strasznie, nadzwyczajnie go kocham...

Mój dzióbek słodki, mój piesek kochany, *ma petite cochon* droga...

Ktoś dzwoni!

On ogromnie lubi, jak mu tak mówię, tylko chce, żeby go po każdem słowie c..., ja to strasznie lubię, ale boję się, bo »Ma« mówi, że całowanie przed ślubem, to miłość na kredyt i rzecz bardzo grzeszna... »Ma« to wie bardzo dobrze, bo, jak się ciocia wygadała, »Ma« miała dwóch narzeczonych... i nie umarli, tylko, tylko się nie ożenili z »Ma«.

Obrzydliwi ci mężczyźni!

Ktoś dzwoni!

Dlaczego Rozalia nie otwiera?

Aha, musi być w bramie z tym lokajem z pierwszego piętra...

Widziałam raz, jak się całowali na schodach...

Te służące, to istoty bez czci i bez wstydu — żeby się całować po schodach! i do tego z lokajami!

To wprost obrzydliwe!...

. . . . . .

Była u mnie Cesia, moja najserdeczniejsza przyjaciółka i najdawniejsza, bo jeszcze na pensyi przysięgłyśmy sobie przyjaźń i podpisałyśmy to krwią z serdecznego palca.

Naprawdę, jak kocham »Ma« i »Pa«, prawdziwą krwią.

Nagadałyśmy się, nagadały.

Ach, ona jest bardzo nieszczęśliwa w miłości, bardzo! kocha się w Przybyszewskim! Ja to rozu-

miem, bo sama kochałam się bardzo nieszczęśliwie... cały miesiąc w jakimś cudnym chłopcu...; fotografia jego była wystawiona na Krakowskiem Przedmieściu! To codziennie umyślnie przechodziłam, żeby się na niego popatrzeć! A tak się bałam, żeby kto nie zauważył!

Pan Henryk mówi, że Cesia jest ładna i bardzo inteligentna.

Tak, twarz ma niczego, ujdzie, ale nieprawda, że inteligentna, jeszcze na pensyi, to z francuskiego miewała same dwójki, a czasem i »konia«. Co prawda, to i twarz ma za chudą, bez cery, nos za długi, a oczy, jak pudełka szuwaksu.

Tym mężczyznom, to nawet pokojówki mogą się podobać!

Gdzie jej do mnie! A przytem biedactwo już drugi rok chodzi w tym samym żakiecie!

Ogromnie mnie namawiała, żebym koniecznie, jak będę w Krakowie, poznała Przybyszewskiego... Kuzynek Jaś przywiózł mi jego książki!

Śliczne, ale takie jakieś, takie... oho, znowu te głupie rumieńce.

Skaranie boskie z temi rumieńcami, już i cytryny jem i pudruję się, nic nie pomaga, zawsze mnie zdradzają.

Dała mi paczkę do niego i przyznała się, że sama także pisuje!

Ceśka pisuje do druku! Ha! ha! to paradne, miała dwójki z języków i pisuje do druku!

Przecież nawet »Pa«, jak daje ogłoszenie do *Kuryerka* o lokalach do wynajęcia, to musi mu pomagać pan Henryk.

A ona pisuje sama i do druku!

Muszę o tem powiedzieć Naci, uśmiejemy się wybornie.

Ale Przybyszewskiego muszę poznać koniecznie bo, bo ja strasznie lubię dekadentów.

Pan Henryk śmieje się ze mnie, ale cóż bo pan Henryk?... zaledwie student! i każe mi tylko czytywać naszych wielkich poetów — kiedy... kiedy ten Mickiewicz taki nudny, że już wolę się gonić po jadalnym ze »Stokrotkami«.

Czytałam przecież »Pana Tadeusza«, ta Zosia to głupia gęś, źle wychowana i nieprzyzwoita panna, żeby w papilotach i boso przełazić przez płoty! Może to dobre tam, gdzieś na prowincyi, ale nie u nas w Warszawie. Gęsiarka!

A i wiersze Słowackiego! Czytałam kiedyś głośno po kolacyi, to »Pa« powiedział:

— Klituś, Bajduś, módl się za nami, a komorne już ja sam odbiorę.

I poszedł z panem Henrykiem na piwo.

Kuzynek Jaś przywiózł mi Altenberga, przeczytałam całego.

Boże, jakie to śliczne, a szczególniej ten ustęp, któryśmy z Nacią wyhaftowały na kanwie:

»Paliła »Princessy« i patrzała na ratuszową

wieżę, a on palił »Sułtany« i patrzył na ratuszową wieżę, a oczy się ich spotkały na wieży ratuszowej«.

To nowy dreszcz, jak powiedział kuzynek Jaś.

Dlaczego pan Henryk nie napisze jakiej książki?... przecież skończył gimnazyum, jest na piątym kursie i taki uczony... chciałabym, żeby mój mąż był sławnym... bywalibyśmy wtedy wszędzie, a może i u arystokracyi!

Powiedziałam o tem przy kolacyi.

»Pa« wyśmiał się ze mnie i powiedział, że porządny doktor zarabia więcej niż dziesięciu głupich literatów, którzy przeważnie chodzą bez butów i nie płacą komornego!

Pewnie, że »Pa« ma racyę, ale ja strasznie lubię dekadentów.

Idę już spać, bo »Ma« się gniewa, że tak dużo nafty wypalam.

Dobranoc Włochy, do widzenia.

...a oczy się ich spotkały na wieży ratuszowej«...

. . . . . .

24-go marca. Sobota. Jedziemy we wtorek. Boże, czy ja się doczekam.

Tak się boję, żebym nie umarła, albo nie zachorowała przed wyjazdem! P. Henryk przysłał mi kwiaty i lożę na operę. Śpiewa Battistini! Strasznie

jestem ciekawa go zobaczyć, bo wszystkie panny się w nim kochają...

. . . . . .

Wieczorem, po teatrze. Jakie toalety, jakie brylanty, jakie kwiaty! Jestem jeszcze nieprzytomna z wrażenia! Boże, jakżebym chciała mieć suknię balową, głęboko dekoltowaną i sznury brylantów we włosach!

Przecież mam już ośmnaście lat, jestem dorosła, a »Ma« obiecuje mi dopiero na przyszły karnawał sprawić suknię dekolte, a ja mam przecież śliczny biust. Zdjęłam szlafroczek i przejrzałam się teraz naprawdę, ale mam ładne ramiona... a jeszcze, jakbym do balowej sukni wzięła wysoki gorset, to... to... nie wyglądałabym w piersiach tak szczupło.

Jaki on śliczny, a jak śpiewa! aż mrówki czułam w plecach i tak mi się zrobiło gorąco i niedobrze, że myślałam, iż zemdleję... aż mi »Ma« rozpuściła trochę gorset. Nie, on nie jest za ciasny, tylko Rozalia za mocno ściągnęła. Teatr był pełny, panowie we frakach i taki entuzyazm, że aż panie płakały, a jedna, w loży naprzeciwko, dostała spazmów i wszystkie tak krzyczały, tak rzucały kwiaty, tak bisowały, że... aż nie wiem, czy to wypada... tak przy wszystkich...

Pan Henryk powiedział, że to damy z finansów i arystokracyi.

W wielkim świecie widać to wypada, ale jabym się trochę wstydziła...

Wyszliśmy przed skończeniem, bo »Ma« dostała migreny i niepokoiła się, żeby czasem Rozalia na złość nie dała »Stokrotkom« gulaszu z obiadu, mogłoby im to zaszkodzić.

Ach te służące, nigdy nie można na nich polegać!

Zdziś już spał, i ciocia, i »Stokrotki«, ale Rozalii nie było.

Pan Henryk musiał zawołać stróżki, żeby nam zrobiła herbaty i odgrzała co z obiadu.

Wszyscy byli bez humoru, »Ma« zabrała »Stokrotki« i poszła spać, a »Pa« pił piwo z panem Henrykiem i wkońcu powiedział:

— Psiakość, nóżki baranie, to blaga ta muzyka dzisiejsza! Cóż mi to za opera, z której nic wygwizdać nie można. Moniuszko, ten ma kawałki ładne, Verdi, to jest muzyka, można ją nawet wygrać nożem na pustej butelce... Ale Wagner i jak się tam wabią... to zawracanie głowy porządnym ludziom i nic więcej...

Tak, »Pa« jest muzykalny, bo ile razy ja gram nowego walca, albo na podwórzu zagra katarynka, to on wszystko zaraz wygwiżdże...

. . . . . .

Niedziela. »Pa« przy śniadaniu się irytował, że za wiele bierzemy walizek.

A wszystkiego jest cztery, mały koszyk i kufer! Same najniezbędniejsze rzeczy. Prócz tego »Ma« zapakowała dwa funty herbaty, szynkę i parę funtów cukru, bo tam podobno wszystko bardzo drogo.

»Pa« zabiera dwa tysiące papierosów.

Idziemy zaraz na sumę, czekamy tylko na pana Henryka.

. . . . . .

Wieczorem. Już wieczór! Boże, jak ten czas prędko leci! Nie, właściwie tak wolno się wlecze, że już nie wiem, czy się doczekam tego wtorku! Żeby to prędzej, bo suchot dostanę i umrę, albo co.

Poszliśmy sami do kościoła, bo pan Henryk nie przyszedł, tłómaczył się później, że musiał za kolegę dyżurować w szpitalu, że było tylu chorych nowych... ale »Ma« mu powiedziała:

— Obowiązki względem Boga są ważniejsze; ten jest tylko człowiekiem, kto je wypełnia sumiennie i nie zna wyższych ponad nie!

O, »Ma« umie mówić. Mnie się żal zrobiło pana Henryka.

Co prawda, chorzy mogli poczekać, przecież i tak od razu nie wyzdrowieją! a ja musiałam iść tylko z »Ma« i »Pa« do kościoła.

Nie lubię w niedzielę chodzić do kościoła, bo taki tłok, taki zaduch i tyle pospólstwa, że wytrzymać nie można. A tak się to wszystko tłoczy

i rozpycha, jak u siebie w domu, całą falbanę oberwali mi dzisiaj!

Naprawdę nie powinni tak wszystkich wpuszczać do kościoła.

Dopiero po kazaniu przyniósł nam kościelny krzesła.

Takie długie to nabożeństwo. Ja się modliłam, ale cóż ja zrobię, kiedy już na *ofertorium* tak mi ciężyły powieki, że musiałam je podnosić palcami, a i to nie pomogło.

Pan Henryk czekał już na nas przed kościołem i poszliśmy razem przejść się po Krakowskiem Przedmieściu.

Pogoda była okropna, kapało z dachów i takie błoto!

Ale tak przyjemnie patrzeć na ludzi, na dorożki, na tramwaje... szkoda tylko, że w niedzielę pozamykane są wystawy sklepowe.

Spotkaliśmy Ceśkę z matką, ukłoniłam się im, ale... ale była tak ubraną, że doprawdy trochę mi było wstyd... nie miała nawet kaloszy i szedł z niemi ich lokator.

Okropny, nieuczesany i w takiem oberwanem palcie! Jak ona się nie wstydzi chodzić z nim po ulicach.

A potem szły panny Malinowskie z ojcem. Wcale nie ładne i tak pretensyonalnie ubrane... ale »Pa« powiedział, że każda z nich, sztuka w sztukę, warta po sto tysięcy i jedną ciotkę bogatą.

Wcale mi to nie imponuje. Tylko to jest niesprawiedliwe, żeby takie brzydkie były tak bogate.

Jakichś dwóch panów przechodziło koło nas i jeden powiedział cicho: patrz, jaka śliczna dziewczyna! Czułam, że się rumienię. Ale naprawdę to było do mnie, bo tak mi zajrzał w oczy.

»Ma« powiedziała, że wkrótce porządni ludzie nie będą mieli gdzie spacerować, bo już wszystkie szwaczki wszystkie sklepiczarki spacerują po Krakowskiem. »Ma« mówi prawdę, bo spotkaliśmy naszych lokatorów z drugiego, którzy mają sklep z papierem! Jakie kapelusze, jakie okrywki, jakie miny, naprawdę, ale lepiej się ubierają, niż my, a o komorne to »Pa« nie może się doprosić i już im raz robił zajęcie.

Byliśmy także na wystawie sztuk pięknych bo deszcz zaczął padać... i ani jednej dorożki nie było... Chodzimy tam często, bo »Pa« jest członkiem. Ogromnie dużo ludzi było! Boże! jaki ja tam widziałam kapelusz! filcowe czarne rondo, główka ubrana czarną jedwabną krepą, otoczona ogromnemi piórami strusiemi czarnemi i nad czołem spięcie z brylantów! Cudny po prostu! Żebym ja to mogła mieć taki! a brylanty prawdziwe, widziałam, umyślnie zaszłam z boku pod światło, błyszczały, jak gwiazdy!

Ale na wystawie niema nic szczególnego, same wody, lasy, zachody słońca, młyny, lepsze widziałam na letniem mieszkaniu.

»Pa« powiedział, że na drugi rok już nie kupi biletu, bo szkoda pieniędzy i mamy już dosyć tych landszaftów, jakie Towarzystwo daje członkom, chyba, że będą dawali w porządnych ramach!

Pan Henryk zaprowadził nas do osobnej sali na »Szał« Podkowińskiego. Ciągle o tem piszą w *Kuryerach* i cała Warszawa chodzi oglądać.

Tak się zmieszałam, tak mi było wstyd, że udawałam, iż patrzę na inny obraz, bo ona na tym obrazie jest zupełnie... no zupełnie bez ubrania... ale śliczna, tylko, że włosy to ma z pewnością farbowane.

Wyszliśmy zaraz, bo »Ma« się oburzyła na pana Henryka, że na takie bezecne rzeczy nas zaprowadził.

»Pa« się też rozgniewał i powiedział takie *pater noster* panu Henrykowi, że aż mi żal go było... że... Powiada »Pa«:

»Psiakość, nóżki baranie, gdzie tu jest sztuka? — Goła pannica na koniu — to ma być sztuka? — sztuka dla porządnych ludzi, dla rodzin polskich! nasza, polska sztuka? — Albo ja, Jan Gwalbert, ja mąż, ja ojciec, ja obywatel się nie rozumiem na sztuce, albo świat idzie na psy, albo na socyalisty. I ma tu być polska sztuka! malują gołe panny, jakieś nastroje, jakichś oberwańców, chłopów, żydów i inne tałałajstwo i ma tu kraj się podnieść! Mają nas za to szanować! Nie, musimy zginąć! I do tego każą nam płacić za oglądanie takich paskudztw,

każą chodzić, każą popierać polską sztukę, bo inaczej, to gazety wymyślają nam zaraz od Bóg wie jakich. Cóż to, psiakość, nóżki baranie, to ja płacę pięć rubli rocznie gotowemi pieniędzmi i nie mogę zaprowadzić córki, ani żony na wystawę, żeby się nie zgorszyły! Pokazują nam za nasze własne, ciężko zapracowane pieniądze gołe lafiryndy, porozbieranych parobasów i jakieś tam głupie ni w pięć ni w dziewięć figlasy! To są kpiny z porządnych ludzi! Trzebaby o tem napisać do *Kuryera*. Co oni sobie myślą... ci... ci... pacykarze... Jak sufitu, to niema kto porządnie namalować, bo wszyscy są panowie artyści-malarze! Tfu! psiakość, nóżki baranie«...

Dawno nie widziałam, żeby się »Pa« tak mocno rozgniewał.

Poszedł do swojego pokoju i mówił, że zaraz musi o tem napisać do *Kuryera*, żeby mu nie przeszkadzać...

Rozalia zaniosła mu kawę i powiedziała, że »Pa« się położył i prosił, żeby Ździś nie hałasował, bo odpocznie i zaraz się weźmie do pisania.

Myśmy z panem Henrykiem poszli do saloniku, żeby nie przeszkadzać i zaledwie zaczął mnie przepraszać... weszła ciocia.

Ze też te ciotki to nigdy nie wiedzą, kiedy wejść... Jakby nie miała swojego pokoju...

Pan Henryk tłómaczył, że »Pa« niesprawiedliwie sądzi sztukę dzisiejszą. Może ma racyę, ale

»Pa« od tylu lat jest członkiem Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, to także musi się znać na sztuce...

. . . . . .

Wieczorem. Jutro poniedziałek, a we wtorek rano jedziemy!

Boże, to jeszcze całe dwie noce i jeden dzień!

Przed wieczorem przyszła Nacia i prosiła nas, abyśmy do nich poszli na herbatę, że będzie parę osób znajomych i jeden malarz i jeden młody literat!

Nie byliśmy!

»Pa« powiedział, że ma już dosyć polędwicy z groszkiem, kiepskiego piwa i preferansa po groszu. Woli iść do resursy na winta i poszedł na cały wieczór. »Ma« z ciocią poszły na rekolekcye do Pijarów, a pan Henryk miał iść zaraz na dyżur do szpitala.

Ale czy poszedł? Czy to można wierzyć mężczyznom?

Przecież my kobiety zawsze jesteśmy ofiarami i męczennicami, jak »Ma« mówi.

«Stokrotki« już śpią, a ja jestem taka sama, taka najsamsza...

. . . . . .

Poniedziałek. To już jutro!

Nie, nie chce mi się wierzyć, że to już naprawdę jutro.

Umieram z niecierpliwości.

A »Stokrotki« tak skomlą radośnie i tak się cisną do mnie, aż mi się chce płakać czegoś...

»Pa« musiał znowu przyjść późno, bo »Ma«, kiedy przyszedł na śniadanie, nie dała się pocałować i wyszła z pokoju.

O, jabym już całe życie się gniewała. I właśnie na złość, kiedy mąż przychodzi późno, to i jabym przychodziła jeszcze później, jeździłabym na bale, tańczyła, chodziła na maskarady, do teatrów. Oho! znalazłabym zawsze kogoś, ktoby mnie odprowadzał. To nie takie trudne.

Przecież tej doktorowej z pierwszego piętra to zawsze towarzyszy ten wysoki blondyn... Już się »Ma» nawet tem gorszy.

A jakby mi mąż robił wymówki, to powiedziałabym zimno, nie patrząc na niego: »Co, mój mężu? Dobrze, mój mężu? Jak chcesz, mój mężu!« Ciekawą miałby minę i napewno oduczyłby się przychodzenia nad ranem.

Teraz dopiero rozumiem, co ciocia zawsze mówi »Ma«:

— Kobieta, jeśli chce być szczęśliwą, musi sobie męża wychowywać i urabiać. Od pierwszego dnia nie pozwalać na żadne wybryki i trzymać go żelazną ręką... Obietnicą pieszczoty można mężczyzn zaprowadzić chociażby do zbrodni!...

Ciocia miała trzech mężów, no i tak ich urabiała... że pomarli! Ale swoją drogą ma racyę, że

jak się gniewam na pana Henryka i nie dam się c..., to taki pokorny, tak mi w oczy patrzy prosząco, i zawsze później robi to wszystko, czego chciałam...

A »Ma», jak się gniewa z »Pa«, to zawsze dysponuje Rozalii przy kolacyi:

— Pościelisz panu w gabinecie!

. . . . . .

Już ja nie będę nieszczęsliwą — niema głupich!

. . . . . .

Później. Zrobiłyśmy z mamą kilka wizyt pożegnalnych. Wszędzie się ogromnie dziwiono, że jedziemy do Włoch, winszowano tak serdecznie, życzono przyjemnej i wesołej podróży...

Nie mnie brać na serdeczność, wiem dobrze, jak nam zazdroszczą.

»M« tłómaczyła, że jeszcze dwa lata temu, podczas choroby, złożyła ślub. że na podziękowanie za wyzdrowienie odbędzie pielgrzymkę do Rzymu i innych miejsc cudownych.

Ciekawam, poco takie tłómaczenie?...

Jedziemy do Włoch, bo nam się tak podoba, bo mamy na to i koniec. Niech nam zazdroszczą, ja to strasznie lubię.

Wstąpiłyśmy do Hersego. Nie, nic nam nie potrzeba, ale ja tak lubię oglądać materyały... Takie chłodne te jedwabie i takie miękkie, że ile razy zanurzę w nich ręce, to mnie przejmuje dziwny,

rozkoszny dreszcz... A przytem, u Hersego, można zawsze zobaczyć jakiś nowy fason, który już z opowiadania robi nam nasza krawcowa; a czasem zdarzy się tanio kupić jakąś resztkę...

Jutro rano, o szóstej, odprawi u Karmelitów ksiądz mszę na intencyę szczęśliwej podróży!

Pójdziemy wszyscy, a »Ma« prosiła na nie i znajomych bliższych i niektórych lokatorów.

Wątpię, czy przyjdą, chyba lokatorowie, żeby potem nie zapłacić! Gdyby to mnie tak prosili, nie poszłabym! A jakże, życzyć szczęśliwej drogi innym, a samej w domu siedzieć.

. . . . . .

Ogromnie się spracowałam.

Przyszła Nacia z Ceską, żeby się raz jeszcze ze mną pożegnać, więc nagadałyśmy się, zjadłyśmy pudełko czekoladek i... pokazałam im wszystkie, jakie zabieram, suknie.

Nie chciały oglądać, bo już były zapakowane, pokazałam umyślnie...

Ucałowałyśmy się na rozstanie serdecznie, ale czułam, że mnie nienawidzą.

Mała strata, krótki żal.

. . . . . .

Wieczorem. »Ma« i »Pa« dopisują się w moim dzienniku!!!

Co?...

Także awantura!

Zaraz opowiem, jak to było.

»Pa« nie przyszedł na kolacyę. Siedzieliśmy sami. Pan Henryk trochę się zirytował... ale naprawdę, bo kotlety były tak odgrzane, że zimne po prostu we środku. Ciocia poszła wykrzyczeć Rozalię, a myśmy przeszli do saloniku. Ledwiem Zdzisia wyprawiła spać, bo upierał się smarkacz siedzieć z nami... Nieznośny chłopak!

Przy kolacyi nadeptywał mi na nogę tak mocno... że myślałam... i chociaż rumieniłam się, ale oddałam leciuchno... a ten łobuz w śmiech!

Kiedy on to mógł widzieć?... Nie wiem, czy raz tak było... a i to wypadkiem, przy gościach, bo ciasno było przy stole...

Naprawdę, ale takich dużych chłopaków nie powinno być w domach, gdzie są dorosłe panny i bywają młodzi ludzie...

Otóż siedzieliśmy przy mojem biureczku pod oknem. Przymknęłam drzwi do jadalnego, żeby »Ma« nie przeszkadzać, bo odbierała bieliznę od praczki.

Pan Henryk mnie prosił, abym pamiętała o nim w podróży, żebym często, codziennie, pisywała do niego...

Nigdy w życiu nie pisałam jeszcze do żadnego mężczyzny! A i do pana Henryka ani razu, no, bo nie wypada, a potem, przecież widujemy się codziennie; ciekawam, czy ja potrafię ułożyć dobrze list do niego?...

O czem się pisuje do narzeczonego?

Muszę nie zapomnieć zabrać z sobą pudełka z papierem, a mam śliczny, liliowy ze złotymi monogramami.

Pan Henryk dał mi go na imieniny, nie używałam go jeszcze, bo mi szkoda! Ciocia powiedziała, że powinien mi był dać wtedy coś z biżuteryi, ale »Ma« twierdziła, że to jeszcze nie wypadało, bo wtedy nie byłam jeszcze jego narzeczoną...

Ale ciekawam, co mi da teraz na imieniny?

Już mu nieraz napomykałam delikatnie, że ogromnie lubię brylanty i szafiry...

Bo, tak mówiąc naprawdę, to już te kwiaty, książki, nuty i cukierki sprzykrzyły mi się... mam ich dotąd... a szczególniej kwiaty i książki...

To dobre, ale dla pensyonarek i podlotków!

Chwała Bogu, że wyszłam już z krótkich sukienek i sentymentalizmów.

I dobrze wiem, co mi się teraz należy.

Otóż pan Henryk tak prosił o pamięć, tak prosił... aż się żardinierka przewróciła i wszystkie kwiaty bach na dywan!

Wpadł »Pa« i...

Musiał widzieć, bo... bo staliśmy tak blizko przy sobie...

Wcale nie wiedziałam, że »Pa« przyszedł.

Pan Henryk tłómaczył, że ja mu czytałam swój pamiętnik i przez to żardinierka się przewróciła.

Taki był niezręczny, taką miał zabawną minę, że nie mogłam się powstrzymać od śmiechu!

Bo żeby się tak naiwnie tłómaczyć, to trzeba być... narzeczonym!

— Aha, psiakość, nóżki baranie! Lepiej żebyście to po ślubie sobie przeczytali, byłoby zdrowiej i taniej, bo za ten wazon z palmą ja sam gotowemi pieniędzmi zapłaciłem piętnaście rubli.

Ale się nie gniewał! Chodził długo po pokoju, przystawał, patrzył, jak pan Henryk zbierał skorupy, a potem stanął przede mną i powiada:

— Pamiętnik! Ty Hala piszesz pamiętnik?

— Tak »Pa«, piszę pamiętnik! — szepnęłam, bo »Pa« miał taką minę, że płakać mi się chciało.

— Rozumiem, takie tam ptaszki, kanarki. Mój Boże! Jestem nieszczęśliwa! Pójdę na bal, byłam na balu, krawcowa zepsuła mi suknię, bzy już kwitną w ogrodzie botanicznym, chciałabym umrzeć, pójść do klasztoru, albo iść za mąż — takie tam panieńskie faramuszki.

Zaczął się śmiać, a ja się tak rozgniewałam, że chciałam iść do »Ma«. Nie puścił mnie, posadził na krześle i powiada:

— Pokaż coś tam nabazgrała.

— O co to, to nie! Nigdy w życiu!

I nie pokazałam!

»Pa« się gniewał, ale nie pokazałam, jeszcze czego...

— Wszystko mi jedno. Nie pokażesz, dobrze, ale i ja, i matka będziemy się dopisywali!

— Ale nie w moim kajeciku!

— Właśnie, że w twoim, bo i radca Malinowski pisze razem z córkami.

— Ale »Pa« nie zajrzy, nie będzie czytał tego, co napisałam. Da »Pa« na to zaraz, przy panu Henryku, obywatelskie słowo honoru.

Dał uroczyste słowo honoru.

Wierzę, ale wolę karty zapisane pozlepiać brzegami, to jeszcze pewniejsze, bo strzeżonego Pan Bóg strzeże, jak mówi ciocia.

Ale »Pa« nie chciał powiedzieć, skąd mu się wzięła taka chęć do pisania.

Wiem, że pisać nie lubi, bo przecież meldunki ja prowadzę za niego.

— Z czasem się dowiecie, a może dopiero dzieci wasze, albo dzieci dzieci, albo i tam dalej... — powiedział, pocałował mnie w czoło i zaraz kazał przynieść kajecik.

Zlepiłam brzegi, zaraz odniosę.

To już jutro w południe.

Jak mi serce bije.

Cicho »Stokrotki«, nie piszczcie, jutro już jedziemy, bo już jutro o tej godzinie będziemy daleko za górami... za morzami... e, chyba tak daleko jeszcze nie.

Ale ten »Pa«, żeby myśleć, że ja mogę pisać takie dzieciństwa!

Ale to tak zawsze, ojcowie i mężowie przesiadują tylko w knajpach, zajmują się interesami i nigdy nie mają czasu poznać swoich żon i córek...

Umyślnie tej karty nie zakleję, niech »Pa« przeczyta...

. . . . . .

. . . . . .

Dopisek »Pa«. Warszawa, dnia 25-go marca, 1899 roku, o godzinie 10-tej minut 21 wieczorem, w domu przy ulicy Leszno, pod Nr. 111/2174, policyjnym, cyrkuł III, Mostowski.

— Zaczynam w Imię Boże.

Muszę się skupić, żeby nie zgubić ani jednego słowa, ani jednego szczegółu, bo, jak mówi radca Malinowski, wszystko jest ważne dla potomności.

Zaczęło się to w resursie, przy preferku, tanim, złotówka za sto, bo to psiakość, nóżki baranie, ciężkie czasy, podatki, policya, kanalizacya, wodociągi i inne głupie wymysły.

— Janie Gwalbercie — rzekł radca Malinowski, podnosząc brwi aż na łysinę i patrząc z nad okularów.

— Jestem, zaraz wychodzę.

— Janie Gwalbercie, nim wyjdziesz w ostatniego atu, powiem ci: oto świat idzie na psy, albo... pokaż-no, nóżki na stół.

Wyszedłem.

— Jutro może już nie nasze. Mówię ci będziesz

leżał bez dwóch. — Nie nowina. Psiakość, nóżki baranie, zawsze mam pecha.

— Janie Gwalbercie, słuchaj.

Słuchałem, ale żarło mnie, bo kartę miałem słabą i czułem już »legendę«.

— Kładę atu — oddaj swoje; jeszcze raz daję — nie masz! Dawaj skórę, a teraz w kiery — co, nie lubisz? Wiemy coś o tem. Jeszcze raz w to samo. — To ci dobrze zrobi. — A teraz dama! Tak, zapomniałem o damie i położyłem się bez dwóch, co zsumowawszy razem, wyniosło pięć rubli z kopiejkami.

Zapłaciłem, ale z tymi kierami, to tam nie było zupełnie fajn!

Wziął mnie pod rękę i poszliśmy do bufetu.

— Przegryziemy co?

— I owszem.

Wódeczka, śledzik, bułeczka z kawiorem.

Drugi raz stuknęliśmy się, kawałeczek pulardy w majonezie, grzybki, ździebko *pâté de foie gras* — niczegowate! Opłatek szynki, okruszynę kulebiaki, mały porter na *finis* i radca rzekł:

— Janie Gwalbercie, a możebyśmy co zjedli?

— I owszem, radco!

Wprawdzie tam matka będzie trochę trajkotać, ale nie mogłem odmówić koledze, radcy i wpływowemu człowiekowi. Trzeba umieć utrzymać honor domu.

Siedliśmy w kąciku! Garson podał radcy *menu*.

Przeglądał długo, marszczył brwi, namyślał się. Rozumiem, przecież to chwila, w której żołądek mówi surowo: uważaj!

— Janie Gwalbercie, a gdyby tak raki?

— Dobrze, to ma kolor.

— Sos Bordeles.

— I owszem, to jakby z kawałkiem wiosny!

— A dla rozpamiętywania, tak kartofelki *sauté*.

— Ślicznie, ja kocham przyrodę, kocham wieś.

— A potem jaką ptaszynę...

— Żywioły wszelkie chwalą Pana!

— A na konkluzyę gaiczek pomarańczowy, podlany strumykiem białego Goa!

— Wypłacalny!

Radca odetchnął i powiada:

— Janie Gwalbercie, jedziesz do Włoch?

— Tak. Ciekawym, kto mu powiedział.

— Piękny wojaż, ale co mówisz, gdybyśmy sobie teraz tak zajrzeli nad Ren?...

— Gotowy, ale Johannisberger z r. 1864, młodszy zestraszy raki.

— A później spławili ptaszki w Burgundzkiem?

— Zgoda, byle nie potonęły. Rozsądne umiarkowanie, to mój ideał!

— Kawka i maleńkie curaçau.

— Podnieca i daje wigor, całem sercem zgoda.

Kiedyśmy już zaspokoili pierwszy głód, radca powiada:

— Jedziesz kolego do Włoch. Ślicznie! Ale prócz

zabawy, prócz przyjemności waszej, niechajże i to biedne, ciemne społeczeństwo nasze odniesie z tego jaki pożytek.

— W jaki sposób?

— Postaw radca wdówkę Cliquot, tylko ochędożną, bardzo sec, a ten pożytek społeczny łatwiej nam się wyklaruje.

Postawiłem.

Trąciliśmy się raz i drugi, a radca powiada:

— Pisz kolega pamiętnik z podróży, spostrzegaj, obserwuj złe i dobre; oglądaj wszystko, i wszystko, co ci się wyda pożytecznem, notuj skwapliwie. Może się w tem mieścić głęboka nauka dla nas, albo i dla dzieci naszych.

Psiakość, nóżki baranie, prawda, że też mnie to nie przyszło do głowy!

— Bo, powiada dalej, gdyśmy już zapalili cygara przy kawie: Nasi ludzie włóczą się po świecie, latają po Europie, jak cielęta na wiosnę, tu skubną, tam wytrzeszczą oczy, gdzieindziej wierzgną, a do obory nic nie przyniosą i ogół nie ma ze swoich pieniędzy wydanych żadnego pożytku. Rozumiesz kolega?

— Święte słowa! Rozumiem, jakże?

Postawiłem wdówkę raz jeszcze, bo mnie rozczulił. To obywatel, to rozum. Ministeryalna głowa, psiakość, nóżki baranie!

— I piszcie wszyscy, bo czego ty nie spostrzeżesz, to zobaczy żona i córka.

Gorąco nam było, wzięliśmy »gumę« i pojechali się nieco przewietrzyć. Ale szelma dryndziarz zawiózł nas prosto do Fantazyi...

Nie chciałem szczerze, bo jakże, czy to wypada porządnemu człowiekowi pokazywać się tam... gdzie te...

— Nie chcieliśmy, a sam nas zawiózł, w tem palec Boży! — powiada radca — te błaźnice są tak zabawne, to nam dobrze zrobi na trawienie...

. . . . . .

Napisał mi tylko radca krótką notatkę: co i gdzie, jak mam oglądać i zaraz żeśmy wyszli.

Odwiozłem go do domu, bo zimne powietrze zmorzyło go trochę, a on jeszcze przed bramą rzucił mi się na szyję, całował i mówi:

— Janie Gwalbercie, pamiętaj, com mówił: pilnuj się notatki, bo to twoja podróżna ewangelia.

— Jakto, ja obywatel, ja mąż, ja ojciec, mógłbym zapomnieć o pożytku tego biednego, ciemnego społeczeństwa naszego? — Nigdy!

Matka się gniewała, że późno wróciłem, ale nawet najmądrzejsza kobieta nigdy tego nie zrozumie, że można być pożytecznym społeczeństwu swojemu nawet w klubie.

Radca Malinowski powtarza zawsze:

— Kobieta! Cóż to jest kobieta? Kostyum letni za pięćdziesiąt rubli na wiosnę i kaprysy, kostyum zimowy za sto rubli i przywidzenia, kostyum balowy za sto pięćdziesiąt rubli i bezmyślność —

oto nasze kobiety, co mówię, oto są wszystkie kobiety!

Ma słuszność, psiakość, nóżki baranie, świętą słuszność.

Trzeba iść spać, bo rano wstać muszę. Trzeba iść jeszcze do cyrkułu, może się da co zrobić z komisarzem względem tych suteryn wilgotnych... Że tam trochę cieknie po ścianach, to cóż to może komu zaszkodzić! Przecież lokatora nie wyrzucę i nie dam lokalu tego stróżowi!

To zgroza, czego to się już nie zachciewa tym chamom!

Oto notatka, jaką mi dał radca, przepisuję dosłownie, żeby nie zaginęła:

»*Kraków:* Stanąć w Saskim. Wódka, przekąski, tylko Hawełka. Wino — Federowicz. Piwo — Wentzel. Wawel — zaprowadzi ekspres. Nic więcej godnego uwagi.

Wiedeń: Klomser Hotel. Central Café. Ronacher, jeśli z rodziną pójdziesz. Spitzer Café — sam. Burg — zmiana warty o 1-ej z południa. Są tam jeszcze jakieś muzea. Wszędzie w lepszych kawiarniach Pilzner z beczki! Doskonałe cygara!

Wenecya: Bauer Hotel. Kanały, Floriani — lody i inne smakołyki dla kobiet. Pilzner Halle tuż przy placu — doskonały! Calle dei Fabri 6 — zajrzeć samemu, w dzień mało ludzi! Gołębie na Placu! Wieczorem gondole — kanał, śpiewy. Tea-

try pod psem, nie warto, ani jednej nóżki baletowej!

. . . . . .

Zaraz odnoszę matce i idę spać.

. . . . . .

Dopisek »Ma«. Przeznaczeniem kobiety jest być żoną i matką i aniołem mężczyzny! Nie znałam Żmichowskiej, ale jej przyjaciółka mnie wychowywała. To mówi dosyć!

Boże, jakież rozkoszne są te »Stokrotki«! Och, one mają dusze czułe i wierne, a czemu mężczyźni są tak brutalni i poziomi?

Czemu świat jest tak nieszczęśliwym?

Ksiądz Tolo mówi, że dlatego iż zaparł się Boga.

Och tak, bez ideału nie można być szczęśliwym.

Ale czy można mówić o ideale, jeśli mięso kosztuje czterdzieści groszy funt, kucharce trzeba płacić piętnaście rubli kwartalnie, a nawet najskromniejsza suknia kosztuje pięćdziesiąt rubli?

O, świat jest zły i przewrotny!

Ale poświęcenie jest fundamentem rodzin chrześcijańskich!

Jak wzniosłą jest rola kobiety chrześcijanki!

Jest kapłanką domowych ołtarzy, jest skarbnicą cnót, jest służebnicą dobra!...

. . . . . .

Nie mogę pisać, bo mąż tak chrapie!

Piwo, dobry obiad, karty, a potem chrapanie — oto są mężowie.

. . . . . .

Wtorek rano. Już po nabożeństwie. Dorożki czekają przed domem.

Sparzyłam sobie język herbatą. Zaraz jedziemy!

Boże! żeby czego nie zapomnieć!

Pan Henryk poleciał jeszcze do apteki, bo »Stokrotki« jakieś smutne... jakby chore... Piszę już w kapeluszu i... ach, byłabym zapomniała pudru i ołówków do brwi... ja ich nie czernię, tylko »Ma« kazała zabrać dla siebie...

Ciocia płacze. Zdziś płacze... Ze wszystkich okien wyglądają... Słyszę kroki pana Henryka na schodach!

Zaraz jedziemy!

Tak mi jest smutno i tak mi jest czegoś wesoło.

Byłabym zapomniała swoich oszczędności, mam je w woreczku, na szyi... nikt o nich nie wie.

Już jedziemy!

Więc to prawda!

. . . . . .

. . . . . .

Później, już w wagonie. Jedziemy do Włoch!

Piszę ołówkiem i patrzę w okno!

Dostałam pięć pudełek cukierków i tyle kwia-

tów, że całą ławkę zajęły, a cukierków, to mi chyba wystarczy, aż do Rzymu.

Spłakałam się na stacyi ze złości, bo ciotka Hortensya, na pożegnanie, tak przy wszystkich, na peronie, włożyła mi na szyję szkaplerz. — Śmieszna dewotka! Ma mi zapisać dom swój, bo żeby nie to... Mnie szkaplerz! mnie, która z panem Henrykiem czyłałam Spencera i jadę do Włoch.

Te stare ciotki to... jedynie tyle są warte, że... że... mają domy!... Śmieszne istoty!

Muszę obserwować i zapisywać, bo pan Henryk mnie prosił, abym mu wszystko opisywała.

No tak, to wszystko, co wypada napisać narzeczonemu.

Tyle osób nas odprowadzało!

Była i Ceśka z Nacią, zobaczyłam je przed samym odjazdem, bo pierwej musiałam się pożegnać z Malinowskiemi, rozstałam się z niemi serdecznie, bo ja tam nie zważam na różnice majątkowe lub towarzyskie. Jak przyjaźń, to przyjaźń!

Będę do nich pisywała z drogi, tak mnie o to prosiły.

Swoją drogą czułam, że mi zazdroszczą i tej angielskiej sukni z pasmanteryą, którą mam na sobie, i tej podróży do Włoch!

Także! — Dzisiaj to byle jakaś nauczycielka, lub córka jakiegoś urzędniczyny ma już pretensyę, żeby wyjeżdżać za granicę.

Paradne sobie! Jakby nie mogły pojechać sobie w niedzielę tramwajem do Wilanowa i z powrotem.

Tyle ludzi i tego nie może!

W wagonie pusto.

»Pa« trochę drzemie!

»Ma« daje »Stokrotkom« pigułki homeopatyczne.

Aha! trzeba obserwować!

Pola z jednej i pola z drugiej strony... same pola...

Dziwne, dlaczego tyle placów stoi pustkami?... Możnaby przecież wszędzie porobić letnie mieszkania!

Widzę sama, że to, co piszą o biedzie chłopskiej, to gruba przesada.

Mój Boże, gdybyśmy to mieli takie pola na Lesznie!

Nie cierpię wszelkiej przesady i egzaltacyi, niewiem dobrze, czy egzaltacya pisze się przez »K«, czy przez »G«, ale mniejsza z tem.

Na każdej stacyi stoi taki pan w czerwonej czapce... a czasem i w białych rękawiczkach i ze wszystkich okien dworców wyglądają jakieś panie...

Wsie widać z okien, to znowu jakieś domy pojedyńcze, ale takie brudne, takie obdarte. Ze to policya nie nakaże poodnawiać.

Śnieg jeszcze, i wody, i błoto...

Słońce nie świeci, nawet nie wiem, w której teraz może być stronie...

A tam już wiosna i kwitną pomarańcze...

Za nic w świecie nie mieszkałabym na wsi... Jezus, co za nudy, ani ulic, ani sklepów, ani balów, nie rozumiem, dlaczego ludzie tu mieszkają?...

No, bo że chłopi, to naturalne, któżby za nich robił...

Skierniewice. »Pa« poszedł na piwo.

Chciałam kupić miejscową *ansichtskartę* — nie mają.

Co za barbarzyństwo jeszcze u nas, to coś okropnego... A za granicą to każda stacya, każda wieś ma swoją *ansichtskartę!*...

Jedziemy dalej... jedziemy.

Same pola... pusto... szaro.. brzydko... chałupy... nagie drzewa...

Ciekawam, co tam robi pan Henryk? Mówił, że zaraz idzie do szpitala, ale napewno poszedł z kolegami na bibę. — Oho, kuzynek Jaś opowiadał mi, jak się to uczą i studyują...

Kontrolują bilety... wyjrzałam za nimi i zobaczyłam, że konduktorzy pili w korytarzu wódkę i tak prosto z butelki... to coś okropnego!...

Obok nas, w sąsiednim przedziale siedzi jakieś towarzystwo i mówi po francusku... Pewnie arystokracya!

»Pa« twierdzi, że to taka końska, z lombardów arystokracya...

Na wyścigach byłam tylko raz jeden, ale nie

wiem, dlaczego tam chodzą i tyle piszą, prawda, tualety wspaniałe, ale żeby się interesować tem, że konie lecą i panowie spadają na ziemię, tego nie rozumiem.

Jestem pewna, że to robią tylko dla mody!

Chciałam tyle notować, ale doprawdy, że zupełnie nie mam co.

Koluszki. »Pa« poszedł na piwo. Tak mi się chce spać... Już nie mogę jeść cukierków...

Piotrków. »Pa« poszedł na piwo. »Stokrotki« uciekły z wagonu, ledwie je »Ma« z pomocą tragarza złapała. Jakiś oficer wsiadł do naszego wagonu... śliczny, blondyn, wąsiki zakręcone, a usta... bardzo podobne do pana Henryka. Wysiadł zaraz na następnej stacyi. Straszniebym chciała żeby pan Henryk chodził w takim pięknym mundurze, bo te uniwersyteckie, nawet z płaszczami, już mi się przejadły. Ale w Wiedniu muszę kupić sobie »princessów« i zapalę. U Altenberga, to wszystkie panie palą princessy.

Ruszamy!

»Pa« przez okno wymyśla garsonowi, że mają podłą lurę, nie piwo i obiecuje napisać zażalenie. Ale nie napisze, znam go dobrze, machnie ręką i powie: psiakość, nóżki baranie, bocianem nie jestem, żebym miał świat czyścić. W domu tak jest zawsze...

Ciągle te pola i pola... Zupełnie niema patrzeć na co...

Śnieg zaczyna padać... a słupy telegraficzne mają taką zabawną minę... pochylają się w jedną stronę, jakby z nami biegły... Boże, jak to już daleko od Warszawy!

Na jakiejś stacyjce wsiadła stara, gruba pani, lokaj w liberyi wniósł za nią walizkę i stoi teraz w korytarzu. Boże, jaki ona ma kapelusz! Ale chciałabym, żeby zawsze lokaj nosił za mną... Oglądaliby się za mną na ulicach! Pokłóciła się z »Ma«, bo usiadła młodszemu »Stokrotkowi« na ogonie i podobno rozerwał jej okrycie, czy tam coś podobnego!

Bardzo dobrze, niech uważa, gdzie siada; myśli że ma lokaja w liberyi, to już jej wolno wszędzie siadać...

Częstochowa. »Pa« poszedł na piwo. Znalazłam *ansichtskartę*. Brzydka, bo tylko z wieżą klasztorną. Napiszę w drodze, bo jakiś brunet chodzi przed wagonami i zagląda w okno. Bezczelni ci mężczyzni. A ten i brzydki do tego. Nie patrzyłam na niego, a gdy pociąg ruszył, ukłonił mi się... zarumieniłam się... to coś okropnego...

Śnieg taki pada, że boję się, żebyśmy nie uwięzli w zaspach! To byłoby okropne, jechać do Włoch i uwięznąć w śniegach!

Tak mi jest smutno, tak się czuję osamotnioną,

że chce mi się płakać... Ach ten »Pa«, żeby tak obrzydliwie chrapać!... Nigdy mężowi nie pozwolę na chrapanie, to wstrętne. Że to »Ma« pozwala mu na to! Rozwydrzył się, bo mama za wiele pobłaża, i robi, co mu się podoba!

Mam jakieś złe przeczucia... czy aby Zdziś nie zbił mi lustra?...

No tak, ma się rozumieć, zapomniałam grzebyka, a to wszystko przez »Pa«, tak się śpieszył, tak naglił, a potem całych dziesięć minut czekaliśmy jeszcze. Napewno, skoro go Rozalia znajdzie — »zje śledzia«.

Śnieg pada coraz gęstszy. Przypudrowałam się trochę, bo mnie ogromnie twarz pali, muszą o mnie mówić w Warszawie. Na stacyach pełno żydów i brudnych, obdartych ludzi, a nikogo z towarzystwa! Mam jeszcze trzy pudełka cukierków. W Wenecyi muszę koniecznie kupić sobie żabot koronkowy.

Jakaś stacya. »Pa« się przebudził i koniecznie chciał iść na piwo, ale pociąg zaraz ruszył... »Pa« zwymyślał konduktora i powiedział, że zaraz w Granicy napisze zażalenie na takie nieporządki.

Śnieg przestał padać. A nawet słońce przeświituje, ale tak nizko, jakby miało spaść...

Aha, tak: »Ostatnie promienie zachodzącego słońca padały na uśpioną czarną ziemię« — niedobrze, bo ziemia jest biała od śniegu.

Chciałabym tę kartę do Ceśki ładnie napisać. Zaraz: »Najdroższa moja. Jedziemy szalenie. Do Włoch jeszcze daleko, ale już minęliśmy Piotrków, przejechali nawet Częstochowę. Smutno mi, tak mi żal ciebie, że nie jedziesz. Śnieg białymi puchami zasypywał ziemię, a teraz słońce zachodzi i ponury mrok przysłania słomiane strzechy wiosek, lasów, miast... Zaraz przejedziemy Granicę... a ostatnie promienie zachodzącego słońca ślą nam pożegnanie od opuszczonej, drogiej ziemi rodzinnej i od Ciebie, Najdroższa, czego ci życzy — Twoja Hala«. *P. S.* Ucałuj odemnie Nację.

P. S. Zajrzyj do nas i powiedz cioci, że zapomniałam grzebyka, leży na stole, w stołowym, żeby go Rozalia nie ściągnęła...

P. S. Jeśli ci łyżwy nie będą potrzebne, to odeślij.

Wsiadł jakiś gruby pan z dwiema walizami i wyżłem. Jezus, »Stokrotki« się rzuciły na wyżła! Myślałam, że umrę ze strachu...

Ten straszny człowiek złapał »Stokrotki« za grzbiety i wyrzucił je na korytarz! »Ma« zemdlała. »Pa« przyniósł »Stokrotki«. A ten straszny człowiek kłóci się z »Pa«, że nie ma gdzie swoich waliz postawić i powiada, że kto wiezie tyle łachów, to powinien je oddać do wagonu bagażowego!... »Pa« się strasznie rozgniewał i krzyczy:

— Pan wyrzucasz moje »Stokrotki«! to ja kopię w brzuch pańskiego wyżła i wyrzucam pańskie

walizy, psiakość, nóżki baranie! — I tak kopnął psa, że ten zaczął wyć...

Dobrze, że zaraz była jakaś stacya, bo byłoby się stało coś okropnego!

A jednak nigdy mnie przeczucia nie zawodzą... Przyszedł zawiadowca. »Pa« chciał, żeby pisali protokół na służbę, że puszczają do wagonów takich ludzi i psów, podobnych do wilków. Straszny człowiek wysiadł i tak wymyślał, że »Pa« wołał żandarma, żeby go pociągnąć do sądu za obelgi.

Pociąg ruszył, a rzeczy nasze mają wziąć na Granicy do opłaty! »Ma« nawymyślała »Pa«, że jest safanduła i zły ojciec rodziny, że pozwala robić krzywdę »Stokrotkom«.

Biedne pieski jeszcze drżą z przerażenia i tak piszczą żałośnie! Niegodziwi są ludzie, żeby krzywdzić takie biedactwa... Ledwie się uspokoiłam. Biłabym takich ludzi!

Przed Granicą. Lasy... ogromne lasy... Prawie tak wielkie, jak w Otwocku...

»Pa« chce, abym część papierosów schowała przy sobie... na p..., bo jestem tutaj dosyć szczupła, to nie poznają... Wstydzę się trochę, bo jak ja będę wyglądała? Schowałam i poszłam się przyjrzeć... nie, niemożliwe... Poznają, bo jestem taka... wypukła... jak ta, co Zdzisia karmiła... Ciekawam, czyby się to podobało panu Henrykowi?

Granica!

Przesiedliśmy się do wagonów austryackich!

»Ma« wzięła »Stokrotki« pod suknię, bo konduktor nie chciał ich puścić.

Wyjrzałam oknem, ale nie wiem, w której stronie ta Austrya. Jacyś robotnicy wsiadają do wagonów! Więc i robotnicy jeżdżą za granicę?... Ale chyba nie do Włoch?

. . . . . .

Szyldwachy... most... woda... woda... piasek... przejechaliśmy Granicę!

. . . . . .

To już tutaj »za granicą«?! Dziwne, ale tego nie widać! Nie rozumiem, takie same lasy, taki sam wieczór i to jest za granicą?! A ja myślałam!...

Trzebinia, w nocy. Awantura! Sądny dzień! Boże, jak się to skończy! »Pa« skonfiskowali w Szczakowej papierosy, »Ma« herbatę, a mnie cukierki! Potem »Stokrotki« zginęły, że ledwieśmy je znaleźli... Nie daruję sobie nigdy, że ich nie zjadłam przed Granicą... Całe trzy pudełka zabrali!

»Pa« tak krzyczał, tak wymyślał im za to, że chcieli go zatrzymać!

»Ma« płacze i modli się, »Stokrotki« się gryzą, a mnie tak smutno, tak strasznie smutno, żebym chociaż miała cukierki!... Musimy czekać do rana w Trzebini bo pociągu niema do Krakowa! Co za nieszczęście! Musimy spać na krzesłach! A może

»Pa« jeszcze wezmą do więzienia?... Nie, takiej hańbybym nie przeżyła.

. . . . . .

Dopisek »Pa«. Ulżyło mi trochę, myślałem, że mnie już szlak trafi!!... A szelmy, żeby mnie tak zirytować! Mnie, Jana Gwalberta, mnie obywatela, mnie, porządnego ojca i obywatela ciągać do protokółów, jak jakiegoś zbrodniarza!...

I te gałgany mają takie piwo!

Boże, Boże, Ty widzisz wszystko, co się dzieje. Jadę wesoły, szczęśliwy i tu zaraz, w Szczakowej pytają mnie, czy czego nie deklaruję?... czy czego nie wiozę?... A zjadłeś sto par dyabłów, psiakość, nóżki baranie! Cóż to, będę im głupie papierosy, cukierki, albo herbatę deklarował, czy ja to tem handluję, obywatel jestem!... A ci robią rewizyę i mnie z żoną biorą na osobność!!! Świat się kończy, czy co?... Rewizya, konfiskują — kara, protokół! Do samego cesarza pójdę, świat cały poruszę, a swojej krzywdy nie daruję! To ja mam nie palić, moje dziewczątko ma cukierków nie jeść, matka i »Stokrotki« i my wszyscy mamy herbaty nie pić...

Zrozum, kto w Boga wierzy, bo ja, Jan Gwalbert, nie potrafię.

Przyjeżdżamy tutaj, niema połączenia z Krakowem, niema hotelu, niema gdzie spać!...

I pytam się raz jeszcze, gdzie ta konstytucya?... gdzie ta wolność?

Nie, spać na krzesłach w zimie, nawet bez szlafroka.

Zgroza! Zgroza!

Gdzież jest ta wolność? Proszę mi ją pokazać! Psiakość, nóżki baranie! Ja, Jan Gwalbert, chcę widzieć tę wolność!...

Pójdę się chyba napić czegoś, bo czuję, że mnie znowu złość chwyta, a doktór zabrania mi wzruszeń wszelkich...

. . . . . .

28 marca rano. Za granicą... No, nareszcie jesteśmy w Krakowie. Stanął mi zegarek, że nie wiem, o której godzinie przyjechaliśmy do hotelu...

Umyślnie napisałam tytuł u góry, bo to bardzo ładnie brzmi: Za granicą! Nie wiem tylko, czy to właściwie, bo tutaj tak wszystko po polsku, jakby to nie było jeszcze »za granicą«, a w pociągu to tylko z jednym konduktorem mogłam się rozmówić po niemiecku, a i on wkońcu powiedział, że będzie mi wygodniej mówić po polsku... Także się wybrał. Nie po to się chyba jeździ »za granicę«, żeby rozmawiać po polsku... Ale kiedy w tym Krakowie to prawie inaczej nie rozumieją.

Zażądałam od pokojówki wody ciepłej, ma się rozumieć, mówiłam po francusku — nie rozumiała!

Dopiero, jak jej po polsku nawymyślałam, to zrozumiała.

»Pa« i »Ma« już śpią, a i »Stokrotki« także, biedactwa, takie były zmęczone drogą, że je »Pa« z wagonu musiał wynosić.

Deszcz pada i takie błoto, takie zimno! Z okna nic nie widać, tylko takie same domy, jak u nas, ale tak odrapane... że też to na to pozwala policya.

Pierwszy raz w życiu mieszkam w hotelu...

Trzeba iść spać, bo kuzynek Jaś ma przyjść o drugiej...

Byłam na korytarzu; długi i ciemny, drzwi koło drzwi, a prawie przed każdemi stoją buty... Jak to zabawnie wygląda! A przed sąsiedniemi drzwiami stoją długie buty z ostrogami i damskie buciki, ogromne, powykrzywiane i takie niezgrabne, to pewnie jaki oficer z żoną! Ale żeby szanująca się kobieta miała takie pokrzywione buciki?...

Służba tu ogromnie grzeczna w tym hotelu, wszyscy mówią: »Całuję rączki« i »Jaśnie panienka«. Tutaj umieją cenić ludzi. A u nas, to nawet nasz stróż tak nie mówi. Ale, bo też u nas... Boże się zmiłuj — chamstwo.

Ach, żeby to już prędzej być w tym Neapolu, Rzymie, Florencyi, tam to dopiero śliczne mieć muszą *ansichtskarty!*

U nas tam już wstają, Rozalia pewnie nastawia samowar, albo poszła po bułki, a ciocia zaczyna się wypychać... tapicerka!

Także pomysł... jadę do Włoch, jestem już »za granicą« i będę sobie jakąś tam głupią Rozalię przypominała...

Ciekawam, co pan Henryk robił wieczorem?...

Dziwne, ale jeszcze jakoś za nim nie tęsknię. Chociaż kto mi teraz będzie przynosił cukierki?...

Wieczorem. Ale ten kuzyn Jaś, od czasu jak został dekadentem i mówi samemu Przybyszewskiemu »Stachu«, to ogromnie wyprzystojniał. A taki dowcipny i tak dziwnie patrzy, że... coś okropnego. Ubrany tylko tak jakoś, że w Warszawie tobym się wstydziła z nim iść na ulicę, boby wszyscy zwracali uwagę... Ale tutaj to mi wszystko jedno, nikt mnie nie zna! I ogromnie dobrze wychowany, przyniósł mi pudełko cukierków... gorsze, co prawda, niż u nas w Warszawie, ale już tak byłam stęskniona!

»Ma« już śpi, zmęczona pewnie, bo tyleśmy dzisiaj się nachodziły i po sklepach, po kościołach i muzeach, że już nóg nie czuję. »Pa« z kuzynkiem Jasiem wyprowadzili »Stokrotki« na spacer, bo biedne pieski prawie cały dzień przesiedziały w hotelu...

Jutro mamy iść do teatru, bo dzisiaj nie grają. To dopiero prowincya! Ale *ansichtskarty* mają śliczne! Napisałam z piętnaście i szkoda, że już nie mam więcej do kogo pisać!... Aha, mam, tak, napiszę nawet do Rozalii, to może grzebyk się znajdzie i zaraz cały dom będzie wiedział, że jesteśmy już za granicą — i, jak ja pamiętam o naszej służbie.

Wstaliśmy już po drugiej, kuzynek Jaś zaraz przyszedł, i z zaproszeniem od swojej matki, która jest cioteczno-stryjeczną siostrą »Pa«, na obiad na jutro. Kuzynek Jaś przyjeżdża do nas często. Obiecał, że jutro w teatrze pokaże mi Przybyszewskiego. Już o tej znajomości napisałam Ceście.

Byliśmy na obiedzie u tego sławnego Hawełki. Boże! Jakaż to obrzydliwa nora! U nas, w Warszawie, toby policya zaraz zamknęła taki brudny zakład, a tutaj to wszyscy chodzą i jest sławny! A jak obrzydliwie jeść dają... bez serwet, na bibułkach, jak dla dorożkarzy. A takie podawali potrawy, że majonezu nie można było odróżnić w smaku od kurcząt! Wstrętna garkuchnia! A »Pa« tak był zachwycony, że temu, co odbierał pieniądze, podał rękę... jak ci mężczyźni na niczem się nie znają i nie umieją się szanować, to coś okropnego! Aż »Ma« musiała mu powiedzieć: »Janie!«

Muszę notować po kolei, żebym miała o czem pisać panu Henrykowi.

Wyszliśmy od Hawełki i chciałam, abyśmy pojechali w tutejsze Aleje Ujazdowskie, ale »Pa« twierdził, że mu radca tego nie zanotował. A kuzynek Jaś powiada, że niema.

— A gdzież jeżdżą i chodzą na spacer?

— Spaceruje się po plantach i po linii Analfabetów.

Także miasto i wartoż było wstępować?

O, mnie nigdy przeczucia nie zawodzą: najpierw grzebień, potem ta historya na granicy, a teraz, że niema gdzie zobaczyć tutejszego towarzystwa! Naprawdę, ale żeby nie Przybyszewski, toby tutaj zupełnie nie było co oglądać!

I zaprowadził nas na planty! Błoto chyba po kolana, jak u nas na Pradze, jakieś podejrzane osoby i trochę księży, to całe towarzystwo!

Kuzynek pokazał nam »Rondel«, śmieszna nazwa, i tę bramę Floryańską, ale to nic szczególnego, brudne, odrapane i wcale nie ładne. »Pa« powiedział, że to tylko szkoda tak porządnego placu, bo w tem miejscu mogłyby stać porządne domy o czterech frontach, ze sklepami na dole, toby się lepiej opłaciło miastu, niż te rumowiska!... No i z pewnością byłoby ładniej.

Floryańską poszliśmy na A-B, którą kuzynek Jaś nazywa linią Analfabetów, ale nie wiem, dla czego, bo mnie się podoba ta nazwa A-B, — to jakoś tajemniczo brzmi... jak z romansu.

Obejrzeliśmy wystawy! Boże, zmiłuj się, ja nie wiem, ale naprawdę, to tutaj kupują chyba same pokojówki i kucharki! takie wszystko ordynarne, bez gustu, taka tandeta... u nas na Nalewkach, to sto razy lepsze rzeczy sprzedają!... tylko, że ogromnie tanio. Weszliśmy do paru sklepów... ogromnie tanio i wszędzie można mówić po niemiecku.

»Ma« kupiła mi śliczną matinkę i tylko za 25 guldenów, u nas toby kosztowało ze 20 rubli!

Rynek taki sobie, u nas plac Teatralny znacznie ładniejszy, tylko Sukiennice ładne, ale na ulicach prawie nikogo, ani jednej sukni, ani jednego możliwego kapelusza i nigdzie nie widać studentów, u nas to przecież zawsze można ich spotkać na ulicy.

A kuzynek Jaś powiada, że i tutaj nie robią nic innego, tylko się włóczą po mieście, ale że nie noszą mundurów, to się nie odznaczają.

Jakto? Studenci nie noszą mundurów!!

To nie do uwierzenia, to coś okropnego!

Ależ to barbarzyńskie, obrzydliwe, to nie do uwierzenia, żeby studenci chodzili bez mundurów i wyglądali na pierwszych lepszych!... Żeby nikt tego nie widział, że są studentami! Nie nigdybym tutaj nie chciała być studentem...

Jestem przekonana, że i pan Henryk by nie chciał, bo jemu jest bardzo dobrze w mundurze.

Wstąpiliśmy potem do kościoła Maryackiego! »Ma« i »Pa« zostali modlić się w ławkach, a myśmy z kuzynkiem oglądali!...

Istotnie duży kościół, ale ciemny i brudny...

Kuzynek pokazywał mi te ściany, malowane przez Matejkę i powiada, że to arcydzieła... Nie znajduję... mnie się wydają bez gustu, jak w jakim chłopskim kościele... mogliby odnowić szykowniej! Trochę się znam przecież, bo mamy duży

dom i wiem, jak się odnawiać powinno, żeby wyglądało elegancko! A już te kolorowe okna, to dobre na schody, do przedpokojów, ale żeby w kościele...

Chociaż na taką dziurę, jak Kraków, to dobry i taki kościół... Ale u nas w Warszawie, toby go nikomu nie pokazywali, mamy tyle piękniejszych, czystych, porządnie wymalowanych.

Pan Henryk mówił, że koniecznie trzeba zwiedzić Wawel i groby królewskie, więc pojechaliśmy. Ale nie widziałam jeszcze ani jednej dorożki na gumach, pewnie i tego niema w tym Krakowie.

Groby były już zamknięte, to i lepiej, bo ja się strasznie boję umarłych, no i przecież jeszcze kiedyś będę w Krakowie... Chociaż, co może być interesującego nawet w grobach królewskich! Nie leżą przecież na wierzchu, w płaszczach i koronach, z berłami!...

Katedry małośmy widzieli, bo się już szaro robiło i tak była zastawiona rusztowaniami... a przytem »Ma« to zamiast oglądać, przed każdym prawie ołtarzem klęka i modli się... a naprawdę, mnie tak kolana bolą od klęczenia, że to coś okropnego...

Naprawdę, ale widzieliśmy prawdziwego i żywego kardynała!

Wychodzi z katedry, mija nas jakiś wysoki ksiądz! A nasz przewodnik powiada: »to kardynał«.

Wróciliśmy za nim, ale już się gdzieś podział. »Ma« koniecznie chciała go widzieć... ledwie jej »Pa« wytłómaczył, że przecież jedziemy do Rzymu, to ich tam zobaczymy.

Byliśmy i na zamku. Ogromny, ale też odrapany i taki smutny, i tak tam czuć żołnierzami... że to coś okropnego...

Mają z niego robić mieszkanie dla cesarza, chciałabym go wtedy zobaczyć! Dopiero to muszą być wspaniałości!

»Pa« miał łzy w oczach i tak klął, tak wymyślał, że bałam się, aby kto nie usłyszał, a »Ma« ciągle nos wycierała!

Tylko nie rozumiem dla czego? — No, bo że to dawny zamek, i że teraz mieszkają żołnierze — to cóż nadzwyczajnego?...

A u nas też całe dwa lata mieszkał jeden jenerał...

Byłabym zapomniała. Prawie razem z nami chodzili jacyś państwo.

Naprawdę, ale od wyjazdu z Warszawy, to dopiero pierwszy kostyum wart oglądania! Ona śliczna, a jak ubrana! Jezus, aż mnie oczy rozbolały od patrzenia na nią. Cała na popielato: futro, kostyum, buciki, kapelusz, a jaki szyk, jakby prosto od Wortha!

Chciałabym się kiedy tak ubrać, mnie doskonale w popielatym...

. . . . . .

Później. »Pa« dopiero wrócił ze »Stokrotkami«. Tłumaczył się przed »Ma«, że »Stokrotki« uciekły mu na planty i długo musiał ich szukać.

Już było ciemno, jak wróciliśmy z Wawelu, na linii Analfabetów było pełno ludzi... Dobrze się przyglądałam i naprawdę nic, ani jednego kostyumu, ani jednego kapelusza, ani jednej twarzy... A u nas, jak się idzie Krakowskiem, to niewiadomo wprost, gdzie pierwej patrzeć!

A na rogach i przed Hawełką stało pełno oficerów... Myślałam z początku, że to posłańcy, albo inni jacyś ludzie, no bo tak wystają przed domem! Ale kuzynek mówi: oficerowie! bo posłańcy noszą czerwone czapki i nazywają się ekspresami!

Ale ci oficerowie są bardzo szykowni, tylko tak śmiesznie ubrani! Mundury mają takie jakieś jakby spódniczki baletowe, no i z pewnością chodzą w gorsetach!...

. . . . . .

29 marca, rano. Boże, taka jestem wzruszona, iż poparzyłam się herbatą! Nadzwyczajna wiadomość! Nie, nigdybym się tego po »Pa« nie spodziewała.

Idźcie sobie »Stokrotki«, nie przeszkadzajcie! W nocy przyszła depesza z Warszawy, że »Pa« został wybrany prezesem nowego towarzystwa asekuracyjno-pożyczkowo-lombardowego. »Pa« prezes! Mój »Pa« jest prezesem!!

. . . . . .

Wieczorem. Ach, co wrażeń, co wrażeń... jestem wprost upojona i nie chce mi się wierzyć, że to naprawdę, ale ja tego nie czytałam... Ale jutro wieczorem jedziemy dalej.

Dostałam list od pana Henryka! Tak ślicznie napisany, że ogromnie żałuję, iż nie mogę go przeczytać chociaż Naci... a taki dobry, że aż mi się płakać chciało... chociaż szkoda, że on nie pisze tak, jak dekadenci, ci przyjaciele kuzynka, co to Przybyszewskiemu mówią: »Stachu«.

A propos Przybyszewskiego! Poznałam go, t. j. pokazał mi go w teatrze, w loży, kuzynek. Nie, nie jest taki śliczny, jak mówiła Ceśka, ale taki dziwny, że aż mnie dreszcz przeszedł. Pierwszy raz widziałam sławnego człowieka tak z blizka, no bo niegdyś w Nałęczowie pokazywali nam Prusa, ale nie zrobił na mnie wrażenia: stary, w okularach i jak pierwszy lepszy. Naprawdę, ale ja myślałam, że wielcy ludzie to powinni inaczej wyglądać, niż wszyscy!...

Pan Henryk tak mnie prosi, abym wciąż myślała i pamiętała o nim, ale to trudno, bo wprost nie mam na to czasu... tyle nowych wrażeń!...

Co się mogło stać »Stokrotkom«?... takie niespokojne, piszczą...

»Pa« »prezes« nie chciał iść z niemi na spacer i poszedł sam na piwo...

»Pa« przez to prezesostwo zaczyna się coś za

bardzo stawiać... ale to się skończy, jak tylko przyjedziemy do Warszawy.

O! ktoś w sąsiednim numerze jakby płakał!

. . . . . .

Wypuściłam »Stokrotki« na korytarz, niech sobie pobiegają!

Te damskie buciki ogromne i pokrzywione, już stoją pod drzwiami, ale takie zabłocone i takie jakieś nieszczęśliwe... ale buty z ostrogami jeszcze widocznie nie przyszły!

Byliśmy na Kopcu, ale tylko na dole, bo deszcz padał i takie błoto...

Ostatecznie, to wkońcu nudne to oglądanie, i naprawdę, ale w Krakowie niema co oglądać...

Byliśmy na wystawie sztuk pięknych; jakieś tam krówki na łączkach, łączki bez krówek, jakieś tam wiatraczki, jakieś zachodziki i wschodziki słońca; jakieś chłopy w białych kapotach i chłopy bez kapot, a razem właściwe »mydlarstwo«, jak powiedział kuzynek Jaś.

Mnie i »Ma« bardzo się podobały obrazki Stachiewicza, takie śliczne...

— »Mydlarz glicerynowy« — powiada kuzynek.

A »Pa« bardzo się zachwycał jakiemś polowaniem Fałata.

— »Mydlarz cesarski«.

Zobaczyłam obraz Gersona, bo on i u nas w Warszawie wystawia...

— »Mydlarz warszawski, najgorszy gatunek« —

powiada kuzynek... ale ja się na to zgodzić nie mogę, bo chociaż kuzynek Jaś mówi także Przybyszewskiemu »Stachu« i zna się... ale i Gersona tak u nas w *Kuryerach* ciągle chwalą... że także się znać muszą...

Potem poszliśmy na ten proszony obiad do matki kuzynka. Zupełnie myślałam inaczej o niej.

A ona stołuje, wydaje prywatne obiady!

»Ma« się chciała cofnąć, ale było już zapóźno. Widziałam, że »Pa« nie zrobiło to najmniejszej różnicy.

Przy stole było kilkanaście osób... a obiad! lepiej nie wspominać.

A towarzystwo! same studentki i studenci, a na szczęście, dwóch przyjaciół kuzynka, dekadentów! Tak się zachowywali przy stole, jakby nas tam nie było, palili, kłócili się, czytali gazety podczas jedzenia — co? to dobrze wychowani!

A jak poubierane, to coś okropnego, u nas w Warszawie, to pokojówki na wychodne ubierają się lepiej.

Biedny ten kuzynek Jaś!

Jaka to szkoda, że nie można sobie wybierać rodziców!

A ci studenci, to podobno sami tacy wypędzeni u nas ze wszystkich szkół... wypędki!

Czarujące towarzystwo, co?... A ta ciocia żyje z nimi... winszuję, ale naprawdę nie zazdroszczę, nie...

Ci dekadenci siedzieli przy mnie. Bardzo przystojni i podobno ogromnie genialni... a jeden z nich jasny blondyn z czarnemi prawie oczami.

Nic nie drukowali, mówili, że nie warto dawać »mydlarzom« arcydzieł, że lepiej kilku wybranym przeczytać w rękopisie.

Kuzynek opowiadał, że oni mają plany na nadzwyczajne rzeczy, na arcydzieła, jakich jeszcze nie było.

Wyglądają na to, ale mnie się więcej podoba ten jasny... a głos ma taki słodki, taki... przenikający, jak muzyka.

»Ma«, z powodu prezesostwa »Pa«, urządziła u nas w hotelu herbatę; zaprosiła tę ciotkę, a ja tak zrobiłam, że z kuzynkiem przyszli i ci dwaj, pan Hyacynt i pan Adalbert.

Ale tej ciotki, to już mam dosyć i jej towarzystwa.

No, bo można być bez środków, to się czasem zdarza, podobno nawet najporządniejszym ludziom, ale żeby żyć ze stołowania... to coś okropnego.

Ci biedni kuzyni, to naprawdę egipska plaga. Niestety, ale mamy ich paru, czy nawet więcej.

Nigdy nie można było ustrzedz się od ich natręctwa w najbardziej niewłaściwej porze...

Aż dopiero »Ma« zapowiedziała Rozalii, że kto tylko przychodzi głównemi schodami, powinien dawać bilet wizytowy.

Teraz, z góry się przynajmniej wie, czy się jest

w domu, lub czy się wyszło. No... bo nieraz przychodzili, kiedy był ktoś ze znajomych... a tak się źle ubierają!... Naprawdę, ale ubierać to już się powinni porządnie, niktby wtedy przynajmniej nie poznał, że...

Ale cały czas na tym obiedzie czekałam, prychło ciotka weźmie »Pa« do osobnego pokoju i poprosi o pożyczkę.

Oni tak robią zwykle.

Nie poprosiła... a może później to zrobi... przed wyjazdem naszym...

. . . . . .

Ale herbata udała się nadzwyczajnie!

»Pa« jakoś długo nie powraca... znowu będzie awantura!...

Żeby lubieć przesiadywać w takich dusznych, zadymionych knajpach! Ci mężczyźni to nie mają ani odrobiny smaku.

Byliśmy i w teatrze.

Ale muszę wpierw napisać o tym podwieczorku.

Pan Hyacynt wpisał mi do mojego kajeciku cudny poemat. Już widzę, jak mi go Ceśka będzie zazdrościła.

Ale naprawdę ten poemat jest cudowny... ja się jeszcze dekadentyzmu nie uczyłam, ale czuję go...

Madame wykładała nam tylko historyę literatury... doszłyśmy do... naprawdę nie pamiętam, do Mickiewicza, czy też do Kochanowskiego?

Ale pan Henryk nie umiałby napisać takiego

poematu, ja go bardzo k... ale cóż, jest zaledwie studentem piątego kursu medycyny, no i nigdy, ani razu, nie powiedział mi, że jestem śliczna! — ani razu, i to mój narzeczony, to coś okropnego!

A pan Hyacynt to mi ciągle mówił o tem, a przecież pierwszy raz mnie widział!

Strasznie przyjemnie było mi tego słuchać — strasznie.

Jak wrócę do kraju, to i pan Henryk musi mi to powiedzieć...

Przejrzałam się teraz... naprawdę, ale ja jestem ładna, chociaż to lustro hotelowe jest okropne, trochę jestem za szczupła...

Ale p. Hyacynt powiedział, że jestem jak lilia górska w noc marcową!

To symboliczne, rozumiem.

Mój Boże, żebym ja tak umiała mówić ślicznie!...

Otóż byłabym zapomniała, przyszli wszyscy razem z ciocią.

Po herbacie »Pa« i »Ma« z ciocią poszli do drugiego pokoju, A ja, pan Hyacynt, pan Adalbert i kuzynek Jaś zostaliśmy sami.

Taka jestem wzruszona, że jeszcze uspokoić się nie mogę... bo cały czas pan Hyacynt rozmawiał ze mną... a tak patrzył... tak cudnie mówił i tak mnie całował po rękach... nie śmiałam mu zabronić... bo tak mówił wtedy o nieśmiertelności... o sztuce... o nagim wszechbycie... o czuciach zielonych kamieni... o białym koniu i o słońcu zgniłem. Aż mi się w głowie mąciło.

Nie, chyba o tem nie napiszę panu Henrykowi, nie zrozumiałby i jeszczeby się śmiał ze mnie.

I mówił jeszcze, że już od dzieciństwa szuka absolutu. — Doprawdy, ale nie śmiałam się pytać, co to takiego?

Ale... pan Hyacynt i pan Adalbert nie są z tych, co to Przybyszewskiemu mówią »Stachu«. Oni są jego przeciwnikami!

Pan Hyacynt powiada, że Przybyszewski, to nie dekadent, a tylko »filister«, a zaledwie Jan Chrzciciel jego i Adalberta!...

Mają założyć pismo, które drukować się będzie na czarnym papierze zielonemi literami, i tam dopiero mają wypowiedzieć wojnę całemu światu — i Przybyszewskiemu, a nawet i Miriam jest »filistrem«.

Miriam! nie, nie słyszałam nigdy o takiej literatce! — I potem napisał mi ten poemat:

. . . . . .

»Na ulicach miasta leży śnieg, a deszcz tak pada, pada, pada...

A ja leżę na smutnej, jak moja dusza, kanapie, leżę.

Na fioletowej kanapie marzenia leżę, a deszcz tak pada, pada, pada...

. . . . . .

»Na śnieżnych absolutu polach kwitną orchidee!...

»A ona przysłała mi tuzin skarpetek i srebrną łyżeczkę do kawy...

»A potem umarła!!!

»Na śniegach leżą orchidee... a ona umarła.

»Buty policyanta skrzypią pod oknami szpitala waryatów.

»Butelka przepotężnej gliceryny stoi pod fuksyami!...

»I tylko tuzin skarpetek mi przysłała i srebrną łyżeczkę do kawy.

»A potem umarła!«

. . . . . .

»Ona tak lubiła kawę, czytała Altenberga, używała tylko goldcreamu.

»Ubierała się w fioletowe suknie, lubiła zapach przypalonych kaloszy!

»I zimne mięso z sosem tatarskim.

»A potem umarła«.

. . . . . .

»O! O! O!

»Dusza moja zmącona, jak biała bita śmietana istnienia.

»Serce moje przegryzły obłędne grynszpany rozpaczy.

»Jakże sierocą i smutną jest ta łyżeczka do kawy?

»Tak smutną, jak książęce buty na śmietnisku, jak to okno, ślepe na nieśmiertelność.

»I jak ta pusta butelka, i jak ta umarła...

»I jak ten policyant, którego buty skrzypią pod oknami szpitala waryatów«.

. . . . . .

»Na ulicach śnieg leży, deszcz pada, słowiki śpiewają.

»Miedziane trąby huczą w mniszek klasztorze.., a z daleka... z daleka...

»Zgrzyt ostry kos na łąkach,.. tam — na łąkach prabytu...

»Tam, gdzie chodzą nagie wszechbyty i płyną strugi przepotężnej gliceryny pod fuksyami absolutu«.

. . . . . .

Naprawdę, ale nawet w *Kuryerze* nigdy tak ślicznego kawałka nie czytałam.

Kuzynek Jaś pododawał tylko znaki pisarskie, bo pan Hyacynt musiał w natchnieniu zapomnieć.

Poszliśmy razem do teatru.

Teatr śliczny, zapomniałam tylko, co grali, bo było tyle ludzi!...

Wszystkie loże zajęte. Ale naprawdę u nas w Warszawie panie szykowniej się ubierają, no i są znacznie piękniejsze... tylko, że u nas niema tylu hrabiów!

Kuzynek i pan Hyacynt pokazywali mi ich. Z pół teatru było samych hrabiów, hrabin i hrabianek! A brzydkie, jakby naumyślnie!

Przecież hrabianki to już powinny być przystojne...

A potem pokazali mi lożę, gddie siedział Przybyszewski i ci, co mu mówią »Stachu«.

Nie myślałam, aby tutaj, w takiej dziurze, jak Kraków, aż tylu było hrabiów!

»Pa« powiedział, że to garsoni po knajpach i hotelach tylu fabrykują hrabiów, że Galicya ma ich nawet na eksport!

— Nie, nie mogę tego zrozumieć...

Taka już jestem senna...

Ale dlaczego mu dała tuzin tych sk... i potem umarła?... To musi być głęboki symbol...

. . . . . .

»Pa« powrócił ogromnie wesoły... i mówi, że był z kuzynkiem i z tymi panami, że to chociaż dekadenci, ale porządne chłopaki i z przyszłością!...

Lubię to »chociaż«!... »Pa« będzie oceniał dekadentów!...

. . . . . .

30 marca, rano. Już wieczorem jedziemy do Wiednia.

Jestem tylko ze »Stokrotkami«, bo »Pa« studyuje tutejsze urządzenia, a »Ma« poszła do Kapucynów kupić kropli, bo ta homeopatya to »Stokrotkom« jakoś nie pomaga...

Muszę pisać do pana Henryka, ale tak mi się nie chce i... zresztą to nie tak łatwo... na brudno,

to jeszcze jako tako... ale przepisywanie na czysto to taka męka, aż mnie głowa boli...

Naprawdę, że nie rozumiem, poco wynaleźli te całe głupie ortografie i znaki przestankowe.

Żeby się tylko ludzie męczyli. Dobrze pan Hyacynt mówił, że to jeden z najstarszych przesądów.

Chciałabym bardzo widzieć go jeszcze i słuchać...

. . . . . .

O zmroku. Byłam w ujeżdżalni na zgromadzeniu soc... »Pa« przyszedł z kuzynkami i musieliśmy iść, chociaż »Ma« się uparła i została, bo powiada, że jeśli was kto zobaczy... i potem stanie się jakieś nieszczęście, to niechże ma was kto bronić!... Zimno mi się zrobiło!...

Bo jabym w więzieniu nie wytrzymała ani godziny i zarazbym umarła... z samego wstydu!...

Ale »Pa« z kuzynkiem śmiali się, a ja byłam taka ciekawa zobaczyć tych soc..., bom jeszcze ani jednego w życiu nie widziała.

Już było pełno w tej ujeżdżalni. Jakiś pan z dużemi wąsami mówił na estradzie, ale nie można się było tam docisnąć, ani nic wyraźnie usłyszeć, bo tak wrzeszczeli, co powiedział: Bóg — Hańba! krzyczeli, Praca — Hańba! Stańczycy! Hańba!...

Tak się bałam, myślałam, że w tej chwili wszystkich nas wyprowadzą... ale wyszliśmy zaraz, bo ci

soc... tak jakoś końmi pachną, że okropnie mnie głowa rozbolała! Muszę się zaraz pakować.

Żeby to jak najprędzej zobaczyć te Włochy, tak mnie już nudzi Kraków!

Zalepię kartki i zaraz oddam »Pa«, bo chce pisać, a taki jakiś zły, że się boję mówić do niego.

. . . . . .

Ale musiałam dać panu Hyacyntowi chusteczkę na pamiątkę, zabrał i nie chciał oddać... i tak prosił... tak...

Zaraz, przed odjazdem jeszcze muszę napisać do pana Henryka, bo on tam biedactwo musi dopiero tęsknić!

. . . . . .

Dopisek »Pa«. Wybrali mnie na prezesa! Skromne są moje zasługi, ale nie chwaląc się, ja, Jan Gwalbert, służę, jak mogę, temu biednemu, ciemnemu społeczeństwu i bez nagrody, bo prezesostwo jest honorowe. Prawda, mam w tym interesie jakiś kapitalik, ale te 15%, jakie daje, czemże jest wobec korzyści, jakie przynosi ogółowi?...

Tani lombard dla ubogich, to instytucya użyteczności społecznej.

A ja tej instytucyi byłem inicyatorem, ja, Jan Gwalbert.

Ale dość, nie wypada pisać o skromnych swoich zasługach!...

. . . . . .

Całe trzy dni byłem w Krakowie, oglądałem pilnie, przypatrywałem się sumiennie, badałem wszystko gorliwie i sądzę szczerze, że dobrze poznałem, że mam już prawo wygłosić swoje zdanie, i czynię to z czystem sumieniem dla pożytku społecznego.

Trzymałem się ściśle notatki radcy Malinowskiego.

Hawełka, no wprost nadzwyczajny, czułem się tam, jak u siebie w domu, i chłopcy nie biorą napiwków!

To jest bardzo moralne, to trzeba wprowadzić u nas w Warszawie, to jest europejskie! A pilzner wszędzie prosto z beczki, no wprost doskonały!

Próbowałem i krajowych piw, bardzo, bardzo możliwe.

Poznałem się z jednym bardzo porządnym demokratą. Wypiliśmy po dziesięć większych pilznera, ale nagadałem się, wyżaliłem i teraz wiem, co to znaczy ta tutejsza konstytucya!

A i te chłopaki, chociaż dekadenty, bardzo porządni, z przyszłością. Zakładają pismo dla prawdziwej oświaty inteligencyi!

Oświata! tak, to fundament, to opoka, tak. — Wprawdzie oni mi wymyślali od filistrów, od mydlarzów, ale psiakość, nóżki baranie, mydlarzem nie jestem; ja, Jan Gwalbert, pokazałem smykom, że jestem czujący obywatel i kocham społeczeństwo,

zapłaciłem za nich kolacyę, zapłaciłem prenumeratę za dziesięć lat z góry! Straszniśmy się potem pokochali, psiakość, nóżki baranie.

Muszę się streszczać, bo chciałbym przed wyjazdem uciąć małe śpi.

Otóż: Niema kanalizacyi i wodociągów.

Bruki, oświetlenia, porządki, pod ostatnim starym dyabłem.

Domy brudne, odrapane, zanieczyszczone, że aż strach.

Żeby to tak u nas, dałaby im policya takie nieporządki,

Podatki straszne, przerażające, nie do uwierzenia.

Ja, Jan Gwalbert, ja obywatel, to mówię, że stanowczo za dużo hrabiów, za dużo ekscelencyi, za dużo posłów, za dużo stronnictw. Skończyłem.

P. S. Socyalistów stanowczo skasować powinni...

A co marnotrawstwa, to zgroza! Miasto obdłużone, że ledwie procenta płaci, więc ciągle właścicielom podnosi podatki... Za dużo stanowczo tych podatków od dodatkowych dodatków.

A mają planty i grubo płacą na ich utrzymanie! Gdzieby to u nas pozwoliło miasto, żeby tyle placów stało bezużytecznie pod ogrodami. Rozparcelować wytknąć ulice, sprzedać, zabudować porządnemi kamienicami i pieniądze są, ruch jest,

przemysł się podnosi, handel ma parę tysięcy nowych sklepów.

To jest porządna gospodarka miejska, tak się u nas w Warszawie robi, a tutaj miliony się marnują i na co?

Ja, Jan Gwalbert, pytam się na co?

Żeby na tych trawnikach psy się ganiały, a po alejach żeby sztubaki urządzały sobie schadzki z pensyonarkami?

Tak, planty są niepożyteczne i niemoralne, bardzo niemoralne!

Skończyłem.

Jeszcze słówko.

Raz jeszcze powiem, że za dużo hrabiów i żydów z pejsami!

Psiakość, nóżki baranie, co za wiele, to niezdrowo. Pytam się w teatrze o tego i owego, co mi wpadł w oczy: Hrabia, powiadają. Potrąciłem kogoś na ulicy. Bój się Boga, krzyczą mi w ucho — to ekscelencya! U Hawełki zmierzam do stołu, gdzie siedział jakiś jegomość; nie można, widzisz, to jenerał!... Idę do pustego stołu, nie można, zarezerwowany dla nadradcy.

Pasya mnie ogarnęła, psiakość, nóżki baranie, wściekła pasya, poszedłem do bufetu, żeby się ochłodzić... Czekałem pół godziny na piwo, dlaczego? Bo panowie posłowie musieli wpierw wypić!... a potem kandydaci na posłów, a potem hrabiowie, znowu ekscelencye.

Jezus, Marya, myślałem, żem się urżnął, ale nie, »Stokrotki« siedziały przy mnie, no i wypiłem może wszystkiego z pięć większych.., więc się pytam tego znajomego demokraty, serdeczny człowiek — gdzie, psiakość, nóżki baranie, są u was zwyczajni, porządni, nieutytułowani ludzie?...

— Przeważnie w Wiśniczu i pod Telegrafem — odpowiada, to niby jakby u nas na Pawiaku.

— Ale i tam ekscelencyi nie brakuje — dodał.

Konstytucya, wolność, doskonała rzecz, ale tyle hrabiów i trzy procent od kapitałów! — Bóg zapłać, wolę wrócić do Warszawy!

Skończyłem, idę się przespać.

. . . . . .

Dopisek »Ma«.

Kobieta chrześcijanka, która często rozmawia z Nim, nie ma tak wiele do powiedzenia o świecie.

Tak, Kraków jest piękny! Piękny przez swoje świątynie, przez pobożność, jaka tutaj panuje, przez cnoty, przez zadziwiającą ilość różnego duchowieństwa!

Ale Kraków jest bardzo drogi! Byłam na targu, pytałam się o ceny, włosy mi powstały na głowie, taka drożyzna! Całe szczęście, że ci biedacy mają tutaj tyle pociech religijnych, całe szczęście. Opatrzność zawsze czuwa nad maluczkimi.

A ludzie nie chcą widzieć tego, ślepi i nieszczęśni!

Sklepy nieszczególne, ale niektóre materyały zadziwiająco tanie. Niewiele kupowałam, bo w Wiedniu podobno jeszcze taniej.

Nie, ja nie jestem obskurantką, ale ta siostra męża bardzo mi się nie podobała, wygłasza zasady, że... stara waryatka! chłodziła się tyle lat i nic nie pomogło. Dałabym głowę, że nie chodzi do spowiedzi! Tak też jej Pan Bóg daje, że żyje prawie w nędzy! Nie mam litości dla bezbożnych! Radziła mi, abym dla dokończenia edukacyi Hali zostawiła ją w Krakowie!

Naiwna z tą swoją krakowską edukacyą! Moja Hala jest skończoną panną, przecież w Warszawie skończyła pierwszorzędną pensyę, doskonale gra na fortepianie, umie po francusku i po niemiecku i robi doskonałą partyę!

Boże! muszę jeszcze przed wyjazdem dać »Stokrotkom« tych kropli«...

. . . . . .

Wiedeń 2-go kwietnia.

W Wiedniu to już jest naprawdę za granicą.

Takie wszystko inne, takie cudowne i takie rzeczywiście zagraniczne!

Miałam straszny katar, bo jechaliśmy nocą, zimno było, a ja tak chciałam widzieć tę zagranicę, że wciąż wyglądałam oknem.

Ale nic nie było widać i pociąg tak prędko leciał, że nie mogłam nigdzie kupić kart. Tylko na

jakiejś stacyi garsoni latali przed pociągiem i wołali: »*szwarc kafe*«. U nas to nigdy tak nie wołają.

Tyle żydów jechało w tym pociągu, że już myślałam, że my nie do Wiednia jedziemy!

Ma się rozumieć, »Pa« zaraz musiał zrobić z nimi awanturę!...

No, bo jakiś, taki gruby, zdjął buty i siedział tylko w sk..., a potem zdjął palto... a potem kołnierzyk... naprawdę, ja myślałam, że on się zupełnie rozbierze.

»Pa« go wyrzucił na korytarz i zrobił taki hałas, aż przyleciał konduktor, a »Stokrotki« poczciwe chciały go gryść, ledwie je »Ma« wstrzymała...

Konduktor kazał mu się ubrać, siedział potem, ale tak gadał, że tutaj jest Austrya, a nie Warszawa, że tutaj jest wolność, jest konstytucya, jest równość, a takich polskich szlachciców, jak »Pa«, to uczą rozumu...

Dopiero jak mu »Pa« powiedział bardzo brzydko o konstytucyi, i że da mu w m...., to się zabrał i wyniósł do innego przedziału.

Ja myślałam, że za granicą to i żydzi są grzeczniejsi i cywilizowani!... no bo, żeby zdejmować buty i ubranie przy damach!... naprawdę, ale u nas i chłopby tego nie zrobił!...

Kuzynek Jaś nas odwoził, ale już powrócił.

Nie, nigdybym nie przypuszczała, żeby on był

taki bezwstydny, nigdy; pożyczył od »Pa« sto rubli!... To coś okropnego!

»Pa« się zirytował, bo podobno i tamtym musiał pożyczyć!!!

To wprost nie do uwierzenia! tacy przyzwoici, tacy dekadenci i pożyczają pieniądze! Nie mam słów, jakie to obrzydliwe!

A jeszcze »Pa« powiedział, że pan Hyacynt, to nie tyle dekadent, ile zwyczajny szajgec! Nie, nigdy w to nie uwierzę — nie...

Jezus, umarłabym z obrzydzenia... z pewnością »Pa« to mówił przez złość!

Bo, że kuzynek pożyczył, to nic dziwnego, wyręczył tylko swoją matkę.

Mój Boże, jak to nikomu ufać nie można, nawet prawdziwym dekadentom!

Ale pan Henryk, toby od nikogo nie pożyczał z pewnością!... Zarazbym z nim zerwała. Napisałam do niego, wyjeżdżając z Krakowa.

Ach, jak to się dobrze stało, żem mu nic nie wspominała o panu Hyacyncie!

. . . . . .

»Pa« się znowu zirytował, bo dla oszczędności, że tutaj fiakry są bardzo drogie, wziął przewodnika i musiał mu za cały dzień zapłacić piętnaście guldenów!

Ale miasto cudowne! Jakie wystawy, to naprawdę, ale nawet nie marzyłam, żeby mogły być takie śliczne.

A co za przepych! jakie stroje, jakie kapelusze, to zupełnie jakby żurnale mód chodziły po ulicy... a jacy szykowni są tutaj panowie! Naprawdę, ale nawet ci, co powożą fiakrami, to tak zupełnie wyglądają, jak nasi hrabiowie... Dobrze im się przyjrzałam w przeszłym roku na *corso* w Alejach Ujazdowskich!

I fiakry takie szykowne i zupełnie jak prywatne powozy wyglądają. Bo u nas, naszemi dorożkami, to już zupełnie jeździć nie można.

»Ma« mówi, że uczciwe kobiety nie jeżdżą na gumach, no, a temi strasznemi jednokonkami, to znowu nikt szanujący się nie pojedzie.

Byliśmy w Burgu, w muzeum cesarskiem. Obrazów małośmy oglądali, bo przecież we Włoszech zobaczymy piękniejsze... ale... naprawdę, to zupełnie nie rozumiem, dlaczego ludzie tak się zachwycają tymi obrazami?...

Prawda, że to teraz bardzo modne, ale...

A jaki tam kapelusz widziałam! z samych czarnych, ogromnych piór strusich, poprzepinanych bukiecikami fiołków, no cud prawdziwy!...

I w tem muzeum są śliczne rzeczy, a szczególniej te złote, naprawdę szczerozłote serwisy cesarskie i tyle kosztowności!

»Pa« powiada, że to złoto, to blaga! Ale jakżeby, żeby cesarz nie mógł mieć szczerozłotych serwisów!

. . . . . .

Całe popołudnie oglądaliśmy wystawy!

Cudy, same cudy, ale już mnie tak nogi bolą!...

Pan Henryk pisał dzisiaj, ale on już nudny z temi radami i czułościami... to dobre w Warszawie, ale nie tutaj za granicą.

Idziemy wieczorem do Ronachera, do opery nie, bo za drogo i »Pa« mówi, że w każdem mieście włoskiem są lepsze i tańsze...

Strasznie się cieszę, bo nigdy jeszcze w takim teatrze nie byłam... a tyle mi o tem kuzynek naopowiadał!...

Kupiłam sobie »princessów«, zapalę po teatrze, jak »Ma« i »Pa« pójdą spać! Przecież u Altenberga, to wszystkie panie palą »princessy«.

A »Ma« kupiła mi białą flanelową suknię, ogromnie to wszystko tanie i szykowne! że to coś okropnego!...

. . . . . .

Wieczorem, po Ronacherze.

»Pa« poszedł do kawiarni na gazety, mówił, że musi sprawdzić notatkę radcy.

Ach, ten Ronacher, to wprost cudowny! Ale nic nie podobny do teatru Rozmaitości, ani do krakowskiego, ani się umywają do niego!

Już dla tego samego warto było przyjechać do Wiednia! Nigdy w życiu, nawet na swoich zaręczynach, nie bawiłam się tak doskonale!

A »Ma« powiada, że to jeden skandal i obraza boska!

Co tam mogło być nieprzyzwoitego?... no, ten zapach piwa, sosów, schabu z kapustą, przyjemny nie jest, to prawda, ale, żeby aż obraza boska!... to już dziwaczenie i...

Najpierw śpiewała jakaś Niemka i tak wygorsowana, że aż całe łopatki było widać, a na przodzie to...

A potem tańczyli, grali, śpiewali; były i psy tresowane, i niedźwiedzie, i akrobaci, i żongler, jak u nas w cyrku, i balet, i clowni bili się po twarzach ogromnie zabawnie... a potem tańczyli jacyś Francuzi!...

Jezus! trochę się wstydziłam patrzeć... bo tak fajtały nogami, że... że myślałam, że im wszystko pospada! Aha! to taki kankan!

Tylko tyle!

Nieraz czytałam o nim w romansach, ale myślałam, że to coś naprawdę nieprzyzwoitego...

E!... tak fajtać nogami, to i jabym potrafiła...

Spróbowałam nogami troszeczkę... tylko, że się krzesło przewróciło i »Ma« się przebudziła zaraz...

. . . . . .

Paliłam te »princessy«, ale tak mi jest strasznie nied...

. . . . . .

Myślałam, że już umrę... nie, nigdy już, nigdy

nie będę paliła nawet »princessów«, to obrzydliwość!... Czy mężczyznom zawsze się tak robi po paleniu?...

. . . . . .

»Pa« powrócił, ale jakiś zły!

Aha, mówi do »Ma«, że jedziemy już jutro rano, że niema czasu na siedzenia w Wiedniu, zobaczymy go z powrotem lepiej.

A myśmy jeszcze nie były na Mariahilfstrasse!... ani w żadnem Panopticum!

Przynajmniej nie będę potrzebowała pisać długiego listu do pana Henryka, powiem w karcie: »Pa« tak spieszył, że czasu nie było...

Jeszcze mi jakoś niewyraźnie...

. . . . . .

Dopisek „Pa".

Zły jestem, wściekły jestem, psiakość, nóżki baranie!

Ten radca mnie urządził, no!

Byłem tu i owdzie, aby to, co mi napisał — sprawdzić, no nie źle, nie. Piwo i owszem, dobre. A po teatrze, walę do tej »Spitzer-Café«!

Myślałem, że istotnie zobaczę coś ciekawego, bo radca tak mrugał... a może nawet tak troszeczkę... no uczciwie pikantnego...

A tam brudno, piwo pod psem i ostatnie wybiorki... wywłoki...

Wściekły byłem, zwymyślałem przewodnika, co wlazło...

Poszliśmy na lepsze piwo... a tam tylko wino sprzedawali...

Poznałem się z rodakami, bycze facety; postawili szampańskie, postawiłem i ja raz i drugi!... Koniec końcem pękło sto guldenów, psiakość, nóżki baranie...

Podła dziura ten Wiedeń!

Pieniędzy wydałem masę, a nic pożytecznego nie widziałem.

Blagierskie miasto, jutro jadę dalej.

Deszcz, błoto, zdzierstwo i blaga na każdym kroku.

Wchodzę do muzeum... marmury, marmury!

Myślę sobie, tutaj nie blagują, cesarskie!

Ale, że to człowiek bywał nieraz taksatorem przy wystawianiu domów na licytacyi... więc się przyglądam uważnie — stiuki nie marmury, blaga!

Kogo? mnie, Jana Gwalberta, chcą oszukiwać? Oho! jeszcze się taki nie urodził. Oto i wszystko!

I tylko trzy rzeczy godne zanotowania widziałem:

Ronacher!

Miotły na kołach do zamiatania ulic!

Automat Bar!

Wchodzę tam, nikogo; wtykam dziesiątkę, zakręcam kuraskiem, leje się śliwowica; wtykam

drugą — wysuwa się bułka z szynką; wtykam trzecią — jest piwo!

Psiakość, nóżki baranie, te szwaby, to mają kiepełe.

A Ronacher, to jest instytucya! Takie powinno się wszędzie urządzać, bo to i moralne i człowiek się rzetelnie zabawi — i spokojnie zje kolacyę! Nie tak, jak w tych teatrach; płać, duś się, wytrzeszczaj oczy, a tam ci pokazują zdrady, miłości, okropności, że w antrakcie piwa nie można nawet przełknąć... i takie zgorszenie pokazują, że dziewczyny nie można brać na to!

3-go kwietnia. W drodze do Włoch, na jakiejś stacyi.

Tak mi jest smutno, takbym czegoś płakała, że to coś okropnego...

Same nieszczęścia nas dzisiaj prześladują.

Najpierw zaspaliśmy trochę.

Potem zapomniałam pudełka z kapeluszem, »Pa« musiał już z dworca wracać do hotelu, ledwie zdążył, że już nie mieliśmy czasu zjeść śniadania...

Ja to wszystko przeczuwałam, bo śniły mi się ryby ze śliwkami, a to znaczy zawsze jakieś przykrości, nieraz to już sprawdzałam!...

Mówiłam zaraz o tem »Ma«, ale powiedziała, »że czasem, to nic nie szkodzą ryby ze śliwkami«, a tylko jak się śnią ryby na amarantowo, to może być źle!

Być może, ale i moje ze śliwkami sprawdziły się!...

Boże! to już tak daleko od Warszawy, a ja jestem taka nieszczęśliwa...

Mam czerwone oczy i taka jestem mizerna! Muszę się trochę przypudrować! Ach, żeby to pan Henryk widział, jak ja jestem nieszczęśliwa! O, jemu tam dobrze, chodzi z kolegami na biby, albo i umizga się i... wcale nie jest nieszczęśliwy!...

Ach, jacy egoiści są ci mężczyźni, to coś okropnego!...

. . . . . .

Tak było pełno, że ledwieśmy miejsce znaleźli.

Także spotkanie! W tym samym przedziale jechał ten żyd, którego »Pa« przed Wiedniem wyrzucił, bo buty zdjął...

Niegodziwiec! Tych wszystkich żydów, tobym kazała wsadzić już nie wiem gdzie!... Bo to wszystko przez niego!

Jechaliśmy, ale nie można było nic widzieć przez okno, deszcz padał, i mnie się spać chciało, i »Pa« klął, że mu się jeść chce, a i »Stokrotki« tak piszczały!

Naturalnie, bo i one nie jadły śniadania!... Ale tak pociąg leciał, że nigdzie nie można było wysiąść!...

Dopiero tutaj, na tej wstrętnej stacyi miał się zatrzymać dłużej... a »Pa« mówi: wysiądę, przetrącę co i wam przyniosę.

I wyszedł, no i może po minucie pociąg rusza, a »Pa« niema!...

Jezus! myślałam, że oszaleję... »Ma» zaczęła krzyczeć, żeby przystanęli!...

Ale gdzie tam co zrobią te szwaby!... »Pa« chciał jeszcze w biegu wsiąść — złapali go!...

A ten żyd powiada, żeby pociągnąć za rączkę u sufitu, to pociąg stanie. Pociągnęłam z »Ma«, aż się coś oberwało i pociąg strasznie zagwizdał, ale zaraz stanął...

Co to była za awantura, to coś okropnego...

Zleciała się służba, i pasażerowie, i wszyscy!...

»Pa« nie puścili do pociągu, a myśmy też wysiadły, a połowa rzeczy poszła prosto do Budapesztu!... ale rzeczy, to pewnie nie zginą, ale moje czekoladki, to napewno śledzia zjedzą, umyślnie mi je »Ma« na drogę kupiła.

Sodoma i Gomora! Naprawdę, ale jużbym drugiej takiej chwili nie przeżyła...

A ten niegodziwy żyd śmiał się z nas, bo to on powiedział, że na tej stacyi pociąg zatrzymuje się na śniadanie!... »Pa« aż go bić chciał i szkoda, że pociąg ruszył, ale tak mu jeszcze z peronu nawymyślał, że to coś okropnego!...

A ten podły wyglądał oknem i krzyczał:

— Wimiślaj pan sobie zdrów, a ja po polsku nie rozumiem!

Okropni są ci żydzi, ja, żebym była »Pa«, tobym tym wszystkim, którzy mieszkają u nas, zaraz

podniosła komorne. Ale »Pa« tego nie zrobi, wiem, taki miękki...

Już ja panu Henrykowi nie pozwolę być safandułą...

No i musimy na tej stacyi czekać do południowego pociągu i »Pa« zapłacił już karę za zatrzymanie.

»Stokrotki« widocznie się przestraszyły, bo tak się biedaki trzęsą, a może nawet są chore...

Sama »Ma« poszła prosić naczelnika stacyi, żeby im co poradził, to ten gbur, szwab jakiś, powiedział, że nie jest weterynarzem...

Chociaż u nas nie jest za granicą, ale naprawdę ludzie są grzeczniejsi!...

. . . . . .

Zjedliśmy porządne śniadanie, ale mamy jeszcze trzy godziny czekania... i z tego wszystkiego zupełnie mi się rozfryzowały włosy.

Jakiś śliczny huzar chodzi po peronie, pewnie Węgier!

Zafryzuję sobie włosy i pójdę przejść się trochę po peronie.

. . . . . .

Budapeszt 4-go kwietnia. Dopisek »Pa«.

Przespałem się, wypocząłem po tych strasznych przejściach i zaraz ruszamy dalej, a i kobiety ze »Stokrotkami« czują się niezgorzej.

Ten Peszt, to Europa, psiakość, nóżki baranie! a te Węgry, to naród, ho! ho!..,

Ogromnie tylko podobni do żydów!... Wola boska, sam znam w Warszawie czystego jak złoto katolika, a taką ma jucha twarz, że na pierwszy rzut oka przysiągłbyś, że gudłaj!

Przeszedłem się trochę po mieście! Wspaniałe, nadzwyczajne!...

Elektryka, asfalty, drzewo, porządek pierwszej klasy!

Tylko wina węgierskiego nie mają! Wszedłem do Grand Café i zażądałem, podali mi jakąś lurę... a myślałem, że się tam za tanie pieniądze uraczę, co się zowie... Ale za to gulasz — piekło, dziesięć większych pilznerów wypiłem i jeszcze mnie pali.

A kobiety! — smoki! Żebym tak nie był z gruntu moralnym człowiekiem i czującym obywatelem i gdybym był sam! — No nie ręczę...

Chodzą jak łanie, aż do głowy uderza!

A domy — pałace, prawdziwe pałace, jak pod sznur wyciągnięte i wszystkie w jednym stylu, w takim porządnym dochodowym stylu!

To, to lubię, a nie te różne fidrygałki i wymysły głupie, które dużo kosztują, a ani grosza więcej nie przynoszą, jak te przechwalone domy Talowskiego w Krakowie,

A hotele! Winda wszędzie, elektryczność, woda, czystość, komfort, że człowiek i w domu nie mie-

szka porządniej. A pokojówki! no wprost damy! Nie śmiałem jej mówić o ciepłą wodę do ogolenia!

A przystojne!... pi, pi, pi! — te z Fantazyi, to nawet się nie umywały!

Muszę ja tutaj kiedy sam przyjechać... bo Peszt wart porządnego obejrzenia... a z kobietami, to człowiek przeważnie skrępowany...

. . . . . .

Ale zdzierusy, niech ręka boska broni, gorzej, niż żydy!

. . . . . .

5-go kwietnia już w drodze do Wenecyi.

Jedziemy już prosto do Włoch.

Mamy przejeżdżać przez morze, co?... Tak się tem cieszę, bo żadna z moich koleżanek nie jechała morzem... mogą sobie za to jeździć przez Wisłę na Saską Kępę — nie bronię. Pesztu prawie nie widziałam, bo tak mnie bolała głowa!...

Ale za to na stacyi widziałam prawdziwego Anglika, mówił wprawdzie po niemiecku, ale był taki w kratki, miał pled i Baedeckera w ręku, że to z pewnością Anglik: O, w Wenecyi, to »Pa« musi kupić mi Baedeckera, przecież to wprost nie wypada jeździć bez niego.

Ale tutaj, chociaż tak blizko Włoch, wcale nie jest jeszcze ciepło...

Pola wszędzie, jak u nas; jedziemy do jakichś

gór, widać je z okna; jakby je kto farbką namalował, takie niebieskie...

Jedziemy z ogromnym szykiem, bo jest i wagon restauracyjny! Byliśmy już w nim na kawie! To takie dziwne!...

Tu się je, a tu się jedzie, a tak się wszystko chwieje, jak pijane.

Mało takich zwyczajnych ludzi, sami prawie podróżni, to zaraz poznać...

O, my też wyglądamy dystyngowanie, ale do Anglików to nie jesteśmy podobni, szkoda...

Nie rozumiem, dlaczego »Pa« nie chce robić znajomości w wagonie, przecież to mogą być jakieś wysokie figury...

Muszę obserwować...

Te pola, to widać już są na całym świecie.

Przy drzwiach siedzi jakiś brunet bardzo szykowny.

Wsiadł w Peszcie, i w takim ogromnym palcie, jakby w niem mieszkał. Nie mogłam wstrzymać się od śmiechu, a on, jak siadał, ukłonił się nam... Dobrze widać wychowany!...

Wyszedł na korytarz palić papierosa...

Napewno Węgier... taki czarny... tylko nos ma niewyraźny, jakby...

Aha, rozmawia z »Pa«... ciekawam? muszę iść poprawić sobie włosy...

. . . . . .

Jedliśmy obiad przy jednym stole, rozmawialiśmy... a jaki miły!

»Stokrotki nie miały miejsca, to je trzymał na kolanach... tego toby nawet pan Henryk nie zrobił... a tak na mnie spogląda...

. . . . . .

Już dawno, dawno po południu, a my wciąż jedziemy... »Pa« drzemie.

Jedziemy przez straszne góry, no nigdy takich nie widziałam, a wysokie, że to coś okropnego, aż się patrzeć boję...

On umie trochę po polsku!... zaczął z »Ma« rozmawiać, tylko ma taki dziwny akcent... pewnie węgierski!

Muszę być strasznie czerwona, bo tak się zawstydziłam... mówiłam z »Ma« o różnych rzeczach... a on mógł rozumieć...

Chociaż, wolałabym Węgra, który nie rozumie po polsku, to byłoby szykowniej... Bardzo dystyngowany człowiek... opowiada o swoich dobrach na Węgrzech, ma i domy w Peszcie!... Przedstawia się nam!...

. . . . . .

Nazywa się baron Pfaffy-Terek!...

To wspaniale brzmi! Prawda, przecież i arcyksiężna Stefania wyszła za Węgra!... teraz, to temu się nie dziwię!

Ach, cudowna ta droga przez góry, ze dwie godziny stałam z nim w korytarzu i patrzyliśmy,

bo księżyc świeci... a tak mówi ogniście... pocałował mnie w rękę... aż mi się strasznie zrobiło, ale się obraziłam, bo to nie wypada tak zaraz... Chociaż podobno ci Węgrzy zawsze są tak gwałtowni...

Tak mnie przepraszał... powiedziałam, że później to mu może daruję... ale przecież ja się nie gniewam, tylko tak wypadało...

. . . . . .

Słyszałam, jak mu »Ma« powiedziała, że jestem już narzeczoną, ale narzeczeństwo, to jeszcze nie ślub... Poczciwa ta »Ma«, a jaka mądra!...

. . . . . .

Napisałam na szybie tym zaręczynowym brylantem: Baronowa Pfaffy-Terek — to wspaniale wygląda!...

. . . . . .

We wszystkich francuskich romansach każdy baron albo wicehrabia mają najmniej po pięćdziesiąt tysięcy franków rocznego dochodu!...

. . . . . .

Szkoda! Pan Henryk jest bardzo dobry i ja go ogromnie k...., ale on nigdy nie będzie baronem, ani nie będzie miał 50.000 franków dochodu!

. . . . . .

Ale Nacia i Ceśka i wszystkie znajome umarłyby z zazdrości...

Już zjeżdżamy z gór do Fiume!...

Tam, gdzieś w dole pobłyskuje morze, bo księ-

życ tak świeci... Tak jest cudnie, tak cudnie, że wolę patrzeć, niż pisać...

Nie, to zupełnie, jak w jakiej operze, tak jest pięknie, a może nawet i ładniej.

. . . . . .

Fiume.

Nie zdążyliśmy na okręt, pociąg się spóźnił, musimy czekać do jutra wieczorem.

On mieszka w tym samym hotelu i zajmuje się ciągle nami!...

Boże, czyby to być mogło?...

A przed oknami huczy morze!... to tylko tak piszą, że huczy, ale to morze, to nie huczy wcale!

Więc to jest prawdziwe morze!... Zupełnie nie wygląda na to, bo wcale go prawie z okien nie widać!...

Deszcz znowu pada. I nie widziałam jeszcze ani jednego z tych »wilków morskich« marynarzy!...

. . . . . .

Żeby chociaż te ciotki naprawdę zapisały panu Henrykowi swoje domy, bo to o dobrą praktykę teraz trudno!... — powiada »Ma«.

. . . . . .

Już na morzu, ołówkiem.

Tak się strasznie boję. Całe szczęście, że on jest z nami!... Tak się wszystko kołysze!... Morze

takie ciemne, tak grzmi. Pewnie będzie burza!... Jezus, za nic w świecie nie chcę utonąć, ani żeby się statek rozbił. Czytałam o takich rozbitkach i o ludożercach!... To straszne! Aż się myśleć o tem boję.

Tak ciemno, że nawet tego okrętu nie można zobaczyć... i nie można chodzić, trzeba się trzymać poręczy...

. . . . . .

Już ruszyliśmy! Boże mój, czy aby dojedziemy do tej Wenecyi, czy ja jeszcze zobaczę Warszawę!

Baron powiedział, że jedziemy spokojnie, że nic się nie stanie... Chciałam z nim pomówić, ale »Ma« ciągle była przy nas.

. . . . . .

Byliśmy na kolacyi! Ach, jakie to dziwne! to wprost nie do uwierzenia! solniczki, oliwiarki wiszą u sufitu... tylko trochę się kołysze... i tak się kiwali wszyscy zabawnie!... jakiś pan, który siedział naprzeciw, wyciągnął rękę po sól, ale się kiwnęło, złapał »Ma« za nos!...

Jakie to było śmieszne!... a »Ma« nawymyślała mu, jakby był co winien.

Sam okręt, to nic nadzwyczajnego, taki dom, co pływa...

. . . . . .

Siedzieliśmy wszyscy na pokładzie, on siedział trochę niżej i że było dosyć ciemno, pocałował

mnie w rękę... no, nie mogłam mu zabronić, boby »Ma« spostrzegła... Potem chodziliśmy po pokładzie i tyle mi powiedział! Jezus! że nawet pan Henryk tego nie mówił, jak mi się oświadczał...

Boże, jakie to wszystko cudowne!

Tak niedawno była Warszawa, a teraz morze... straszne morze, przyglądałam się, ale nie widać rekinów, ani wieloryba... okręt... Baron... tu maszyny huczą, tu się kołysze... tu noc... a tu ci Anglicy, którzy śpią na tych porozkładanych fotelach...

Naprawdę, to wszystko, jak w bajce, nie wiem, czy te wszystkie cuda będę umiała opowiedzieć...

»Ma« chce już spać, a jabym tak ciągle, ciągle płynęła do Wenecyi!

Dobranoc morze, dobranoc baronie Pfaffy-Terek... dobranoc wszystko, bo taka jestem szczęśliwa, że to coś okropnego... Tak wyraźnie, to mi się nie oświadczył... jeszcze, przecież znamy się dopiero dwa dni... Mamy razem pojechać aż do Neapolu...

. . . . . .

Później, już w kajucie.

Wcale spać nie mogę... coś się strasznego dzieje naokoło...

»Stokrotki« tak piszczą żałośnie...

Okręt tak się kołysze strasznie, a tak wszystko drży — Jezus, a tak się błyska, tak woda bije

w ściany!... Jezus! Marya! Burza, napewno burza!... tak mi się w głowie kręci... »Ma« płacze...

Ubrałyśmy się na nowo... trzeszczy wszystko!...

Tak duszno... Okręt skacze, jak po zagonach!...

Nie, już nie chcę... dosyć!...

Tak się trzęsę cała, że ołówka utrzymać nie mogę...

Zmówiłyśmy z »Ma« nowennę... Chciałam iść po barona, żeby nas uspokoił... ale zaraz za progiem okręt się rzucił i strasznie się przewróciłam, aż mnie boli wszystko...

»Pa« robi awanturę... chce, żeby nas wysadzili na pierwszej stacyi.

Tak mi się robi dziwnie... przecież nie paliłam »princessów«, tak mi jest... smutno... czy ja umieram?... czy też jedziemy... do Wenecyi!...

. . . . . .

Wenecya, 10 kwietnia.

Boże, jakież cudowne mają *ansichtskarty!* Już mi »Pa« kupił Baedeckera w czerwonej okładce, bo zapowiedziałam, żeby innego nie brał!...

Wysłałam ze dwadzieścia kart, nawet i do ciotek pana Henryka!

Ale morzem już nigdy nie pojadę, tysiąc razy wolę Wisłą...

A cała ta kolej, aż do Fiume, nawet ze wszyst-

kimi baronami i gulaszami węgierskimi, jest wstrętna! tak, obrzydliwa! sto razy tak!!...

Całe prawie dwa dni nie pisałam, bo trochę czekałam... i po tem morzu byłam bez życia! Że nie umarłam, to pewnie tylko dla tego, że jedziemy do Rzymu!

I taka byłam chora, że to coś okropnego! już mnie nic nie obchodziło, nawet pan Henryk, a nawet i Włochy.

Pierwszego dnia nie mógł przyjść, był tak samo zmęczony...

Ale dzisiaj także nie był, nie wychodziłam, ubrałam się w czerwoną fularową, bo mi w niej bardzo dobrze, i nie przyszedł...

Ach, tej nocy nigdy nie zapomnę, nigdy!

Już tylko leżałyśmy z »Ma« i płakałyśmy i czekałyśmy śmierci! a »Stokrotki« tak piszczały! a morze tak huczało! a okręt tak się strasznie kołysał, że »Ma« zleciała z łóżka, i ja zleciałam, i »Stokrotki« zleciały!... i już nie wiem, ile razy, jeszcze do dzisiaj mam sińce.

»Pa« także całą noc przeleżał w korytarzu i chorował.

Naprawdę, ale to już jest oburzające, tyle mi mówił w pociągu, tak mnie całował po rękach... i więcej się nie pokazał!...

Jeżeli myśli, że on mnie co obchodzi, to jest zarozumiały głupiec, jakbym nie była narzeczoną i nie miała pana Henryka, któremu on nie jest

wart nawet... palta podać! A może to nawet i nie baron? baron toby przecież dotrzymał słowa.

. . . . . .

Cały dzień dzisiaj oglądaliśmy miasto i wystawy!

Mury, woda, niebo i same pałace!

A te koronki... a te szkła u Testoliniego, to można zwaryować!

Cuda same... a jedwabie tańsze, niż u nas madapolany... a ten pałac dożów... a kościół św. Marka?... no, to wszystko... sto tysięcy cudów! Aż się zbeczałam i sama nie wiem czego! Wychodzimy rano — słońce świeci i tak ciepło, jak u nas w czerwcu, jeszcze nie widziałam kwitnących pomarańcz; a tu przy placu, zaraz... że można ręką dotknąć... morze! takie turkusowe, takie śliczne, jak na tych *landszaftach*, co wiszą u nas w stołowym...

Ludzie siedzą na placu... nad morzem... wszędzie... pełno statków, gondoli... a tu i ten most westchnień... kanały... świeże kwiaty sprzedają... gołębie latają... Anglicy chodzą... wiatr taki ciepły... jacyś fotografują, że tak mi się jakoś zrobiło tkliwo... nie wiedziałam nawet, że płaczę, aż mi »Ma» obtarła oczy!...

Mój Boże, czemu takiej Wenecyi niema w Warszawie? możnaby sobie codziennie chodzić na ten plac cudowny!

To niby miasto a morze... morze a ulice, ulice a kanały!

Tak wszystko wygląda, jakby jaki poeta wymyślił...

A »Pa« się Wenecya nie podoba!!

Widział kto coś podobnego? to coś strasznego!

. . . . . .

Byliśmy u św. Marka! Prześliczny! Same marmury i to prawdziwe, jak mówi »Pa«, tylko posadzka taka zepsuta, pełno dołów, jak u nas na trotuarach; mogliby dać nową i porządną!

Nie braliśmy przewodnika, tylko podług Baedeckera, po kolei oglądaliśmy wszystko, aż nóg nie czuję i tak mnie kark boli od patrzenia w górę!...

Wszystko prześliczne, tylko te mozajki, chociaż je tak bardzo chwali Baedecker, mnie się nie podobają... takie jakieś niezgrabne i dziwaczne.

Byliśmy w pałacu Dożów.

Nadzwyczajny! a w tej wielkiej sali, to mogłoby śmiało tańczyć mazura ze trzysta par.

Obrazów jest pełno na ścianach i na sufitach, ale szkoda, że nie zostawili mebli, dopiero to musiał być komfort i szyk!...

. . . . . .

Niedziela.

Widziałam go dzisiaj u św. Marka, byłyśmy z »Ma« na sumie, stał z jakiemiś żydówkami, ukłonił mi się... chciałam mu się nie odkłonić...

A potem spotkaliśmy panstwo Matacz z Warszawy! »Pa« się ogromnie ucieszył, bo to jego adwokat!

Za całe dwa liry kupiłam gołębiom grochu; tak fruwały nademną, siadały mi na ramionach, na głowie, na rękach — szkoda, że pan Henryk tak mnie nie widział.

Byliśmy razem z państwem Matacz w Akademii... Obrazy mi się nie bardzo podobały, takie wszystkie poczerniałe, stare i religijne, jakby w kościele, ale tam, w pierwszej sali jest cudowny sufit. Oglądałam dłużej, a tu jakichś dwóch panów mówi za mną po polsku:

— Patrz, jaka śliczna Wenecyanka.

— Nie, to prędzej Angielka.

— Ale mówię ci Wenecyanka, czysty typ, doskonała w kolorze...

Rozczerwieniłam się, ale mi się ogromnie śmiać chciało...

Wychodzimy potem, a ci panowie witają się z panem Matacz i ten ich nam przedstawia...

Jakie mieli miny!... Obaj malarze, ale nie z Warszawy... jeden mocny brunet, a ten drugi, to jego przyjaciel!

. . . . . .

Wieczorem.

Jutro po południu jedziemy już prosto do Rzymu!

Cały wieczór siedzieliśmy na placu, potem je-

ździliśmy gondolą, słuchali muzyki i znowu siedzieliśmy.

Tyle ludzi, jak u nas w niedzielę na Nowym Świecie. Ale tutaj wszystko zupełnie inaczej...

Muzyka grała na placu i wszyscy spacerowali, pełno było marynarzy z białymi kołnierzami i Wenecyanek, ale chodzą bez kapeluszy, z szalami na ramionach, no tak zupełnie wyglądało, jak w operze.

A co cudzoziemców, chyba wszystkimi językami świata mówilii...

Takich lodów, jakie dają u Florianiego, tom jeszcze nie jadła, nieopowiedziane! tylko ciastka mają stanowczo za małe.

Poszliśmy potem do sali, bo tak się zrobiło zimno i deszcz pada.

Ten brunet, malarz, mieszka stale we Włoszech, co on nam naopowiadał, toby można z tego całą książkę napisać i bardzo zajmującą; dwadzieścia razy się pojedynkował i był piętnaście razy ciężko rannym, a dziesięć razy już był umierającym!... Dawał na to słowo honoru!

A tak głośno opowiada, tak krzyczy i klnie wszystkimi językami, że z początku to cała sala na nas patrzyła.

Polował na lwy w Abissynii, ale nieszczęśliwie, bo go lew pokaleczył, aż żałował, że nie może w towarzystwie pokazać śladów kłów i pazurów na sobie...

To coś okropnego, że on się nie bał!

Założył się z jakimś lordem o sto tysięcy funtów i przeszedł pieszo przez Saharę... sam jeden... zasypywały go piaski... tydzień cały nie jadł... nie pił wody... ale zakład wygrał!... Dawał na to słowo honoru!...

Napisał operę p. t. »Symfonia oślicy«!...

Także tytuł...

Wynalazł ster do kierowania balonów, ale musi się z nim kryć jeszcze... zna się doskonale z królem angielskim, Vanderbiltowi mówi: ty, razem polowali na żyrafy, a papierośnicę, taką do cygar, to ma z samych złotych medalów, które podostawał za swoje obrazy na wystawach. Pokazywał wszystkim .. i »Pa« mówił, że medale są naprawdę złote...

Potem rozbił się z okrętem na oceanie, żył pięć lat na odludnej wyspie i... zjadł swego towarzysza!... Dawał słowo honoru i aż płakał, jak to opowiadał, z żalu pewnie!...

To dopiero jeść mu się chciało! Jezu, umarłabym prędzej!...

Pierwszy raz widzę takiego, co jadł człowieka...

»Pa« w domu powiedział, że to wesoły chłop, ale blagier na gruby kamień!...

Nie, pocóżby miał blagować?...

Ale pan Henryk, to pewnie się jeszcze ani razu nie pojedynkował, o, on tak wszystkim ustępuje z drogi, taki grzeczny dla wszystkich...

A pan Matacz też opowiadał później że go napadło dwóch drabów, ale uciekł szczęśliwie; a po-

tem jakiś klijent chciał go obić, ale on mu kij odebrał, kazał aresztować, sprawę podał do sądu, a że byli świadkowie, wsadził go na miesiąc do kozy!...

Także bohater, co?... A chwali się, jakby dwóch drabów i ten klijent, to były co najmniej lwy, rozbicie okrętu, albo zjedzenie człowieka... a ta jego żona to ciągle wykrzykiwała:

— Mężyku, więc to jest ta bella Wenecya? to kamienne marzenie rzeczywistości, ta bajka Szeherezady?...

— Mężyku patrz na te gondole, na te kanały, na te pałace! Boże, co tu koloryzmu, co tu koloryzmu!!

I tak ciągle się zachwycała, i tak głośno, i ciągle przystawała i na wszystko patrzyła przez lornetkę i zaraz notowała, widziałam dobrze, ale mąż często szczypał ją w rękę... wtedy trochę przestawała. Śmieszna taka egzaltacya!

Więc to już jutro do Romy!... Do Romy!...

. . . . . .

Uwagi »Pa«. Gdyby nawet ktoś takie miasto wymyślił, tobym mu szczerze powiedział: głupstwo acan wymyślił!...

Stawiać miasto na wodzie!... nie, to waryactwo czyste. Jakież u dyabła muszą być fundamenta pod domami? i poco takie koszta? Psiakość, nóżki baranie, i tu woda i tam woda, wszędzie woda; człowiek boi się rozpędzić, żeby nie wpaść do wody!...

Domy, jak kaczki siedzą na wodzie i basta!

Zachwycają się Wenecyą... hm, ludzie dużo mają czasu! Piszą o pałacach tych, kanałach, placach... ale żebym ja u nas, w Warszawie, miał taki pałac brudny, odrapany, z wodą naokoło, toby mi na pe dom zapieczętowali i poszedłbym z torbami. A śmierdzi wszędzie, że niech ręka Boska broni!...

Zasypać kanały, odnowić domy, zrobić skwer na placu św. Marka, toby jeszcze to miasteczko było możliwe. Ale wino tanie i dobre. Tylko te Włochy mają miny, że zawsze zapinam się na wszystkie guziki, jak wychodzę z hotelu.

Ten malarz łże, to łże, ale porządny chłop... żeby tylko wkońcu nie chciał mi sprzedać jakiego obrazu?...

Trzeba iść spać, jutro jeszcze obejrzę Wenecyę, to może co pożytecznego znajdę i zapiszę. Ale pieniążki w tym wojażu, to płyną jak woda, psiakość, nóżki baranie.

12-go kwietnia. Młodszy »Stokrotek« nie żyje!

. . . . . .

»Pa« też o mało się nie utopił.

. . . . . .

Pewnie zaraz wrócimy do Warszawy!

. . . . . .

Boże, mój Boże, przecież to całe życie ludzkie, to coś okropnego!!

Że ludzie umierają z chorób, są nieszczęśliwi, no, to są zwyczajne rzeczy, ale, że »Stokrotek« mógł się utopić, a my do Rzymu nie pojedziemy! to naprawdę, ale już nic nie rozumiem.

Och »Ma« zawsze ma racyę, jak mówi, że świat jest podły i bez ideałów.

A samo życie? to tylko świństwo i spółka, jak powiedział jakiś mędrzec... może tego nie wypadało napisać? może to nieprzyzwoite? Ale cóż mnie to wszystko obchodzi?... kiedy mi się już płakać chce i jestem taka smutna!

I w tej Wenecyi... żeby się to stało chociaż w Rzymie, to jużby mi nie było tak żal wracać... I już jechaliśmy... ogłosiło się wszędzie... pożegnaliśmy się ze wszystkiemi... pisywałam z drogi... a teraz wracać? Obiecałam poprzywozić suweniry... Nie widzieć Rzymu, Wezuwiusza, kwitnących pomarańcz, i wracać?... Co za wstyd, co za upokorzenie!...

Boże! jak mi smutno! nawet mi już czekoladki nie smakują!... co?

Co za nieszczęście.

Czemu tu niema pana Henryka?... On taki dobry, taki kochany, taki poczciwy, zarazby »Pa« wytłómaczył, że my powinniśmy jechać do Rzymu, że właśnie teraz, po takich nieszczęściach, to tylko do Rzymu!...

. . . . . .

Krótki dopisek »Ma«.

Ach, leją się łzy gorzkie.

Krzycz serce głosem żałości!

»Stokrotek« młodszy nie żyje.

A imię jego było lubość!

Och ten pies, nie psią miał duszę, zaiste nie psią...

Boże mój i za co mnie spotyka cios taki?!

Jeszcze w dłoniach czuję gładkość jego, jeszcze na twarzy czuję jego delikatne, słodkie lizania — jeszcze ten harmonijny głosik słyszę!

A jego już niema i nigdy nie będzie... nigdy nie będzie...

I to wszystko przez tego obrzydliwca, opoja, niedołęgę — przez tego męża mojego!

Zaprawdę, kobieta-chrześcijanka dużo przecierpieć musi...

Męczeństwo jest najkosztowniejszym klejnotem żywota żony!

Ach, »Stokrotku« mój, »Stokrotku« niezapomniany!

Ale właśnie nie powrócę do Warszawy, za nic w świecie.

. . . . . .

I to całe dwa tysiące ukradli »Pa«!

»Ma« w tej chwili tak gada »Pa«, tak gada, że Jezus!

Bo »Ma« wiedziała tylko, że »Pa« ma tysiąc rubli ze sobą...

Rzeczywiście, dla czego nie powiedział, na co mu było tyle pieniędzy?...

A teraz nas wszystkich za to Pan Bóg skarał...

Bo pewno chciał sobie urządzać hulanki... i to na pewno w Rzymie... tam gdzie papież... gdzie tyle świętości... to coś okropnego!...

Kasę to już ja będę miała przy sobie, a panu Henrykowi będę codziennie dawała na papierosy i na tramwaje.

Nie chcę, żeby mnie przez niego spotkały nieszczęścia...

. . . . . .

To wszystko tak było:

»Pa« wyszedł ze »Stokrotkami«, żeby się trochę przeszły przed jazdą... łzy zalewają mi oczy, jak sobie przypomnę.

Mój Boże, tak aportował, tak chodził na dwóch łapkach tak umiał za mną nosić parasolkę i... nie żyje.

Och, »Ma« racyę ma, że nie wiadomo dnia ani godziny!

»Pa« poprowadził je nad morze... stały przy nim i patrzyły wszyscy na wodę... a na gondoli przy brzegu stał pies jakiś i szczekał, »Stokrotki« też szczekały i zaczęły się rzucać... aż »Pa« odszedł dalej, żeby się nie rozdrażniały, bo później zawsze chorują... Szedł jakiś Włoch, no taki oberwus, jak oni wszyscy!

Gwizdał na »Stokrotki« i z pewnością je podrażnił, bo one zawsze takie łagodne... i ten młodszy rzucił się i ugryzł go podobno... przecież taki mały piesek nie mógł mu krzywdy zrobić, najwyżej może rozerwał mu te jego.. łachmany! a ten złapał go za skórę i rzucił do morza!!!

Czemu tam mnie nie było! Zabiłabym go parasolką!

I rzucił tak prosto... na śmierć... do morza!

»Pa« krzyczał, żeby ratowali, a ci gondolierzy jeszcze przeszkadzali...

Już dopływał do brzegu... ale brzeg wysoki, gładki, równy... aż się »Pa« położył na kamieniach, żeby go złapać... no za bardzo się przechylił... wpadł... strasznie się rozbił i zabłocił...

»Pa« wyciągnęli, ale »Stokrotek« utonął.

Utonął i nie żyje!...

. . . . . .

Przyprowadzili »Pa« do hotelu, tak wyglądał strasznie, że »Ma« zaraz zemdlała!

Był potem doktór... »Pa« chciał mu płacić, niema pugilaresu! surdut i kamizelka na piersiach były rozcięte — i pugilares ze wszystkiemi pieniędzmi ukradli!

»Stokrotek« młodszy i pugilares!

Czy może być straszniejsze nieszczęście?!

. . . . . .

»Pa« już telegrafował do Warszawy po pieniądze i stanowczo mówi, że ma już dosyć wojażu i dosyć Włoch.

. . . . . .

Ja chyba umrę, albo bardzo ciężko się rozchoruję, jeśli zaraz wrócimy do Warszawy.

Przecież moglibyśmy posiedzieć choćby w Zakopanem parę tygodni... niktby nie wiedział, skąd wracamy!

Nawet już nie wiem co robię?

To coś okropnego... nie będę śmiała wyjść na ulicę w Warszawie...

. . . . . .

Boże, coś nowego, jakaś nadzieja... Boże...

»Ma« woła »Pa«, że nie powróci, że mnie zabierze, »Stokrotka« zabierze i sami pojedziemy do Rzymu, choćby tylko w troje, a »Pa« niech sobie powraca na złamanie karku, kiedy taki niedołęga, taki tyran, taki kat »Stokrotka«!...

»Ma« płacze, »Pa« płacze, i ten biedny sierota też skomli, to pewnie z żałości po tamtym...

Mój Boże, żebyśmy pojechali do Rzymu — to już pierwszemu, jakiego spotkam dziadowi dam rubla, a jak wrócę do Warszawy — to zaraz dam tę jesienną suknię córce stróża, chociaż naprawdę ona jeszcze zupełnie dobra i trochę mi jej szkoda.

. . . . . .

Cicho »Stokrotku«... cicho sieroto... cicho mój zakręcony ogonku... niech tylko pojedziemy do Rzymu, to już ja ci będę towarzyszką, i matką, i siostrą, i wszystkiem... cicho moja sieroto... cicho...

A »Ma« wciąż kłóci się z »Pa«.

. . . . . .

Boże, takam zmęczona i nieszczęśliwa!

Ach, żeby to już odpocząć!

Pan Hyacynt mówi, że szczęście jest tam — »na łąkach prabytu, gdzie chodzą nagie wszechbyty i płyną strugi przepotężnej gliceryny pod fuksyami absolutu«...

Ale pocóż mi gliceryna?

Głupi żydziak ten pan Hyacynt, że to ja się od razu nie poznałam na tych głupstwach fałszywych dekadentów — bo przecież on nie mowi Przybyszewskiemu »Stachu«.

Boże, żebym teraz chociaż miała pudełko czekoladek!...

Zakopane-Wisła. 1901 r.

W JESIENNĄ NOC

Drogą rozmiękłą, podobną do błotnistej, grząskiej rzeki, płynącej wskróś pustych, czarnych pól, szedł pijany chłop.

Wieczór już był zapadł; zimny, rozdeszczony, brudny wieczór listopadowy.

Oślepły świat płakał nieustannym, przenikliwym deszczem, obdarte pola szkliły się nabrzmiałe wilgocią, rowy i bruzdy pełne były wody, a bezlistne drzewa pochylały się nad drogą bezwładnie i drżały z zimna i wilgoci.

Martwa cisza leżała na rozmiękłych polach.

Chłop szedł prędko, zataczał się potężnie, potykał, klął, ale szedł; naraz przystanął i pijanym, ochrypłym głosem zaśpiewał:

Oj! dyna, moja dyna,
Oj! cały świat rodzina;
A jak cię śmierć ułapi,
Oj! poratunku niema!
Oj!!!

Ale śpiew nie rozległ się echem, rozmiękł w wilgotnem powietrzu i przepadł w ciemnościach; usłyszał go jednak jakiś cień ludzki, co się wlókł o kil-

kadziesiąt kroków za nim, bo przystanął na mgnienie i trwożnie zsunął się na bok, w cień jeszcze głębszy drzew przydrożnych.

Chłop szedł znowu śpiesznie, ale o jakiś kamień czy korzeń drzewa potknął się i runął jak kloc w błoto.

Długo nic nie było słychać, prócz monotonnego nieustannego plusku deszczu i drżącego, nerwowego szmeru drzew.

Aż ów cień przysunął się bliżej i pochylił nad pijakiem.

— Gospodarzu! Gospodarzu! — zaszemrał cichy głos.

Chłop ocknął się; próbował powstać, ale bezwładne nogi i ręce ślizgały mu się po błocie, nie mogąc znaleść punktu oparcia, a że był nieprzytomny, nie myślał już i o powstaniu, tylko układał się jak najwygodniej i mruczał przez sen.

— Miękko ci tu jest, ciepło ci tu jest, leż se gospodarzu, leż...

— A wstańcie no, toć was tutaj woda zaleje...

— Psiachmać, kiej cię gdryknę kijaszkiem, to obaczysz!... — krzyknął srogo.

— Gospodarzu!

— Nie budź kobieto — mówię ci po dobremu!

— Spiliście się, i jak ten wieprzak leżycie w błocie!

— Pijanym! A mówiłem ci żydzie, daj okowitki, nie śprytu, a mówiłem; obedrę ci jucho,

pejsy, obaczysz... Cicho bądź, kobieto... kiej gospodarz leży, to mu tak trzeba i tyla, a tobie do tego nic, boś ino kobieta... cicho, kobieto... Leż se gospodarzu... parobki za cię zrobią... bydlątka za cię zrobią... leż se gospodarzu... odpoczywaj...

Ale kobieta nie dała mu odpoczywać w błocie, dotąd nim trzęsła, dotąd go podnosiła, aż oprzytomniał nieco i przy jej pomocy powstał.

— Marcycha!—szepnął, zajrzawszy jej w twarz— Marcycha! — powtórzył już bezwiednie, nacisnął czapkę na czoło i zataczając się potężnie, ruszył żwawo naprzód, jakby uciekał i wkrótce nawet odgłos jego kroków rozwiał się w plusku deszczu.

Marcycha pozostała daleko za nim, szła wolno, bo drewniane trepy ślizgały się po błocie i nabierały ciągle wody, że co trochę musiała ją wylewać; szła ciężko, bo jej przemoczone szmaty utrudniały chód. Przyciskała do piersi zawinięte w chustkę dziecko, które popłakiwało z cicha i zapatrzona w noc coraz to głębszą, wlokła się napół zmartwiała i nieprzytomna.

— Jezu! mój Jezu miłosierny! — wyrwało się jej z piersi i gryząca, straszna żałość wycisnęła z jej oczów strumień gorzkich łez.

Wypłakała już ona tych łez, wypłakała.

Wypłakiwała na ludzi, na świat, na dolę swoją nieszczęsną, na sieroctwo swoje. Sierota była bezdomna, sierota; szła w cały świat, jak te bure chmury, co się ciężko wlokły po niebie, jak ten

wilgotny wiatr, co się podnosił z pól i przewiewał bez śladu, jak ta straszna noc listopadowa...

Ani zmiłowania znikąd, ani poratunku od kogo, ani pożalenia...

Wygnała ją dola i rzuciła na zatracenie, a ona za całą obronę łzy miała tylko i ból i jęk, tak właśnie, jak kiedy psiaka ślepego oderwą od suki i porzucą w dół, a on od śmierci broni się żałosnem skomleniem.

— O Jezu! Jezu! — jęczała chwilami.

Ta noc zaczęła ją przejmować trwogą, napróżno upatrywała świateł jakich — nic nigdzie, ciemność niezgłębiona, wsie jakby wymarły, takie ciemne i ciche, nawet psy nie zaszczekały nigdzie, żaden wóz nie zaturkotał, żaden głos ludzki się nie rozległ — grobowa cisza pełna monotonnego szmeru deszczu.

Dziecko zaczęło chlipać żałośnie.

— Cicho, robaku... cicho... — przysiadła pod drzewem, wsadziła dziecku w usta chudą i pustą pierś i zasłuchała się w jakiś daleki, ledwie dosłyszalny szum, jakby wody spadającej.

— Młyn! juści że to młyn! — szepnęła, nasłuchując jeszcze.

Jakaś nadzieja poderwała ją z miejsca, bo się podniosła i szła raźniej, zaczęła dygotać w oczekiwaniu i niepewności.

— Pietruś! Pietruś! — poruszyła ustami. — Nie wypędzi mnie przecie, nie, jakżeby! Myślała i z czułością nagłą przycisnęła dziecko jeszcze silniej do piersi. — Pietruchna!

I zwolna jej zdziczałą od cierpień duszę ogarnęło głębokie rozczulenie; wstawały w niej wiosenne przypomnienia, wyłaniały się z za łez niedoli jasne obrazy przeszłości, a w każdym główną osobą był on, Pietruchna!...

Dziecko przeziębnięte i głodne zaczęło znowu płakać.

— Cicho! ty!... — zawarczała, podnosząc rękę do uderzenia.

— Jakżeby? Przecież to jego — myślała z niepokojem i zaczęła namiętnie całować mokrą twarz dziecka.

Szum był wyraźny, bo już z niego wyłaniał się głuchy turkot koła młyńskiego.

Deszcz wolniał nieco, wiatr się poruszał górą w gałęziach topoli, co jak szkielety stały z obu stron drogi, chwiały się ciężko i szemrały groźnie, a z lasu co stał czarną ponurą ścianą, zaraz za drogą, rozlegał się smutny, cichy głos, jakby jęk drzew w ciemnościach, jakby płacz dławiony przez noc i przez deszcz. Ogromne chmury, skłębione i pomieszane, zaczęły szybko lecieć po nizkiem niebie.

Strach jakiś przeleciał nad ziemią, strach mocny i zły, aż się zatrzęsła z przerażenia dusza Marcychy. Obrzuciła nieśmiałem spojrzeniem dokoła, nasunęła chustkę głębiej na czoło i z całych sił biegła ku tym coraz bliższym turkotom młyna.

A wiatr się wzmagał, gonił ją, to uderzał w plecy, aż się pochylała ku ziemi, to zabiegał drogę i rzucał w twarz wodę z kałuż, to strząsał na nią drobne gałązki, to tak świstał przeraźliwie koło uszów, że przystanęła na chwilę, aby złapać nieco tchu.

Ale biegła dalej, bo się bała strasznie, bo te rzędy topoli tak się kołysały nad jej głową, tak coś szemrały do niej, tak czuła nad sobą ich pnie potężne, ich gałęzie strzępiaste, nagie, podobne do szponów, które wyciągały się do niej, chwytały ją za ramiona, zdzierały jej chustkę z głowy, kaleczyły twarz, — że leciała w przerażeniu.

Uspokoiła się dopiero na grobli, prowadzącej do młyna.

Młyn stał tak nizko, że jego dachy były na poziomie grobli i stawów, połyskujących ponuro w ciemnościach, gąszcz czarnych olch otaczał go dokoła; gąszcz nieprzebyty, w którym huczała i bełkotała woda spadająca z kół.

Ogromny czarny budynek trząsł się cały i turkotał.

Zsunęła się ostrożnie z grobli po spadzistej drodze i weszła do młynicy.

Przypadła zaraz za progiem na jakiś worek z mąką, by wytchnąć nieco.

Olbrzymia młynica była pogrążona w tumanie bielma, — oślepła... Wiszący u sufitu kaganek rozkrążał nieco czerwonawego światła, w którem słabo się rysowały rzędy ganków i kontury maszyn.

Wszystko się trzęsło, dygotało, poruszało owiane mączną kurzawą, goniło i pracowało; trzęsła się podłoga oślizgła, trzęsły się białe ściany; trząsł się pułap, od którego zwieszały się omączone nici pajęczyn, trzęsły się długie białe skrzynie — a poza niemi, w głębi szarej, poruszały się automatycznie olbrzymie, czarne koła, przez które z krzykiem przepływał gruby, zielonawy strumień wody i rozwichrzoną, spienioną głową spadał na dół, na ostre pale, aż fundamenta dygotały i ziemia jęczała.

Nic słychać nie było, prócz hałaśliwej pracy kamieni młyńskich; czasem tylko z pierwszego piętra rozlegał się przeraźliwy ostry dźwięk dzwonka, na którego głos wybiegano śpiesznie z izdebki młynarczyka, która stała w jednym kącie młynicy.

Marcycha przysunęła się do niej, usiadła za młynkiem do czyszczenia zboża i czekała cierpliwie.

Bała się wejść do środka, chociaż wyraźnie słyszała głos Pietrusia i głosy jakichś ludzi.

Opuściła ją odwaga, — przywarła do cienkiej ściany i słuchała; co chwila ktoś wybiegał z izdebki, a za nim fala śmiechów, światła i ciepła biła na młynicę.

W izdebce małej i nizkiej gorąco było jak w piecu; na dużym kominie tlił się torf niebieskim płomieniem.

Gromada chłopów siedziała dokoła ognia.

Zapach machorki, torfu i ryb przypiekanych na węglach napełniał izbę.

Pietruś leżał na łóżku na stosie kożuchów i kpił z pijanego chłopa, który na środku izby kołysał się sennie.

— Idźcie do domu, Mateuszu, bo was baba spierze, jak nic...

— Spierze, mnie spierze? gospodarza? nie... Pod pierzynę puści, wódki z tłustością da, albo i czego lepszego...

— Do chliwa to was puści, kiej żeście się tak spili!

— Pijanym to! A mówiłem żydowi, daj okowitki i dała jucha spritu... zedrę za łeb, że niech ręka Boska broni... zedrę... Gospodarz kazał postawić okowitki — to słuchać, a nie, to za te pejsy żółte i do wody.

— Michał! z kosza schodzi — zawołał młynarczyk, usłyszawszy dzwonek.

Młody chłopak podniósł się od ognia i wybiegł, pozostawiwszy drzwi otworem.

Marcycha wsunęła się niemi i stanęła u progu.

— Niech będzie pochwalony... — szepnęła cicho.

Młynarczyk zerwał się z łóżka i krzyknął wściekły:

— Czego? Poszła won ty... suko!

Dziewczyna zachwiała się, obrzuciła nieprzytomnem spojrzeniem chłopów, rzuciła dziecko na łóżko młynarczyka i uciekła...

— Podarunek dla was, Pietrze — szepnął złośliwie któryś.

— Ładne skrzypki—dorzucił drugi, bo dziecko płakać zaczęło.

— Kto na zwiesne za czem bryka, od tego zimą umyka...

— Weźno który robaka, bo się tam zadusi...

— A juści, ssać mu dacie, abo co!

Ale któryś wziął i przysunął do ognia, oglądali je wszyscy...

— Ze dwa miesiące ma robak, więcej nie...

— Podobne do was, Pietrze, rychtyk nos kiej kartofel...

— Cię... pomocnika se zrobicie z niego i tyla...

— Abo do służby oddacie, zawsze grosz jaki kapnie...

— Od każdego worka weźmiecie, Pietrze, z kwartę mąki więcej i chłopak się wyżywi, że i cielakowi nie potrza lepiej.

— Tęgo beczy, organistę możecie z niego zrobić, Pietrze, to i honor i grosz niezły za wypominki albo i pochowki.

— Jedliście, Pietrze, miód, spróbujcie teraz wosczyn...

— A i matka galanta, co to... trepy prawie nowe, ze sześć czeskich wartują, kiecka, że i za półtora złotego nie kupisz, a gębę... to i w szaflik nie zmieścić... frontowa kobita...

— A umyć ino, a wyczesać, to w sam raz byłaby do palenia w piecach u żydów.

Drwili z niego niemiłosiernie, a on siedział na łóżku i nie wiedział, co począć, dławiła go wściekłość, dławił go wstyd, a nie mógł się ruszyć, bo oczy jego przykuwała biała twarz dziecka, które chłopi rozpowili i położyli na trzonie komina i ogrzewali, aż para buchała ze zmoczonych szmatek.

Naraz skoczył na równe nogi i pobiegł do młynicy.

Wkrótce też rozległy się krzyki dzikie i uderzenia.

— O kochaniu se gadają — zauważył chłop któryś.

— Która to?

— A Marcycha Jantkowa z Woli. Wygnały ją ze służby, wygnały ją z domu.. gdzież miała iść?...

— Ho! ho! Pietrek, to kat na dziewuchy...

— I... kat... jużci, ale i hycel on też jest i łajdus ostatni...

— Cichojcie no — zawołał któryś.

— Pietruś! Pietruś! Adyć mnie nie bij! — błagała Marcycha, tarzając mu się u nóg. — Adyć to twoje... wygnały mnie ze służby... wygnały mnie z chałupy... gdzież pójdę sierota... gdzie? Pietruchna! O Jezus miłosierny, o Jezus! ludzie ratujta, ludzie.., Jezus Marya! — ryczała strasznym głosem, bo kopnął ją w piersi, że padła na podłogę ciężko, jakby kto worek mąki rzucił.

Wnet przycichło wszystko, słychać było otwieranie drzwi na dwór, szamotanie się jakieś i potem już nic prócz turkotów młyńskich.

— Zabije ją jeszcze...

— Nic jej nie będzie, dzieciaka się pozbyła i tyla!

— Suka, ostawiła dziecko i poszła...

A że płakało coraz mocniej, któryś z chłopów znalazł kawałek cukru na stole młynarczyka, owinął go w szmatkę, zgniótł obcasem, umaczał w wodzie i wsadził dziecku w usta; ssało chciwie.

A Mateusz, który drzemał na łóżku, ocknął się i rzekł:

— Dzieciaka wezmę. Sierota ono, sierota!

— A weźcie, nie macie przecież swoich, że baba was spierze za to, to spierze...

— Spierze?... Nie spierze. Pojazgocze, pohandryczy... dobra kobieta... chodź sieroto... do gospodarza pójdziesz... chodź sieroto... — i z nagłem postanowieniem pijaka, powstał, obciągnął obłocony kożuch, nacisnął mokrą baranicę na głowę i pochylił się nad dzieckiem.

— Choć roboku, chodź... Matki nie masz, ojca nie masz, to już ja ci zrobię gospodarskie opiekuństwo. Chłopak, co?

— Jużci że chłopak...

— Do pasionki się przyda... parobka se będziesz miał gospodarzu...

— Ino mu pierwej mamkę sprowadź, albo krowę od cielęcia odstaw, żeby go podkarmiła.

Nie słuchał pokpiwań, okręcił dziecko w przeschnięte szmaty, owinął w połę kożucha i mocnym, dosyć równym krokiem ruszył z izdebki i tylko trochę szukał wyjścia, ale na powietrzu odrazu się zoryentował i lazł na groblę z trudem, bo wiatr, który się na dobre rozhulał, ciął go po twarzy i spychał po oślizgłej drodze.

Ale się wydostał do stawów, skręcił na lewo i ruszył do wsi...

Człapał po wodzie, bo wiatr wychlustywał wodę ze stawów, że się przelewała przez groblę i biła po nogach grubemi falami...

— Nie piskaj, robaku, nie... mleka dostaniesz, kołyskę ci spletę... dobrze ci u mnie będzie, sieroto, dobrze... i zasługi miał będziesz... i szmatki... i koziczek ci kupię na jarmarku... za bydlątkiem se chodził będziesz... albo i za gąskami... nie piskaj, robaku... — mruczał i troskliwie jak tylko mógł grabiejącemi z zimna rękami, przytrzymywał połę kożucha...

Zamilkł, bo go czkawka dusiła, i ostry, zimny wiatr wpychał mu słowa do gardła.

Za groblą droga szła przez torfowiska i bajory okrutne; stare, obdarte brzozy chyliły się na drogę i krzyczały żałośnie, smagane przez wichurę. Błoto było po kolana. Deszcz już ustał zupełnie, tylko wiatr prześwistywał zimny i hulał po błotach.

Mateusz szedł coraz wolniej, z trudem wyciągał nogi z błota; tak go rozmarzyło, że spał prawie, był nieprzytomny..., budziło go tylko zimno i wiatr czasami...

Wieś już była niedaleko.

Zataczał się mniej, ale że był sennym, nie wiedział, gdzie idzie, szedł jak automat, czasem macał machinalnie kożuch... dziecko... nogi mu się plątały, zimno go przenikało do kości, bo rozwarty na piersiach kożuch i przemoczony, nie osłaniał od wiatru... puścił połę, zabił potężnie ręce o ramiona i pijanym, sennym głosem zaśpiewał:

Oj, dyna, moja dyna,
Oj! cały świat rodzina,
A jak cię śmierć ułapi...
Oj! poratunku niema.
Oj!

Odpowiedział mu z błota cichy, przerywany, dławiony krzyk dziecka — i jakieś niedalekie... śpieszne kroki...

Nie słyszał nic i szedł sennie dalej.

W PORĘBIE

— Wawrzon! a wstań ino, to nachlałeś się i będziesz się wylegiwać kiej dziedzic, a ja sobie rady dać nie mogę. Rafał przecież zaraz mają przyjechać, ino go patrzeć, no!

Zaczęła energicznie potrząsać mężem, leżącym w kącie izby na kupie słomy, powyrzucanej z łóżek.

— Kobito mówię ci odyńdź — mruknął Wawrzon gniewnie i odwrócił się twarzą do ściany.

— Trza wszystko powynosić przed dom, to przecież później będzie lepiej pakować na wóz. Zboże jeszcze nie zesute do worka, kartofle trzeba znieść ze stodółki, laboga! tyle roboty, a mnie już kulasy odpadają, a tu chłop coby pomagać, to se śpi. Wawrzon — zawołała, ze złością przyskakując do niego, — jak nie wstaniesz, to cię tak zdziele, że obaczys!

— Kobito, mówię po dobremu: odyńdź — odrzekł miękko, położył się na brzuchu, głowę wsadził w słomę i tak leżał nieruchomie, nie zważając na krzyki i lamentowania żony!

— O bidna ja sirota, bidna! To tyle dobroci użyłam za chłopem, tyle, że teraz trza się wynosić na kumorne, kiej dziadaki jakie, w taki czas, co i psa wygnać szkoda! Gospodarska córka pójdzie do ludzi, na wyrobek, kiej jaki łachmytek abo obieżyświat! — narzekała Wawrzonowa, zdejmując obrazy ze ścian, okrywała je zapaskami i wynosiła przed dom pod okap. Przystawała przed progiem i patrzyła na lśniącą, rozmokniętą drogę, biegnącą wskróś świeżej poręby, rozciągającej się szeroko dookoła chałupy, zarzuconej kupami gałęzi i stosami pościnanego drzewa. Wyglądała, czy nie jedzie Rafał, który miał przewieźć ich ruchomości do wsi, ale nic nie było widać na drodze, prócz mgieł sinych, wiszących nizko i wielkich kałuż wody. Drobny, przenikający zimnem deszcz padał bezustannie. Westchnęła ciężko, utarła nos z hałasem, żałośliwym wzrokiem powiodła po chałupie, z której się musieli wyprowadzić i poszła na drugą stronę domu do krowy, stojącej na środku, bo już żłób i drabina były wyniesione przed dom, gdzie już stała żółta, w kwiaty ponsowe, serwantka oszklona, z wymalowanemi na niebiesko półkami i krzesełka drewniane, ławki, stolik, na którym stała pasyjka czarna, opleciona w różaniec, — wiaderka, worki z kartoflami, pęki siana, przewiązane trokiem, łóżka dwa, półki i masa różnych rupieci, zwalonych bezładnie na kupę. Wielka, w czarne łaty maciora leżała na ziemi, uwiązana

za nogę do młodego dąbka, rosnącego wprost okna; stękała ciężko, bo ją ssały i tłukły łbami prosięta różowe.

— Siwula! o siwula! — szeptała Wawrzonowa, głaszcząc pieszczotliwie krowę po obwiśniętem gardle. Siwula wyciągnęła łeb i szerokim, ostrym językiem lizała ją po obnażonych do ramion rękach. Wawrzonowej łzy zaćmiły oczy, oderwała się od krowy i poszła do sieni.

— Kucusie! ku cu, ku cu! — zaczęła zwoływać kury, siedzące rzędem na płocie. Sypnęła im garść ziarna na przynętę, a potem łapała, związywała im skrzydła i układała w wielkiej kobiałce. Znowu wyjrzała na świat. Ścieżką, od wsi dalekiej, którą widać było zaledwie przez mgły i zadeszczony świat, za porębą, szła dziewczyna jakaś.

— Marysia! a spiesz no się! — krzyknęła, wygrażając biegnącej ręką.

Marysia boso, w zapasce na głowie, że tylko było widać kawałek zesiniałej od zimna twarzy, przybiegła i z pod fartucha wyjęła flaszkę z wódką, trzy rządki bułek i kawał czerwonej kiełbasy.

— Gdzieś siedziała tak długo! po chałupach się włóczyłaś, co!

— A juści długo, a juści! po chałupach! Taki stuk drogi, że zgoniłam się kiej pies, a matula mówią, że długo! Trza było samy iść, abo niechby

ociec poszli — odpowiadała żałośliwie dziewczyna, trąc nogą o nogę i chuchając w posiniałe ręce.

— Hale! będziesz mi się tu odszczekiwać, ty kołtunie jeden — grzmotnęła ją pięścią w plecy.

Marysia przykucnęła przed kominem, w którym tliły się resztki ognia i zaczęła płakać, rozgrzewając sobie ręce nad węglami, a Wawrzonowa wynosiła resztę sprzętów, patrzyła na drogę wciąż pustą, trzaskała drzwiami, to znowu kopnęła ze złością starego, podobnego do wilka, burego psa, który obwąchiwał wszystkie kąty i ze spuszczonym ogonem, osowiały, łaził po izbie, nie mogąc znaleźć sobie miejsca.

Cisza zapanowała w izbie, tylko w szybki bębnił deszcz i z poręby dochodziły słabe odgłosy siekier, rąbiących drzewo. Mętny szaro-żółty zmrok zalewał izbę ogołoconą ze sprzętów, zlewał się z czarnym okopconym sufitem; poszarzały jeszcze bardziej odrapane z wapna ściany.

Porozlewana woda tworzyła na glinianym toku, położonym w miejsce podłogi, ślizkie, grzęzkie błoto, w którem dwie kaczki bobrowały dziobami, szukając pożywienia. Przez wybite szybki małego w szczycie okna wpadał wiatr razem z deszczem, szeleścił, zamiatał słomę porozrzucaną i trząsł zwieszającemi się od sufitu pasami czerwonego papieru, wystrzyżonego w kółka i ząbki, jakie ubierały belki.

Wawrzonowa poszła na małe podwórko, puste

i zaśmiecone gnijącymi liściami wisien, rosnących przy ogrodzeniu, które leciały jak krwawe płatki na wielką gnojówkę i na dranicowy dach pogięty rozwalającego się chlewka. Poszła za stodółkę, stojącą nieco dalej, w środku małego pola, rozkopanego po kartoflach i pełnego suchych łęcin i zgniłych kartofli. Wyrwała jakiś zielony jeszcze chwast dla krowy, obejrzała się smutnie i powróciła, obcierając sobie ustawicznie oczy z łez, których nic powstrzymać nie mogło. To stawała w progu, chwytała się za głowę i ogłupiałym mętnym wzrokiem tonęła w szarej przestrzeni.

— Laboga! Laboga! — jęczała cicho i żałośliwie i znowu się gorączkowo brała do wynoszenia i szykowania nędznych sprzętów. Serce się jej tłukło w wielkim niepokoju i bólu rozstania z tą chałupą, w której tyle lat mieszkali i tak ją ten ból ściskał chwilami jakimś kurczem, że aż przysiadała na progu i pozwalała swobodnie płynąć łzom i tylko cicho i głęboko jęczała.

Wawrzon wciąż leżał, przewracał się z boku na bok, przetarł pięścią zaczerwienione oczy i tak wzdychał, aż Burek przysuwał się do niego, skomlał cicho, drapał go łapą po kożuchu i kręcił ogonem; widząc, że gospodarz nie zwraca uwagi, szedł do komina, siadał koło Marysi i drzemał, patrząc się sennie w dogasające węgielki.

Wreszcie przed samym wieczorem nadjechał

Rafał dwiema chudemi szkapinami, zaprzągniętemi do drabiniastego wozu.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł, wchodząc z batem w ręku do izby.

— Na wieki — powiedział Wawrzon, podnosząc się z barłogu. — Witajcie kumie, a Bóg wam zapłać, żeście o nas nie zabaczyli.

— I... ino plusk taki, że ślipie jaże zalewa, na drogach błoto po sękle i taki ziąb, że gorzej praży, kiej w mrozy.

— No to trzeba pakować, aby przed nocą zdążyć do wsi.

— A bogać że nie inaczej — rzekł Rafał, biczysko postawił w kącie, ręce ugrzał nad blachą, i wyjąwszy garścią z ognia węgielek czerwony, wsadził go do zgasłej fajki, przysiadł nieco na skrzynce, jeszcze nie wyniesionej, pod oknem i pykał dymem na izbę.

Wawrzonowa postawiła na oknie wódkę, kiełbasę i bułki.

— Wawrzon! napij sie do Rafała.

— O!... poco się macie szkodować! — wymawiał się chłop, a chciwie wciągał nozdrzami zapach czosnku, jaki się rozchodził od kiełbasy, którą Wawrzonowa rozdzielała kozikiem.

— W wasze ręce Rafale.

— Niech wam będzie na zdrowie.

Wypił, splunął w bok, obtarł rękawem usta i nalewał.

— Jagna naści i ty, co tam, napij się krzynkę.

Jagna odwróciła się nieco i wolno sączyła wódkę, a chłopi łamali czerstwe bułki i jedli, przegryzając kiełbasą.

— No, jeszcze po jednym, żeby nam się dobrze jechało.

— Pijcie z Bogiem.

— Dziedzic sprzedał las na siampańskie, to my se choć z tej uciechy wypijmy okowitki! Ażeby ci, ciarachu zapowietrzony, smoły w piekle nie żałowali! — szepnął nienawistnie, spoglądając przez okno ku sinym, zaledwie majaczącym konturom dworu.

— Co prawda, to prawda, a dyć teraz to nawet biczysko albo i kozicę trza będzie kupić — westchnął markotnie. — Kiej był las, to chociaż się ta i człek bojał ździebko, chociażeście i wy pilnowali nie zgorzy, ale zawżdy czy chróstu, czy jaki grabik albo sosenkę na porządek albo żerdkę do płotu, to się ta uścibnęło. I grzybek jaki człowiek zjadł, i jagodów dzieci uzbierały na barszcz, a kiej niekiej jakiego zajączka się grzecznie przetrąciło, abo i drugiego ptaszka, a teraz co! Źle jest widzi mi się, źle.

— No jeszcze po jednym, po ostatnim! Burek, masz i ty kiełbasy, używaj i ty, kiej twój gospodarz po dwudziestu latach musi iść w świat, na kumorne, używaj, siroto! Pies zawył głucho, jakby

zrozumiał, a Jagna wybuchnęła płaczem, oparła się głową o okap komina i płakała spazmatycznie.

— I... raz kozie śmierć, z czyjego woza, to zsiadaj i na pół morza.

Powiedział wolno Rafał, wytrząsnął popiół, fajkę schował za pazuchę i wyszedł.

Zaczęli się zaraz pakować śpiesznie, wynosili wszystko, co mieli, przestępując progi chałupy pustej z głębokim smutkiem, nie patrząc na siebie, nie rozmawiając. Kiedy już wszystko było gotowe i Rafał poprzewiązywał wóz powrósłami, aby się nic nie stoczyło na ziemię, Wawrzon wyprowadził krowę i założył jej nowy postronek na rogi.

— Masz, Marysia, prowadź! — Dziewczyna otuliła się zapaską i poszła, ciągnąc za postronek, bo krowa się opierała i, zwracając swój wielki łeb ku chałupie, ryczała, jakby przeczuwając, że ją prowadzą na tułaczkę.

— No, to jedziemy! — zawołał Rafał.

— Zaraz, zaraz! — powiedział Wawrzon i wszedł po raz ostatni do izby, a za nim wsunęła się Jagna; popatrzyli smutnie, chodzili po kątach, rozgrzebywali słomę, oglądali się po ścianach, a wyjść im się jakoś nie chciało, przeciągali bezwiednie chwilę rozstania się z temi ścianami.

— Wawrzon, jedziemy, bo już mroczeje — zawołał przez okno.

— Jagna, chodź już, chodź. Co tam, pan Jezus nas nie opuści.

Wyprowadził żonę i zatrzasnął drzwi za sobą.

— A to w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego jedziemy! — rzekł ponuro, zacisnął mocniej pas na kożuchu, zaciął zęby i ruszyli. Jagna wiodła na postronku maciorę i prawie ryczała, płacząc. Wawrzon szedł na ostatku, patrzał ponuro na stosy drzew, poobdzieranych z kory, niby na trupy nagie, zaścielające pobojowisko, na kupy żółknących już gałęzi, na tysiące pieńków, co niby trzony kolumn zwalonych bieliły się tysiącami po obu stronach drogi, na głębokie doły pełne wody i rdzawych igieł sosnowych, na ścieżynki widoczne teraz, wijące się we wszystkich kierunkach, pozawalane drzewami. Znał on to wszystko dobrze, znał, jak znał każdy rów, każdą suszkę, każde prawie grubsze drzewo, każdy ducht, co niby ulice przecinały las w kilku kierunkach. Dwadzieścia lat był gajowym w tym lesie. Tutaj pasał bydło za młodu, tutaj tylko żył, zrósł się niejako z temi drzewami, czuł nieświadomie jakieś powinowactwo z tymi olbrzymami, co teraz leżały martwe, bez koron, bez gałęzi, bez życia, niby smutne kadłuby, po których deptano. Nie zmogły lasu burze, nie zmogły pioruny, które nieraz biły w niego, nie zmogły mrozy, od których nieraz drzewa pękały. Siekiera przyszła i las padł trupem. Co on miał tutaj robić? U żydów za parobka do pilnowania sągów służyć nie chciał, woli iść w świat, szukać służby, niźli patrzeć. Ogarniał rozpalonym wzrokiem cały

obszar poręby, po której kręciły się gromadki ludzi z piłami i siekierami, toczyły się wozy, już naładowane klocami i leciał niewyraźny, tonący w oddaleniu i mgle gwar głosów, turkot wozów, huk siekier i rżenie koni.

Człapał wolno po błocie, czasem wóz wspierał ramieniem na wybojach, czasem nogą odgarnął psa, gdy się przysunął za blizko i szedł coraz chmurniejszy. W piersiach tak go coś paliło, jakby się zachłysnął spirytusem. Ten trzask łupanych kloców i głuchy huk siekier, jaki go dochodził, bił jakby w niego i odrąbywał mu po kawale duszy. Zacinał coraz silniej zęby, bo chciało mu się rzucić na ziemię i krzyczeć ze wszystkich sił, z tej żałości bezmiernej, jaka go przenikała, ale szedł ciągle. Deszcz padał coraz gęstszy i jakby zimniejszy, marne, ostatnie brzozy, niedocięte jeszcze nad rowem, zrzucały żółte, ostatnie liście, które leciały z wiatrem niby łzy i niby łzy ciężkie padały na drogę błotnistą, na pieńki, na gałęzie, na nizkie krzaki jerzyn, na nędzne leszczyny, na karłowate sosenki, które trzęsły się jakby z zimna, i szemrały smutnie. Na kilku nagich, uschniętych świerkach trzepotało się całe stado wron i krakało żałosną pieśń, że niema już gdzie słać gniazd, że niema się już gdzie schronić.

Rudawe, podeptane trawy i paprocie walały się w błocie i w żółtych trocinach, które rozlewały się wielkiemi plamami, niby strugi krwi, wy-

toczonej z lasu. Stado krów szczypało na polance nędzną trawę i co chwila porykiwało głucho, a kilkoro dzieci siedziało przy ognisku, przez deszcz zalewanem; wydobywał się z niego brudny czarny dym i rozwłóczył postrzępionemi pasmami po porębie, niby z kadzielnicy, jaką okadzają umarłych.

Smutek i wielka melancholia, pełna jęków drzew umierających, przepełniała zamglony świat i przenikała Wawrzonową duszę coraz głębszą żałością i takim gniewem, że byłby gryzł te kamienie, o które się potykał; zaciskał pięści, zgrzytał zębami, przymykał oczy, aby nic nie widzieć, i szedł coraz prędzej.

— Raz kozie śmierć! — powtarzał twardo i ze złością kopał to pieńki, to gałęzie, to zeschłe muchary, które jak kapelusze przekrzywiały się nad rowem przydrożnym.

Pod dębem wielkim i rozłożystym, rosnącym na skraju lasu, który sam jeden ocalał, bo miał na sobie obrazek Matki Boskiej, ukryty pod firankami z muślinu, Wawrzon usiadł, aby nieco odpocząć. Dąb był kilkusetletni, pokręcony, podarty przez pioruny, pusty wewnątrz, wyciągał dziwacznie pokręcone gałęzie pełne guzów i sęków, niby potężne pięście ku niebu i szumiał suchymi liściami. Był to punkt, do którego Wawrzon za czasów swojej służby dochodził tylko, bo zaraz zaczynały się orne pola i stąd zawracał z powrotem, a teraz... teraz prze-

stępował te święte lasu progi i nie powróci więcej — idzie na tułaczkę...

— Ażebyście!... ażebyście!... — i taki straszny ból skręcił mu wnętrzności, że aż się ujął za brzuch i jęczał.

— Wawrzon! a chodź-że prędzej, Rafał nie będą czekali i noc się robi.

— Pudziesz ty, suko, bo cię zakatrupię — mruknął wściekły.

— Hale! schlała się swynia gorzałczyskiem i będzie tu po drogach brewerye robić!

— Mówię ci kobito, odyńdź, bo pożałujesz.

— A juści, ostawie cie tu, a doma będę graty znosić do chałupy.

— No chodź Wawrzon — dodała czulej, pochylając nad nim czerwoną, zapłakaną twarz, i zaczęła go ciągnąć za rękaw.

— Mówię ci, psiaścirwo, idź, to idź, bo spiorę kiej bydlaka.

Jagna szarpnęła go silniej, Wawrzon się zerwał z ziemi, jakąś gałęzią uderzył ją przez głowę, rzucił o ziemię, kopnął parę razy, złapał postronek od świni, która się podczas tego szamotania wyrwała Jagnie z ręki i poszedł naprzód wielkimi krokami. Wawrzonowa z lamentem głośnym zwlekła się z ziemi i poszła za nim. Wkrótce zginęli w mgle i zmroku zapadającym. Tylko wrony wielkiem stadem krążyły nad dębem i krzyczały żałośnie, a na

drodze z poręby ukazywały się krowy, brzęcząc dzwonkami i jakiś głos krzykliwy śpiewał.

Bydło przeszło i zniknęło w mgle i zmroku, z oddali śpiew coraz słabiej dochodził.

Ostatnie dźwięki utonęły w przestrzeni i spływały z pluskiem deszczu. Pociemniało nagle, świat zalał szary, wilgotny ton nocy listopadowej, że wszystko się zlało w jedną brudną masę ociemniałą i oślepłą. Stary dąb tylko szemrał sennie, strącał liście na pola i od poręby, od suchych świerków, od brzóz, od gałęzi, płynął jakiś głęboki jęk, jakiś śpiew rozpaczliwy brzmiał ponurymi rytmami: Umarł las! umarł! umarł!

PRZY ROBOCIE

— Wam coś jest?

— Ja nie wiem, co mi jest; od rana źre mnie jakaś chańdra niby pies połamanymi zębami, że miejsca sobie znaleźć nie mogę. Sznapsa pijecie, a?

— Dobrze. Kto wychodzi? Prawda, karty wyście rozdawali.

Umilkli i zaczęli grać.

Wiatr targał nędznym, skleconym z desek i gałęzi szałasem, przyciskającym się do nasypu kolejowego i z jednej strony zupełnie otwartym na świat. Płomienie palącego się przed szałasem ogniska syczały, zalewane ustawicznym deszczem, miotały się na wszystkie strony, buchały snopami iskier i często rzucały kłęby gryzącego rudego dymu w twarze grających, którzy siedzieli na pniach przed trzecim, wyższym znacznie, żółcącym się, świeżo przerzniętym słojem, na którym kładli karty.

— Wychodzę z czterdziestu! — zawołał młodszy, z trudem rozpoznając karty w słabym brzasku ognia.

— Dobrze, śliczneńki.

— Teraz podrzynam was, z dwudziestu!

— Same cudowności, miłusi!

— Dobijam: as atutowy, co czyni siedmdziesiąt jeden i partya moja.

— Twoja, serdce, twoja — odpowiedział śpiewnym głosem, ale zupełnie obojętnie Gliniewicz. — Skroiłeś mi kurtę, serce moje, a!

— Nóżki na stół i płacić!

— Zapłaci się serdce, jeno krzyknę na swoich chłopców.

Wyszedł przed szałas, za ognisko, dłonie zwinął koło ust w tubę i krzyknął:

— Chamy, a ruszać się tam.

Wiatr zakotłował gwałtownie, zakręcił się po szałasie, wyrwał kilka płonących szczap z ogniska i przepadł z niemi w nocy i szarudze październikowej. Gliniewicz cofnął się pod szałas, zapłacił i zaczął grać drugą partyę, spoglądając co chwila przed siebie w noc i nasłuchując.

— Raz... dwa... puszczaj! — rozlegała się głucha komenda i huk kafarów, wbijających pale; a gdy ognisko, ustawicznie podsycane smolnemi szczapami, buchnęło żywszem płomieniem, wtedy wyłaniały się z ciemności wysokie rusztowania podobne do wież, stojące znacznie niżej od ognia, i cały las olbrzymich pni sosnowych, odartych z kory, ustawionych obok siebie, i niewyraźne zarysy robotników, obracających kołowroty. Nasyp kolejowy był rozkopany na przestrzeni kilkudziesięciu metrów,

stary most zniesiony i po obu stronach bystrej i wezbranej październikowymi deszczami rzeki wbijano pale pod fundamenty nowego mostu. Roboty prowadzono pospiesznie.

— Raz dwa... Puszczaj! — kołowrót, ciągnący babę, stawał, kleszcze rozwierały się i baba, trzymana z tyłu przez dwie wysokie strzały rusztowania, zsuwała się po nich z szybkością piorunującą i uderzała w podstawiony pal z siłą czterdziestu pudów, aż wielkie wypory, podtrzymujące rusztowanie i umocowane przy ziemi w kwadracie z belek, a złączone przecznicą tak, że tworzyły literę A, trzęsły się i trzeszczały złowrogo.

— Jaazda... w góreee!

Niby pająki, spadały ze szczękiem kleszcze na babę, chwytały ją zębami z wierzchu, rozlegał się zgrzyt kołowrotu, kilkanaście rąk zaciskało się silniej przy korbie, ośm postaci prężyło się ogromnym wysiłkiem i, wolno, automatycznie zginając się i podnosząc, obracali koło.

Ośm kafarów biło bez ustanku i na obu brzegach co chwila rozlegała się komenda i co chwila przecinał powietrze ostry świst i huk głuchy, podobny do oddalonego grzmotu, drżał ciężko w zadeszczonem powietrzu i wstrząsał szałasem.

— Nie idzie wam karta?

— A cóż mnie szło kiedy, a? Nie mogę grać, ręce mi się trzęsą — rzucił karty na pień, wstał i krzyknął silnym zdenerwowanym głosem:

— Chamy! A ruszać się tam!

— Sznapsa pijecie, a? — Tamten nie chciał; Gliniewicz sam się napił, zapiął się starannie, kołnierz postawił i schodził ostrożnie po oślizgłej glinie zbocza nasypu ku palom, które w brzaskach ogniska lśniły się, niby kolumny z różowawego bursztynu.

— Psiakrew, taka noc! — mruknął, schodząc pomiędzy pale i macając co chwila kijem, aby nie wpaść w doły pokopane i pokryte tylko gdzieniegdzie tarcicami, które się ze skrzypem gięły pod nim. Jakiś niepokój głuchy i obawa rozdrażniały go boleśnie, oglądał pnie, nie wiedząc sam po co, właził na drabiny patrzeć, czy sznury się nie drą, przypatrywał się rusztowaniom kafarów, tłukł się w ciemnościach o pale, potykał, klął po cichu i głośno, przystawał i patrzył bezmyślnie w smugi ogniska, przedzierające się pomiędzy palami, na pochodnie, zatknięte nad samą rzeką przy pompach, pracujących bezustanie i skrzypiących okropnie tłokami.

— Pale idą dobrze, a? — pytał się przy kołowrotach.

— A idą psiachmać, idą kiej w żelazo.

— Twardo, a?

— Świnia nie ziemia — mruczeli chłopi niechętnie.

Odsunął się i przypatrywał się ostrym, prawie zwierzęcym profilom ludzi, jakby zrośniętych z kor-

bami, oblanych potem, zmokniętych i dyszących ciężko z wysiłku.

— Pochodnie dać! — krzyknął, schodząc do pomp. — Wody ubywa, a?

— Trzy cale od wieczoru, jest jeszcze z pięć.

— To jutro nie będzie jeszcze można budować fundamentów, a?

— Ludziom jaże gnaty skrzypią od roboty, a tu jeszcze ten deszcz, niech go marności, i ślipiów ozewrzeć nie można tak bije i cięgiem zalewa skrzynie.

— Na psa taka robota! — mruknął któryś.

Gliniewicz szedł dalej, miał już przejść na drugą stronę rzeki, ale zawahał się jakby z obawy, powiódł wokoło oczami i usiadł przy kładce wąskiej, umocowanej na beczkach, zczepionych łańcuchami. Kafary biły raz po raz z ponurym łoskotem, deszcz padał gęsty, drobny, dokuczliwy, przenikający chłodem do kości, a rzeka, ściśnięta cembrowinami, wzburzona, szumiała groźnie i biła w brzegi, targała się, jakby chcąc rozsadzić krępujące ją ściany. Poza tą kładką, w którą woda biła bezustannie i obrzucała potokami rozbitej na miazgę piany, szarpiąca się, niby zwierzę na uwięzi — majaczały wieże rusztowań, masy pali i czarne sylwetki robotników, odcinając się na tle ogniska, niby na starej bizantyjskiej mozaice.

Gliniewicz bezmyślnie przyglądał się czarnej, poplamionej odblaskami pochodni i ognisk wodzie,

słuchał jej bełkotu tajemniczego, huku kafarów, głosów komendy i dziwnych, przejmujących go drżeniem głosów ciemności, która zdawała się obciskać świat w coraz szczelniejszą zasłonę, wisiała olbrzymimi strzępami nad ogniskami, kołysała się na wodzie, czaiła się pomiędzy palami w porozrywanych, przesiąkniętych światłem kłębach; zdawała się przenikać wszystko na wskróś i wszystko pokrywać i rozpraszać.

Zatrząsł się jakimś zimnym dreszczem, przygniatała go ta noc i te monotonne huki i śpiewy, podniósł się i krzyknął:

— Chamy, a ruszać się tam!

I jakby w odpowiedzi, po drugiej stronie zerwał się śpiew choralny i rozpływał wolno, szarpany przez wiatr.

— Jedna baba z Pocieja!...
Z Pocieja...
Pokochała złodzieja —
Złodzieja!

Odpowiadano z tej strony rzeki i śpiew się ciągnął nieprzerwanie, przeplatany tylko hukiem bab bijących i głosem komend i brzmiał coraz wolniej, smutniej i ciszej, to przerywał się w jakimś chrapliwym akordzie i baby wtedy huczały głośniej i zgrzyt pomp przecinał ze świstem powietrze i deszcz pluskał z trzaskiem o nagie szkielety drzew, albo las, stojący z prawej strony, w którym

niknęła rzeka, zakołysał się gwałtownie pod uderzeniem wichru, wrony z krzykiem zrywały się z gniazd, i łopocząc i krocząc żałośnie, krążyły nad ogniskami i czepiały się rusztowań, ale zestraszone hukiem leciały dalej w noc.

— A ten złodziej głupi był,
Głupi był!
Co zarobił, to przepił,
To przepił!...

znowu wrzeszczały chrapliwe, przemęczone głosy.

Gliniewicz wrócił do szałasu. Ognisko przygasło, chłop, który go pilnował, spał z okręconą workiem głową.

— Walek! ogień gaśnie, chamie, nie śpij! — krzyknął Gliniewicz i usiadł na pniu.

— Psi czas! — szepnął i spojrzał na lewo ku linii prowizorycznej. Szedł pociąg, słychać było coraz bliżej szczęk szyn, ziemia drżała i zaraz prawie pociąg wychylił się z łuku; niby czarny, długi potwór, świecący białemi ślepiami, przez którego żebra i kręgi buchało światło, przesuwał się wysoko, jakby nad ziemią, dysząc kłębami dymu, które wiatr rzucał pomiędzy fale i tłukł o las.

— Psi czas — sznapsa pijecie, a?

Towarzysz nie odpowiedział. Gliniewicz pił długo, później otulił się szczelniej w kożuch i usiadł przy samym ogniu, ale nie mógł usiedzieć, wstawał, przechodził przed szałasem kilka kroków tam

i z powrotem, powracał, znowu pił i coraz nieprzeparciej chciało mu się mówić, bo coraz głębiej wstrząsał nim jakiś niepokój niewytłómaczony, że już wytrzymać nie mógł. Położył się na ziemi, przy ogniu, wypił resztę wódki i zaczął prawie głośno rozmyślać.

— Ot tobie los, a! Trzydzieści lat włóczęgi... Br... zimno! Chamie! drzewa na ogień! — krzyknął głośno, ale chłop się nie obudził. Gliniewicz patrzył się chwilę na niego pijanym, bezprzytomnym wzrokiem i znowu utonął w rozmyślania. — Trzydzieści lat robił i dorobił się czego? a! że jak pies, na taki czas warować musi na zimnie i deszczu, a!

— Gliniewicz, masz pech, masz, serdce, pech masz! Miesiąc gdzie byłeś, dwa, czy rok, zawsześ w końcu iść musiał w świat, bo masz pech, bo zawsze się stawało jakie nieszczęście. Zaczekaj, serdce, a! — w Żubrach dobrze ci było, a? — no i co, stodoły się spaliły, kto winien, a? — Gliniewicz winien! Gliniewicz wziął kij, ta i poszedł.

— A w Kijanach źle było, a? — Dobrze. Chłopa maszyna porwała. Kto winien, a? — Gliniewicz winien. A u jaśnie pana? — Dobrze. Gliniewicz dostał w pysk — dobrze, bo Gliniewicz miał tam żonę, jaśnie pan zleciał z brogu i zabił się. Gliniewicz winien — dobrze. Prztyk palcem w plecy i jaśnie pan już na dole — Gliniewicz

winien! Czy kto umarł, czy się zabił, czy się spalił, czy złodzieje okradli, kto winien, a? — Gliniewicz winien! — i Gliniewicz brał kij i szedł szukać nowej służby. Sznapsa pijecie, a? — Towarzysz nie odezwał się, wsparty o skarpę, na której był przystawiony szałas, spał w najlepsze. Gliniewicz się podniósł, świeżą butelkę z wódką wyciągnął z pod barłogu, pił długo i usiadł znowu na pniu, oparł się łokciami o drugi i zapatrzył się w ogień, siejący krwawe blaski na jego szarą, jakby z garncarskiej gliny modelowaną twarz, na nos długi i haczykowaty, na brwi szerokie, i w głębi bladych, i wypełzłych oczu niebieskich, bardzo wypukłych i jakby wystraszonych, zapalał rubinowe skry. Szerokie sine usta drgały mu ustawicznie jakby w łkaniu powstrzymywanem, przysuwał się coraz bliżej ognia i napół przytomnie nasłuchiwał i skoro dosłyszał rzadsze uderzenia bab, wychylał się i krzyczał chrapliwie:

— Chamy! a ruszać się tam!

I snuł dalej gorzkie i ciężkie rozmyślania w kółko, z właściwym pijakom uporem.

— Ot tobie los, a! Sierotaś ty, Gliniewicz. Żonęś miał, a? Miał — umarła. Dzieciś miał, a? Miał — umarły. Familięś miał, a? Miał — umarła. Sierotaś Gliniewicz, a? — Sierota — dopytywał się i odpowiadał sobie coraz senniej — Gliniewicz winien, a? — Winien!

Kafary huczały i wciąż biły ze straszliwą automatyczną jednostajnością, a rzeka szamotała się i pluskała w wązkim korycie z wściekłością coraz większą, a deszcz padał nieustannie, w blaskach ognisk widać było, jak nieskończone, skośne promienie wody, niby stalowe nici, uderzały w ziemię. Noc wlokła się ciężko, bez gwiazd, i jakby nigdy nie miał być dzień, tak ciemności świat zalały.

— Gliniewicz winien, a? — Winien Gliniewicz — szeptał, powieki zaczęły mu ciężyć, senność opanowała go gwałtownie. Budził się na chwilę, nasłuchiwał huków, oglądał się dokoła i znowu drzemał i śnił i rozmarzał się przypomnieniami, które w chaotycznie splątanym kłębie przewalały mu się przez mózg, to się jakby staczał w jakąś głąb, to przez sen obejmował pień rękami i cichym, smutnym głosem, ze łzami, które mu płynęły z pod zamkniętych powiek szeptał: — Winien Gliniewicz, winien — jęczał ciężko, chciał się zerwać, iść; nie mógł, bo pień ściskał jeszcze silniej i znowu spał cicho, albo się podnosił bezprzytomnie i odruchowo krzyczał:

— Chamy! a ruszać się tam! — siadał i spał dalej.

Naraz podniósł głowę, przerażenie zabłysło mu w oczach, wyciągnął rękę, jakby chcąc krzyknąć, ale w tej prawie chwili rozległ się jakiś trzask, potem huk ogromny, aż ziemia zajęczała i jeden

tylko, ale długi, przejmujący, okropny ryk ludzki rozdarł powietrze i brzmiał strasznie w nagłej ciszy, jaka się zrobiła.

Gliniewicz oprzytomniał zupełnie i pobiegł do kafarów.

Jeden z kafarów z całem rusztowaniem zwalił się i zmiażdżył chłopa, trzymającego sznury od kleszczów.

— Pochodni! — ryknął strasznym głosem Gliniewicz, rzucił się do stosu pogruchotanych desek i pierwszy zaczął je odwalać z gorączkowym pośpiechem, bo z pod nich wydobywał się ciężki, przytłumiony jęk przywalonego.

— Rozwalać, psiakrew! — krzyknął na chłopów ruszających się apatycznie. Przyniesiono pochodnie i po chwili wyciągnięto z pod drzewa chłopa, odniesiono go nieco na bok, nad rzekę. Gliniewicz skrapiał mu twarz wodą, rozcierał ręce, dmuchał w nozdrza, ale chłop już nie odzyskał przytomności i konał.

— Jezus! — rzężał chrapliwie, wciągał wykrzywionemi ustami powietrze, wyprężał się, że aż głową wygniatał dół w rozmokłej glinie, przymykał oczy, bo mu z rozbitej głowy krew lała się strumieniem po twarzy i ściekała aż na piersi.

Chłopi stali wokoło z tępym, rezygnacyjnym wyrazem w twarzach, pobrudzonych przy robocie, świecących się od deszczu w świetle pochodni, rzucających brudne smugi światła na twarz

umierającego i na Gliniewicza, który, widząc, że wszelki ratunek nic nie pomoże, stał z boku i z ponurym błyskiem oczu patrzył się w światła. Z drugiej strony rzeki dochodził jednostajny huk bab i śpiew:

Nima to ci, jak młynarzom,
Bo na słońce nie wyłażom.

— Jezu! — zacharczał znowu konający, chciał się unieść, ale brakło mu sił, zaczął rwać palcami ziemię, zgrzytać i drgać konwulsyjnie całem ciałem.

— Grzela! — szepnął któryś z chłopów, przyklękając; konający rzężał coraz bardziej, otwierał usta szeroko, połyskując dwoma rzędami białych zębów. Chłop jakąś brudną szmatą związał mu rozłupaną głowę, obtarłszy mu kapotą twarz zakrwawioną, zdjął czapkę, zabił w ziemię, tuż przy głowie umierającego, jedną z latarń i zaczął drżącym głosem pacierz.

— »W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego Ament«.

— Ament — odpowiedzieli, klękając wokół i odkrywając głowy. Jakiś tragiczny nastrój rozlał się nad nimi w tej nagłej ciszy, jaka zapanowała, bo i na drugiej stronie kafary umilkły i widać było szeregi cieniów, przesuwających po kładce na rzece.

— »Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje« — mówili głośno i z namaszczeniem; ten prosty pacierz za konającego i ten prawie już trup, co tam rzężał ostatniem tchnieniem, rozkrzyżowany w walce ze śmiercią, przenikał taką powagą i majestatem, że się chylili z bojaźnią, że ból i strach zaczął świecić we wszystkich oczach i zginać coraz niżej karki i głowy i wyrywać głębokie westchnienie — »Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi«.

Brzmiał coraz niżej pacierz i usta się trzęsły, łzy migotały w oczach, żal i trwoga przegryzały twarde, kamienne serca i nieulękłe, zbydlęcone pracą dusze, korzyły się ze łkaniem w nagłym, okropnym kurczu strachu przed śmiercią.

Tylko Gliniewicz nie klęczał, patrzał na konającego, na jego starą, zniszczoną twarz, na głowę związaną, na klęczących, co się pochylali aż do ziemi, bili się w piersi wolnym automatycznym ruchem, tym samym, jakim kręcili kołowroty i powtarzał sobie ciągle i bezmyślnie prawie:

— Gliniewicz winien, a? — Winien.

Grzela skonał, narzucili na niego kapotę, zrobili rodzaj przykrycia z desek, żeby nie mókł i powracali wolno do roboty. Kołowroty zaczęły skrzypieć wolno i baby, choć zrzadka, biły z dawną siłą, pompy piszczały tłokami, wszystko wracało do dawnego, tylko Gliniewicz wciąż widział przed sobą

wysadzone z orbit oczy, rozbitą, buchającą krwią głowę i usta rozwarte szeroko, połyskujące rzędami białych zębów i krzyczące: Jezus! — i wciąż powtarzał w kółko:

— Gliniewicz winien, a? — Winien!

Zeszedł na brzeg, tam, gdzie nie dochodził żaden promień światła, usiadł na cembrowaniu i siedział. Jakieś straszne łkanie rozrywało mu piersi, dusiły go łzy, łamała rozpacz nieopowiedziana, a nie mógł wyrwać z siebie ani jednej myśli, siedział jak martwy, bez ruchu, zapatrzony w czarny, ruchomy odmęt, co szumiał przed nim, bryzgał na niego pianą i lizał mu stopy. W lesie, który stał zaraz, czarną ścianą, rozlegały się jakieś krzyki, hukania, jęki smutne, to rzeka rozbijała się pomiędzy drzewami, bulgotała, jakby płaczem, to druty telegraficzne zaczęły jęczeć żałośliwie, trząść się, zawodzić dziką i przejmującą pieśń, niby arfa eolska, na której noc wygrywała swoje melodye tajemnicze, to jakieś ptaki z krzykiem zrywały się z drzew, to wiatr zmącił wszystko, rzucił się na las, prześwistywał, głuszył odgłosy kafarów, bijących już z dawną ciągłością — to przyciszało się i od kafarów popłynęła smutnie zawodzona pieśń.

— Gliniewicz winien, a? — Winien Gliniewicz, winien — powtarzał i podnosił się, jakby chciał wziąć kij i iść w świat i już widział przed sobą drogi, tułaczkę, nędzę dawną, głód, poniewierkę... i opadł ciężko z powrotem, bez sił, i łzy, powstrzymywane długo, polały mu się po twarzy gryzącym strumieniem. Upadł na ziemię i nie mógł już nic mówić, ani myśleć, tylko płakał, płakał, płakał...

VENUS

Noc podnosiła się od wschodu i szła jeszcze chyłkiem, ale już przysłaniała pletwami jary głębokie, pola dalekie, źrenice stawów i poczynała wlewać plugawymi łachmanami zmroku i trząść na ziemię drobny, przejmujący zimnem deszcz — i zwolna okręcała brudnymi zwojami wsie, szkielety drzew, puste pola, krzyże, co oślizgłe, czarne, zmęczone ramiona wyciągały ku niebu po wzgórzach i rozstajach.

A za nocą, niby pies, wciskał się wiatr i obiegał pola, przewalał się ze świstem po przemiękłych podorówkach, bił w stawy, aż się odkrywały do dna, zamiatał błotniste drogi, mocował się z gruszami po miedzach, wyrywał wiechcie słomy, przycichał i milczkiem uderzał w ściany lasów, stojących dokoła; wżerał się ze skowytem w tłumy drzew ponurych i rwał ostatnie liście brzozom żółtym i bukom czerwonym — i cofał się przerażony mroczną ciszą głębin i ponurą zadumą olbrzymów, cofał się ze skomleniem, kłębił i rzucał z wściekłością na stary, leżący w dolinie nad

rzeką park; na ruinę parku o zielonych oczach stawów zarośniętych, o wyłamanych, przegniłych alejach, o pokrajanych na chłopskie zagoniki gazonach i trawnikach; na trupa parku, gdzie w pośród zdeptanych traw i drzew połamanych bielały marmurowe ciała Faunów, Panów, Dryad, Bachantek i Bogów.

Noc szła niepowstrzymanie i mżyła coraz gęstszym deszczem. Ostatnie stada wron leciały z krzykiem ku lasom, wieszały się na szkieletach drzew, obsiadały białe głowy bogów i krakały — długo i żałośnie; a potem krążyły chmurą nad podartymi murami pałacu, czepiały się porozwalanych ścian, wisiały na potrzaskanych kolumnach, opadały na zrujnowane balkony, na resztki dachów i wieżyczek i znikały we wnętrzu ruiny, w oczodołach pałacu, który patrzył w tę noc listopadową, w widmowe kontury drzew połamanych przez wichry, w długie aleje, majaczące w zmroku, na potrzaskane marmury fontan, na groby rozwalone, w ciemne głębie gąszczów, w zielone rozgniłe stawy i na szeregi Faunów, Panów, Dryad, Bachantek, Bogów i Chimer — na cały tłum ciał chwiejących się na zmurszałych trzonach, i wskróś zielonego zmroku boleśnie bielejących nagością; na cały tłum boskich ciał obdartych, poranionych, powygryzanych przez deszcze i mrozy, bezrękich, kalekich, omszonych, trupich; na cały tłum boskich nędzarzy, konających w zimnie, brudzie i brzydocie

nocy listopadowej, wpatrzonych kamiennemi oczami w Venus.

Deszcz padał bezustannie i zimnemi strugami spływał po boskiej twarzy Venus, wyżerał jej oczy wpatrzone w dal niezgłębioną, i ściekał brudnemi smugami po surowych, nieubłaganych, dumnych ustach na tors poraniony, na piersi rozbite kamieniami pastuchów, na biodra wyszczerbione ostrzami kozików, na całe to nieśmiertelne ciało pełne ran, smug od biczów, błota, plam i pleśni.

Dziki chmiel obejmował jej nogi lubieżnymi skrętami i plugawił jej boskie łono, a wielkie osiki, stojące dokoła, trzęsły się wciąż w gniewie i sypały na jej głowę przegniłe liście i brutalnie biły ją gałęziami, a droga, biegnąca poza nią, obrzucała ją błotem, a trup pałacu rzucał na nią gruzem, a deszcz pluł na jej boską nagość.

Noc podnosiła najeżoną wichrami głowę i trzęsła nią coraz silniej — aż szkielety drzew trzeszczały, mury pałacu się trzęsły i głucho huczały puste pokoje; i jęczał smutnie park cały, i skowyczały z zimna i strachu stare psy — bezdomne, które tu zdychać przychodziły; psy—samotne, wyjące rozpaczliwie do odległych wsi, błyskających ognikami. — opuszczone psy.

Wiatr się srożył.

Noc przysłoniła przegniłym łachmanem mroków świat i przewalała się z chichotem dzikim wichrów po błotach dróg, po nagich gałęziach drzew, po

atłasach wód, po ruinach pałacu i po białych ciałach bogów — tarzała się z upojeniem i porykiwała głosem huraganu, który zrywał się z łańcuchów, porykiwał złowrogo i począł kąsać, deptać i miażdżyć świat. Psy wyły żałośnie, druzgotane drzewa jęczały, rozdzierane mury padały z krzykiem głuchym, a wszystko, co żyło — cierpiało i łkało żałością i błaganiem.

Venus, cicha w swej boskiej obojętności, patrzyła w dal niezgłębioną, poprzez tę noc listopadową, poprzez tę noc tak straszną. A huragan, jak pijany szaleństwem, taczał się po polach, brał się za bary z lasem, gniótł, wyrywał i łamał, aż jęk ogromny leciał nad ziemią wysoko, a trzask łamanych gałęzi drzew, niby huk piorunów, echem rozlegał się po ruinach pałacu.

Cały park trząsł się w spazmie rozpaczy, skomlał, ryczał o litość, żebrał zmiłowania, ale huragan odpowiadał wyciem, rozwalał mury, wydzierał z ziemi całe aleje i rozrzucał je po parku, jak pióra, szamotał się z rozłożystymi dębami i rozdzierał je do korzenia, skręcał wysmukłe topole niby trzciny nikłe i bił niemi w bogów, walił ich o ziemię z trzonami i rozgniatał, niby muszle suche, i zarzucał błotem, gałęziami, ziemią — i oślepły wściekłością deptał po białych ciałach i biegł druzgotać Venus!...

Szaleństwo chaosu zapanowało nad ziemią. Huragan wył wszystkimi głosami wściekłości i nocy.

Nie było już nic, tylko jeden olbrzymi wir ciemności, który toczył się między niebem a ziemią, ryczał, rwał drzewa i mury, kłębił się olbrzymim lejem, przelatywał park i bił w lasy, a lasy powstawały strasznym szeregiem, niepokonanym szeregiem, zawodziły dziką pieśń boju i tłukły koronami napastnika, kładły się prawie na ziemi i powstawały znowu ogromne, niepokonane, straszne, i walka trwała dalej, bój trwał i zniszczenie trwało.

A wśród szmerów, bełkotań, trzasków, ciemności, łkań drzew konających, a wśród chaosu nocy strasznej, brzmiał hymn ponury Faunów, Panów, Dryad, Bogów i Chimer — rozpaczny hymn:

O Venus! O nieśmiertelna! O Matko Bogów i ludzi! Litości! Litości!

Venus patrzyła w dal niezgłębioną, surowy uśmiech tkwił na jej ustach boskich, boską obojętnością oddychało jej ciało pełne ran, jej ciało smagane przez huragan, jej ciało bite gałęziami, cegłami rozwalonych ruin, błotem drogi, szlamem stawów, zimnem, wszystkiemi potęgami tej nocy strasznej.

I znowu potrzaskane torsy, poskręcane ciała, podeptane głowy, poszarpane w miazgę boskie ciała Panów, Dryad, Bachantek, Bogów i Chimer — śpiewały wielki hymn konającymi głosami, rozpaczny hymn!

— O Venus! O nieśmiertelna! O Matko Bogów i ludzi. Litości!...

A Venus patrzyła w dal niezgłębioną po przez tę noc straszną na Helladę, spowitą w ciszę miesięcznej posnowy, co srebrną mgłą okryła szczyty gór nagich, oliwne gaje, lasy cyprysów, przez które przeświecały białe ściany domów i marmurowe portyki świątyń; słuchała słodkich szmerów ruczajów, wijących się przez rozwonione lasy, tęsknych głosów fletni, lejących się w ciszę tej cudnej nocy, gorących hymnów miłości, które w wiosennem powietrzu śpiewały wszystkie twory.

A noc szła naprzód niepowstrzymanie.

Huragan przeszedł i oczy gwiazd zaczęły patrzeć z głębin. Świt blady, anemiczny, o rozwichrzonych zorzach na czole, podnosił ciężkie powieki chmur i patrzył sennemi, zapłakanemi źrenicami zórz po pustych, martwych polach, pełnych zniszczenia, po lasach połamanych, zaglądał w puste oczy pałacu aż do głębi nagich ścian, pełnych strzępów, obić i resztek złoceń, obiegał błyskami park zgnieciony, połamany i umarły, szukał bogów, którzy stali w półkolu wielkiem nad stawem, ale bogów nie było: Fauny, Pany, Dryady, Bachantki, Bogowie i Chimery — umarli, gnili w błocie, przywaleni trupami drzew. Szukał Venus! I Matki Bogów i ludzi nie było. Nie mógł wyrwać huragan sam, więc wyrwał z korzeniami jakieś drzewo i rzucił na nią. Zerwała się z tronu, wyrwała się

z objęć chmielu i padła na wznak w błoto drogi i leżała, tak samo wpatrzona w dal niezgłębioną, tak samo pełna boskości i majestatu.

Świt, jakby przerażony ogromem i niszczącą potęgą nocy, rozpłomienił się i krwawemi zorzami zalał świat, i patrzył ze zgrozą na trupy i zniszczenie.

A wtedy z głębin parku, od połamanych bogów, od rozmiażdżonych boskich ciał, z kamiennych ust, buchnął krzyk ogromny, krzyk wstrząsający, ostatni krzyk:

— Umarła! Umarła!

Umarła! Odpowiedziały echem lasy, chyląc się do nóg dnia wschodzącego. Umarła! Odpowiadały echem niedołamane drzewa parku i chyliły się przez rów nad drogą i patrzyły na nieśmiertelną.

Umarła! Śpiewały suche, nikczemne osty, otrząsając ciężkie głowy z rosy, szeptała ziemia, chichotał poranny wietrzyk, mruczały wezbrane potoki, co wybiegały z parku na drogę i czołgały się do Bogini, aby lizać jej ciało i rwać i kąsać i jakby powszechna radość zatrzęsła ziemią, że umarła ta, co była nieśmiertelna.

A dzień rozsrożył się, twarz mu buchała płomieniem i stanęła w ogniach czerwonych pożogi, nieubłagania; światłem sądu i zemsty świecić poczęła.

Trwoga przeleciała nad światem: ptaki pomilkły, lasy przycichły, potoki stanęły, ziemia okryła

się trwożnie mgłami i cisza przytłaczająca ogarnęła niepokojem wszelkie istnienie.

Dzień pochylił swoją krwawą twarz nad Nieśmiertelną i zapalił w jej szeroko otwartych źrenicach czerwone błyski, otoczył jej boskie ciało aureolą i całował jej rany różanemi ustami poranku, cofnął się poza chmury, które niby błotniste, rozlane drogi, wisiały na niebie; i zapłakał drobnym deszczem i lał łzy na ziemię, pełną szarości, zimna i smutku.

Ocalała tylko jedna z Heter, którą niegdyś chłopi ukradli z parku, umieścili w wydrążeniu potężnej lipy, okryli jej bezwstydną nagość sukienkami, obwiesili różańcami i wiankami kwiatów, ustroili w złoconą, papierową koronę i modlili się do niej majowymi wieczorami i była im bóstwem opiekuńczem.

Chłop stary jechał z wyrostkiem drogą od wsi, przed Heterą zdjął czapkę i pobożnie się przeżegnał i wlekli się dalej po rozmokłej glinie.

— Ociec! A to ta goła figura leży, patrzta no! nie przejedziem...

— Głupiś! pry! prrry...

Zlazł w błoto i z biczyskiem w garści obszedł boginię, potem z wozu siekierę wziął, plunął w garść i zaczął obuchem odbijać jej głowę...

Odbił, kopnął zabłoconym trepem, stoczyła się do rowu...

— Pudzi no Maciek, włożymy kamień na wóz, a to się przyda na próg do chałupy, abo i na osełki.

Powieźli.

Nogi, okręcone pętami chmielu, pozostały w błocie, a poraniona głowa patrzyła z rowu, z pod cienkiej warstwy wody, patrzyła w dal niezgłębioną, patrzyła wskroś wszystkiego, zimno i nieubłaganie.

LEGENDA WIGILIJNA

...Szedł Pan Jezus ze św. Piotrem i Judaszem, gdzieś od Ujazda ku Piotrkowu.

Dawno to było, bardzo, bo gdzie teraz sucho — wody były, a gdzie teraz pola — lasy były i takie pustki, że co mila to wieś, a co druga — dwór pański stał.

Pan Jezus całkiem przemarzł, jako że obleczenie miał mizerne i mróz był siarczysty, bo to było w wigilię Bożego Narodzenia.

Jeść im się chciało, a tu ani chałupy, ani karczmy, ani człowieka nigdzie, tylko bory a pustki. Posiadywali sobie z utrudzenia co staje, ale zaraz szli, bo wilcy i drugi zwierz dziki chodził stadami za nimi i wył, aże skóra cierpła.

Św. Pietrz wyłamał sobie niezgorszy kijaszek, a Judasz wziął kamień w garść, ale Pan Jezus im na to rzekł:

— Nie bójta się ludzie, Ja jestem z wami...

Św. Pietrz i Judasz się nie bali, ale zawżdy co zwierzak zły, to zły, a z kijaszkiem, albo z kamieniem w garści, przezpieczniej i śmielej człowiekowi iść.

Pod wieczór doszli do jakiegoś dworu i myśleli, że się tam ogrzeją i pożywią, ale dwór miały Niemcy, które ich wygnały za wrota na bory, na lasy.

Św. Pietrza taka złość ścisnęła, że chciał kijaszkiem choćby ino raz Niemca lunąć przez łeb, a Judasz gadał:

— Takim zły, Panie, takim zły, że choćby tę kokoszkę, co siedzi na płocie, wziąć — to wezmę.

Pan Jezus im na to:

— Scierzpcie... Ludzie są ciemne i dlatego głupie i złe. Tylko małpa małpie plecy szarpie, a człowiek za człowiekiem powinien stawać i pomagać, jeszcze tak będzie na świecie.

Ruszył przodem i coś gadał po cichu do siebie, a oni za nim szli... szli... a mróz był coraz większy i jeść im się chciało coraz bardziej. Szli... szli... aż i napotkali karczmę.

— Wejdziem — rzekł Pan Jezus — poczciwe ludzie dyć są na świecie.

— Panie! — odpowie św. Pietrz — ale ja już nie mam ani grosika.

Pan Jezus obszukał koło siebie i nic nie znalazł. Zafrasowało się serce Pańskie, ale mówi:

— Nie mam i ja. Może ty, Judaszu, co masz, to pożycz.

— Mam złoty! — a miał dwa, ino, że mu było żal pożyczyć.

— Daj! kiedy więcej nie masz i ten złoty.

Pan Jezus przecież wiedział, że on cygani.

Judasz samą koprowiną wysupłał 28 groszy, daje i powiada:

— Podziały mi się gdziesik dwa grosze... — bo sobie myślał, że choćby dwa grosze mniej straci.

Pan Jezus pieniądze wziął i zaraz do karczmy weszli.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki! Witajcie ludzie, a skąd to Pan Bóg prowadzi?

— Ze świata, moja pani karczmarko, ze świata. Zziębliśmy, głodniśmy, może nas pani czem pokrzepi, bo ledwo dech się w nas tłucze z utrudzenia.

— Chleba nam pani dajcie — rzecze św. Piotr.

— Niema.

— No to choćby samego syra, abo kiełbasy...

— Niema moi ludzie...

— Może pani mają choćby z miseczkę kapusty abo i kartofli?

— Niema nic, bo przed wami jakieś ludzie byli i zjedli wszystko do ździebka.

— A gorzałkę macie?

— Gorzałka to jest, ale tylko prosta śmierdziucha, bo sprytu i słodkiej zabrakło.

— Może się napijecie? — pyta Pan Jezus.

Judasz jeno splunął, a św. Pietrz rzeknie:

— I... półkwaterek jaki by nie zawadził, bo

aże mi we wątpiach piszczy i na duszy już mi całkiem ckno.

— Śledzie może są? — powiada Judasz, bo żółtek łasy był na rybki!

— Niema śledziów.

— Cóż ja wam biednym poradzę! — narzeka Pan Jezus.

— Żebyście zapłacili, to znalazłaby się gąska może...

— Zapłacimy rzetelnie — powiada Pan Jezus. — Moiściewy, a to dajcie tę gąskę, zobaczymy i stargujemy.

Karczmarka przyniosła z komory gęś.

Najpierwszy obejrzał Judasz, jako że on przedtem był handlarzem i człowiek był znający — ale tylko gąskę zważył w ręku, dmuchnął jej w piórka pod brzuch i powiada:

— Chuda!... całkiem chuda, niby wiór. Mnie jednemuby starczyła, ale na trzech, na jeden ząb.

Św. Pietrz ino się drapał po głowie, bo jemu samemuby nie starczyło.

— Upieczcie ją pani — kazał Pan Jezus, a potem mówi do nich:

— Prawda, Pietrze, że na nas trzech zamało?

— Zamało Panie, żeby tak do niej z grzeczną miseczkę, albo i dwie kapusty, z bochenek chleba, toby na okrasę było dość, ale tak...

Pan Jezus pomyślał i rzekł:

— Zrobimy tak: teraz pójdziemy spać, to się

głód trochę oszuka, a przez ten czas gąska się upiecze, a jak wstaniemy, to ją zje ten, któremu się będzie śniło najlepiej.

Pokładli się zaraz na przypiecku i posnęli.

W jaką godzinę, czy dwie Pan Jezus przecknął.

— Wstawajcie!... a co ci się śniło, Pietrze?

— Śniło mi się, Panie, jakobym był twoim włodarzem, że i klucze miałem od gumien i łaskę, i chałupę swoją miałem, i żem ci, Panie, służył wiernie.

— Dobrze, dobrze, będziesz parobku kochany, włodarzem moim — rzeknie Pan Jezus i ścisnął świętemi rączkami Pietrzową głowę. — A mnie się śniło, że byłem już w niebie, bo na świecie nie było już ani złych, ani ciemnych, ani biedaków; bo już wszystkie chłopy miały grunty, i wszystkim ludziom było docna dobrze.

— Twoja gęś, Panie, bo ci się śniło lepiej — odpowie św. Pietrz, i chociaż go mroczyło z głodu, markotności nie miał w sobie.

— A tobie, Judaszu, co się śniło? — zacznie Pan Jezus słodziutko, pozierając na żółtka, co się zwlókł dopiero z przypiecka, a oczy tarł, a poziewał.

— Mnie się, Panie, śniło... że wstałem we śpiku i gąskę zjadłem... — odpowie cicho i ślepiami wierci podłogę.

— Jużci... niezgorzej ci się śniło, niezgorzej... Gospodyni, a dajcie nam tę gąskę.

Karczmarka przyszła i powiada, że ten żółtek gąskę zjadł, że nawet kosteczków dla psa nie zostało.

Pan Jezus spojrzał miękko na Judasza i powiada:

— Śniło ci się, żeś zjadł gąskę — Judaszu? całkiem dobrze ci się śniło...

— Śniło mi się, Panie — odrzeknie cicho — a nie patrzy, tylko skubie tę swoją żółtą brodę.

— Śniło ci się... to już sobie tu zostań, Judaszu... Śniło ci się, to niechże ci się przyśni jeszcze, żeś zjadł gąskę i z kapustą i w kompanii, a my pójdziem Pietrze, poszukamy takich, co nam jeść dadzą i nie ocyganią.

I poszli we dwóch.

I dlatego to teraz naród polski wigilie bardzo obserwuje, a żydy i jensze heretyki — nie.

W GŁĘBIACH

Theodotas, Syryjczyk, niewolnik-lutnista możnego domu Klaudyuszów, szedł chyłkiem, a za nim ciągnął szereg ruchomych cieni, które bez szelestu prawie przesuwały się ostrożnie wzdłuż cezarowych ogrodów, po wzgórzach usianych białemi willami bogaczów rzymskich.

Noc była błogosławiona: wiosenna, księżycowa i cicha.

Z ogrodów bił zapach kwitnących migdałów, a czasem krzyk pawi ostrym dźwiękiem rozdarł ciszę, lub ryk dzikich zwierząt, zamkniętych w klatkach, grzmiał głucho, groźnie i długo.

— Cicho! — syknął Theodatos, wychylając się na środek skalistej ścieżki; szereg cieni sunących za nim rozlał się w mroku muru, otaczającego ogrody, w pędach bluszczów i róż, zwisających festonami i za trzonami posągów białych.

Z daleka, od Tybru, w głębi szarości oddaleń, zamigotały światełka i zniknęły, a natomiast jakieś nieuchwytne prawie drgania powietrza zwiastowały zbliżanie się ludzi.

Theodatos przyłożył ucho do ziemi.

— Idą... to bracia... to chrześcijanie... — poprawił się śpiesznie, szepcząc do dowódcy zbrojnego oddziału, który stał w cieniu.

— Czy uderzym? — zapytał tamten.

— Nie. Pójdziecie za mną, weźmiemy wszystkich w katakumbach! Cicho! zaklinam, cicho! Zaraz tu będą. Cokolwiek usłyszycie, milczcie... nie zdradźcie się... — szeptał gorączkowo.

— A jeśli nas wprowadzisz w zasadzkę... to... — odsłonił płaszcz i błysnął nagim, krótkim mieczem.

Theodatos nie odrzekł nic, usiadł w kuczki pod białym posągiem i czekał spokojnie na ludzi, idących z dołu, od Tybru, których kroki usłyszał przed chwilą.

Ukazali się wkrótce w księżycowem świetle, szli wolno pod górę, było ich trzech: trzech starców, w płaszczach pasterskich z koźlej skóry, bosych i nędznych, podobnych z bród zaniedbanych, z twarzy wychudzonych i z głów łysych do greckich cyników, wykładających swoją filozofię po szynkach gladyatorów i na Zatybrzu.

— Baranek Boży! — szepnął Theodatos, przyklękając przed nimi; słowo to było przywitaniem i znakiem, po którym poznawali się wierni.

Starzec, idący w środku, najwyższy, wyciągnął nad nim rękę i rzekł cicho:

Błogosławieni czuwający, albowiem ich jest królestwo Baranka.

— Czy wszyscy przeszli? — zapytał klęczącego jeden ze starców.

— Wszyscy. Ja czuwam z bracią niektórą. Idźcie w pokoju.

Starcy przeszli i zniknęli w cieniu czarnych cyprysów, rosnących przy drodze, a Theodatos zerwał się na nogi i długo patrzył za nimi, strwożony i przeniknięty ciemną, niewytłómaczoną obawą.

Uderzył miedzianą głownią krótkiego miecza w głaz i potem z cieniów, załomów muru, z gąszczów przydrożnych, wypełzło mnóstwo postaci i zbliżało się tak cicho, że żaden miecz nie zadźwięczał.

— Są już wszyscy. Najwyższy ich kapłan teraz przeszedł. Za godzinę musimy być tam! — powiedział Theodatos, wskazując odległe wzgórza, których błękitnawe czuby wychylały się w blasku księżyca z za wodociągów. Ruszono w milczeniu z największą ostrożnością, bo szło o to, aby nikt nie spostrzegł wyprawy i nie uprzedził zwierzyny, na jaką rozstawili sieci.

Szli czas jakiś w cieniu akweduktu, który niby potworną stonogą, wspartą na tysiącach potężnych nóg, ciągnął się po równinie. Cisza była taka, że słychać było bełkot wody we wnętrzu wodociągu i szmery kaktusów, gęsto tutaj rosnących. Minęli ostrożnie jakąś świątynię, pod której kolumnadą błyskały światełka i wolno skręcili na wzgórze

gdzie środkiem biegła ta odwieczna Regina Viarum, via Apia.

Cichość taka ogromna leżała w powietrzu, że słychać było słodkie pluski fontan niewidzialnych. Czasem, przytłumione odległością, dźwięki fletów i piszczałek zadrgały w powietrzu i rozpłynęły się w ciszy deszczem szmerów, a potem, z pól jęczmienia i bobu, obsypanego śniegiem kwiatów, sykały koniki i nawoływały się przepiórki.

Szli pod wzgórze, winnicami, pod zielonymi dachami wina rozpiętego, przez które księżyc kładł cudowne, srebrne arabeski na ziemię. Przewijali się cicho, jak duchy, nikt słowa nie przemówił, nikt bronią nie szczęknął, nikt głośniej nie westchnął, a gdy wyszli na nagi grzbiet wzgórza, pełnego głazów, dołów i rumowisk, ostrożność zdwoili jeszcze i przesuwali się chyłkiem, jak szereg widm, bo wszyscy mieli kaptury na głowach i zbroje osłonięte płaszczami, ślizgali się brzegiem wielkich jam, dawnych kopalń kamienia, pozapadanych, znikali w załomach, czołgali się na rękach przez niebezpieczne, bo mocno oświetlone przejścia, a czasami pochyleni, na palcach, przesuwali się pod murami will, obok tratoryi podmiejskich, pełnych ludzi i gwaru, lub ostrzeżeni przeciągłym krzykiem pawia, jaki wydawał Theodatos, wstrzymywali się i zapadali, rozlewali się w nocy bez śladu. Theodatos, w blizkości wejścia do starych łomów, gdzie zbierali się chrześcijanie, coraz częściej wstrzymywał

swój oddział, bo spotykał w wiadomych tylko sobie miejscach rozstawione placówki wiernych, którzy wobec srożącego się prześladowania i męczeństw, jakie na nich spadały, bronili się czujnością. Odprawiał wszystkich jakoby z polecenia najwyższego kapłana, bo znany był w kołach wiernych, jako jeden z najżarliwszych przyjaciół Baranka, i jako ten, który już przeszedł przez mamertyńskie więzienie i tortury.

Theodatos przypominał je sobie w tej chwili, jeszcze miał niezagojone od pochodni rany na bokach, które go tak piekły, że ciemna twarz Syryjczyka czyniła się szara z bólu i ze wzruszenia, jakie nim owładnęło.

Prowadził oddział wolno, coraz wolniej, czasem przystawał i rozognionym wzrokiem wodził dokoła, jakby szukając miejsca do ucieczki, ale wtedy w cieniach spostrzegał groźną twarz dowódcy i posępne błyski źrenic żołnierzy, którzy go pilnowali.

Weszli wkońcu na via Apia i tam pod ogrodem jakiegoś domu, patrzącego na Rzym, położony niżej, oświetlonemi oknami, Theodatos przysiadł, a dowódca oddziału zagwizdał w piszczałkę i ruszył naprzód, środkiem drogi, nie kryjąc się, a za nimi, z ogrodów, z winnic, z nizkich domów, z pod portyków małych świątyń wynurzała się coraz większa ciżba żołnierstwa, ale już w szeregu wojennym. Szli cicho, ale pomimo to stąpania kilkuset ludzi po twardych taflach bazaltu, jakim była

wyłożona via Apia, rozlegały się głośnem echem i budziły, bo z portyków domów zaczęły wychylać się czarne twarze niewolników, niejedna zasuwa otwierała się z okna i wyglądała z niego zdumiona twarz kwiryty, ale wtedy dziesiętnicy, idący po bokach głębokich szeregów, błyskali mieczami, a drzwi i zasuwy zamykały się bez szelestu, a twarze bladły w trwodze.

W cieniu wielkich drzew, gdzie stał posąg i szemrała fontanna, przystanęli na chwilę, zaszemrały rozkazy i cały oddział, rozbity na długie wstęgi, rozszedł się i okrążył szczyt wzgórza, na którem, wpośród strzępiastych sosen, stał nizki na pół rozwalony dom; tutaj było wejście do podziemi, znane tylko zdrajcy.

Theodatos posunął się szybko do domku, ale w pół drogi przystanął i spojrzał na Rzym, który z tej wysokości był widoczny, jak wielki rozlew kamiennych czworokątów płaskich. Księżyc wznosił się wysoko, góry tonęły w białej mgle, z której błyskały złocone dachy pałaców: na lewo, daleko, nad Tybrem, za cezarowymi ogrodami, rozciągało się morze mgły, a bliżej chaos domów i świątyń, zlanych w jedną białawą masę i powleczonych niebieskawą posnową księżycowego światła.

Patrzył na miasto rozszerzonemi źrenicami i dusza mu się skurczyła dziką prawie radością, bo sobie przypomniał obietnice Cazara, który za wy-

danie wejść do katakumb i za wydanie chrześcijan — dawał mu wolność, bogactwa i obywatelstwo rzymskie.

Szybko przystąpił do domku i zastukał umówionym sposobem.

— Baranek — powiedział głośno w otwór, jaki był w drzwiach.

— Wejdź w pokoju! — odpowiedział mu głos z wewnątrz.

— Zaczęła się już ofiara?

— Pewnie, bo przed chwilą wszedł Anicyusz, będzie dzisiaj czytał braciom list Pawła — odpowiadał człowiek spokojnie, wręczając mu zapalony skręt sznurów, oblepionych żywicą.

Theodatos wyciągnął rękę po światło, ale równocześnie pchnął szerokim mieczem w gardło starca, który rozkrzyżował tylko ręce i padł na wznak, rzężał chwilę, kopał nogami, darł paznogciami glinę podłogi i skonał. Trwało to wszystko chwil parę, poczem Syryjczyk wyszedł przed dom, gdzie czekał dowódca.

— Zejdę na dół, zobaczę, czy już są wszyscy, i zaraz dam znać.

— Pójdę z tobą — odpowiedział Rzymianin.

— Jak chcesz, panie.

Weszli na mały dziedzińczyk ukryty za domem, pomiędzy złomami kamienia, zarosły dzikim laurem i bluszczem, który się czepiał domów. Pod jednym z takich złomów było wejście do kata-

kumb, ale tak ukryte, tak przysłonione bluszczem i zielenią i zatarasowane odłamami kamieni, że, nie wiedząc o niem, niepodobieństwem było je odnaleźć.

Theodatos odwalił kamienie i zaczął pierwszy schodzić po wydeptanych schodach, kutych w stwardniałym tufie; Rzymianin szedł za nim z obnażonym mieczem w pogotowiu.

Ogarnęła ich głęboka noc i cichość grobu. Stęchłe a suche powietrze buchnęło z czeluści, z nieskończonych czarnych gardzieli kurytarzów; z nieznanych głębin, w które się zapuścili, strach powiał na nich skrzydłami milczenia, ale Theodatos szedł śmiało naprzód dobrze znanymi kurytarzami, którymi tyle razy chodził słuchać opowiadań o dobrym Bogu, o Baranku, o wieczności.

Na tle tej nocy strasznej tliły się gdzieniegdzie, po niszach głębokich, lampki oliwne i niby motyle trzepotały złotemi skrzydłami, wskazując drogę wiernym.

— Daleko jeszcze? — zapytał Rzymianin cicho i lękliwie, bo jego nieustraszone serce zaczął przenikać strach zabobonny.

— Daleko! — odpowiedział Theodatos, wsłuchując się w głuche echo własnego głosu, które długo brzmiało.

A potem na każdym rozstaju kurytarzy, jakby umacniając własną duszę, powtarzał sobie cicho:

— Wolność! Wolność!

I ciężkie brwi syryjskie opadały mu na źrenice, z których strzelały błyskawice radości tak silnej, tak nagłej, tak oślepiającej, że przystawał na chwilę, aby zebrać siły, ale zaraz iść musiał, bo Rzymianin uderzał go lekko mieczem po ramieniu i zimno szeptał:

— Prowadź!

Więc szedł, a gdy weszli na jakiś placyk wewnętrzny, z którego rozchodził się cały labirynt czarnych korytarzy, obejrzał się za siebie. Rzymianin był siny ze strachu i przerażonym wzrokiem wodził po ścianach, w których niby w szufladach, ozdobionych napisami i godłami, leżały setki umarłych i umęczonych chrześcijan. Stanęli nieruchomo, bo z dali nieznanej, z tych głębin, otwierających setki czarnych paszczy, w tej ciszy śmiertelnej, rozbrzmiał słabo odgłos śpiewów i dźwięczał tak strasznie i grobowo, że pobledli śmiertelnie; śpiew ciągnął się długo i brzmiał, jak ponura a senna lamentacya umarłych, niby hymn grobów.

Śpiew umilkł, a oni jeszcze słuchali, pełni przerażenia, tej nieopowiedzianej ciszy, jaka zapanowała, przerywanej tylko trzaskiem i syczeniem żywicznych sznurów płonących i szalonym rytmem serc i krwi szumiącej w skroniach.

— Prowadź! — syknął Rzymianin, rzucając się naprzód, bo wolał raczej śmierć, niż to uczucie strachu, jakie nim owładało coraz potężniej.

Poszli pośpiesznie. Theodatos zapewniał, iż niedaleko, i było niedaleko, ale i z nim dziać się zaczynało coś strasznego, zatrzymywał się co chwila, przecierał oczy, utwierdzał się, że ma miecz przy boku, dotykał się ścian korytarzy, powtarzał sobie co chwila: wolność! wolność! — ale pomimo to miał duszę pełną coraz potężniejszego przerażenia, a w jednej z kaplic, jakich było mnóstwo w katakumbach, długo się przyglądał niedołężnemu malowidłu Chrystusa z barankiem na ramionach i potem pobiegł prawie do świateł, jakie ukazały się w głębi i do głosów ludzkich, jakie wyraźnie słychać było.

Rzymianin pozostał w cieniu, a on przysunął się do otworu, z którego buchało światło i zajrzał do wnętrza kaplicy.

Starzec, który go błogosławił na drodze, siedział w pośrodku w białej, egipskiej szacie kapłanów i równym, a mocnym głosem czytał:

— »Błogosławcie prześladujących was; błogosławcie, a nie przeklinajcie«.

»Nie mścijcie się sami, albowiem: Mnie pomsta; ja oddam — mówi Pan«.

»Nie daj się zwyciężyć złemu«.

Ale Theodatos nie słyszał nic i nic nie widział; oczy jego pociągnął Chrystus, stojący na ołtarzu, niezgrabny, barbarzyński posąg polichromowany, który wyciągał ręce na kaplicę, nad głowy wiernych; żółte światło pochodni i lampek wiszących

na ścianach, oświetlało jego twarz chudą, dziwnie słodką i te ręce długie, błogosławiące i przygarniające do siebie z miłością cały ten tłum zasłuchanych w słowa starca.

Pochodnie dymiły krwawemi smugami ku górze, do otworu, którym wpływało powietrze, światła i mroki pełzały po nagich, ziemistych ścianach, po niszach, po głowach siwych starców, kobiet i dzieci, słowa święte rozchodziły się jak szmer wchłaniany przez wszystkie dusze, czasem westchnienie zrywało się, czasem płacz mocny zatrząsł piersiami, czasem krótki wstrząsający krzyk zadźwięczał, gdy starzec wspominał poległych za wiarę i znowu rozlewała się cisza, tylko oczy braci biegły do twarzy słodkiej Baranka, tylko głowy pełne stygmatów przyszłych męczeństw korzyły się przed nim i pochylały, jak kłosy przed żeńcem pańskim.

Theodatos się cofnął, bo poczuł na ramieniu miecz Rzymianina, odeszli w milczeniu kilka kroków.

— Prędzej, panie, prędzej. Są wszyscy, są wszyscy, wszystkich rzucę pod cezarowe nogi, wszystkich ci, panie, oddaję i kapłanów i braci i neofitów, wszystkich! Widziałeś panie, tam był szlachetny Rufus, trybun! — bełkotał prędko, gorączkowo, prawie nieprzytomnie, ale Rzymianin nie odrzekł nic, podniósł tylko swój skręt świecący do góry, oświetlił nim twarz Syryjczyka i plunął w nią całą wzgardą.

Theodatos zaczął biedz śpiesznie, ale gdy doszli

do pierwszej rotundy, skąd pełzły we wszystkie strony szyje kurytarzów, wzdrygnął się i rzucił w tył.

Chrystus stał z wyciągniętemi rękami i patrzył na niego.

Syryjczyk rzucił się w drugi kurytarz, bo znał wszystkie wyjścia i zaczął przecierać sobie oczy.

Chrystus stał z wyciągniętemi rękami i patrzył na niego słodkim, jasnym wzrokiem.

Syryjczyk stanął, fala strachu zalała mu serce i zatrzęsła nim tak mocno, że przyparł się do ściany i stał długo z zamkniętemi oczami, nie śmiejąc się poruszyć, nie śmiejąc odetchnąć... aż ochłonąwszy, obejrzał się trwożnie i, jakby gnany przez furye, rzucił się w pierwszy lepszy korytarz, ale i tam —

Chrystus stał z wyciągniętemi rękami, jaśniejący, olbrzymi i patrzył na niego...

Theodatos zawył rykiem szaleństwa, rzucił pochodnię, zwinął się w kłębek ze strachu i oślepły, nieprzytomny, powrócił do rotundy, rzucał się w przejścia, cofał, pełzał, padał na ziemię, ranił o ściany, wył z bezsilności i strachu, bo wszędzie Chrystus zagradzał mu drogę, wszędzie spotykał tę jaśniejącą, promienną, otoczoną nimbem postać, wszędzie widział wyciągające się do siebie ręce, wszędzie widział Jego twarz jasną; wszędzie patrzyły na niego jasne, przenikliwe, straszne oczy; wszędzie... wszędzie...

Obłąkany, przysłonił sobie głowę płaszczem, zapomniał o Rzymianinie, który pozostał sam w tych

strasznych głębiach i krzyczał nieludzkim głosem o zmiłowanie, uciekał głuchemi pustyniami podziemi, straciwszy świadomość, gdzie biegnie, co się z nim dzieje, gnany tylko szaleństwem, rozpaczą i echami krzyków, jakie za nim biegły, niby szumy śmierci, lecącej za nim. Chciał wrócić do kaplicy, chciał żebrać zmiłowania, iść nawet na mękę, ale chociaż słyszał śpiewy braci, chociaż widział już światła, chociaż czuł, że muszą być niedaleko, trafić nie mógł, wyjść nie mógł, pozostać nie mógł...

Więc w ostatniej męce, w najwyższem napięciu strachu i rozpaczy, wyciągnął miecz i rzucił się z nim na to jaśniejące widmo z wyciągniętemi rękami, które mu wszędzie drogę zagradzało; miecz przeszył powietrze, a Syryjczyk ostatniemi włóknami czucia i świadomości zrozumiał, że go obejmuje dwoje wyciągniętych rąk i że jakiś cichy głos, głos grobu i wieczności rozległ się w nim:

— Za swoją wolność chcesz sprzedać wolność wszystkich, Theodatosie?...

* * *

Cezar napróżno tej nocy i następnych oczekiwał powrotu dowódcy więźniów i Theodatosa.

DWIE WIOSNY

WŁOSKA.

Długo — tygodnie całe nie wychodziłem z pokoju, więc tylko przez okna patrzyłem na świat: na szare, brzemienne wiosną niebo, to na morze gniewnie rozkołysane, to na czuby figowców o bladozłotych płomykach listków, gdy je wiatr przyginał do okien; to znowu przez zgaszone szkliwo deszczów złociły mi się gaje cytryn i pomarańcz, i szarzały srebrem oliwki, a poza niemi, w głębi dalekiej, majaczyły porwane kontury gór. A nocami, temi nieskończonemi nocami marcowemi krzyczało morze i kłami fal szarpało skały, aż dom trząsł się w posadach i całe stada wichrów przewalały się przez moją terasę i z jękiem i wyciem spadały do morza. — A rankami jęczały żałośnie żerujące mewy i wyły parowce w małej zatoce Sorrentyńskiej.

Wiosna nadchodziła.

Czekałem cierpliwie sił i rozmarzałem się cudami, jakie czekały na mnie tam — za ścianami hotelu, w polach i gajach Sorrenta.

...czasami rzucono mi okwieconą gałęź brzoskwini;

...to bukiet liliowych dzikich lewkonii, których namiętny zapach przynosił mi wiatr od skał wybrzeżnych;

...albo wyblakłą, zimną purpurę dogasających kamelii;

...lub długie pędy migdałów o krwawych kwiatach, jakby skąpanych w zorzach zachodu;

...a czasami pęk złotych kul pomarańczowych;

I wtedy izba moja, smutna i zimna, rozświetlała się barwami i kwiaty śpiewały mi o wiośnie, o blizkiej, utęsknionej wiośnie.

A tak strasznie łaknąłem tej wiosny — tej włoskiej wiosny, tej wiosny, śpiewanej przez poetów, o której marzyłem przez wszystkie lata życia mojego, że śniłem o niej, jak o cudzie cudów, że była mi już samą tęsknotą — ta primavera italska.

Aż pewnego dnia nie wytrzymałem, zerwałem się i poszedłem jej szukać.

Poranek był jasny, ale rozprażony i duszący — sirocco wiał dnia tego.

Zatoka neapolitańska była zmącona, podobna do olbrzymiej balii, pełnej mydlin opalizujących.

Wezuwiusz nie dymił, a kopcił niemiłosiernie i rozpościerał brudne łachmany dymów nad Pompeą.

A cały brzeg zatoki pełen miast i domów, wy-

glądał, jak stara, rozpadająca się cembrowina gipsowa.

Neapol różowił się przez szkliste bielma oparów, a Capri, Procida, Ischia — wychylały na horyzoncie z głębin morza i mgieł bezkształtne cielska, podobne do mitycznych Lewiatanów.

Brzeg sorrentyński od Mety aż do Capo di Monte szarzał urwistą, pogiętą i poszarpaną ścianą skalną, na której zielenił się pas ogrodów pomarańczowych i bielały grupy domów.

Na wązkich terasach, przyczepionych do prostopadłej skały wybrzeża, w załamkach skał, w szczelinach — zieleniły się nędzne trawy, czasem dzikie lewkonie fioletowymi kwiatami plamiły szarawe tła, to znowu jakieś marne, poskręcane, połamane karłowate figowce lub oliwki ssały nędzny żywot z rumowisk lub mała plantacya pomarańcz, zasłonięta od wichrów matami, przypierała rozpaczliwie do skał...

Nie, tutaj wiosny nie było.

Poszedłem od morza w górę.

Drogi głębokie, otwarte z wierzchu kanały, obmurowane do wysokości pierwszego piętra murami o dtrzymującymi ogrody — zionęły chłodem piwnicznym, pokryte były pleśnią, woda sączyła się po murach okrytych mchami i zielenią; wązki pas nieba nad głową przysłaniały fantastyczną siatkp gałęzie drzew, ciężkie kule pomarańcz wisiały bezładnie, to rozkwitłe migdały, jak obłok czerwony,

wznosiły się nad drogą, a miejscami czereśnia białymi kielichami zaglądała lub stuoki bób patrzył z nad muru.

Szedłem aż na wyżynę Conti delli Fontanelle, bo dusiłem się tutaj.

Cisza była martwa, słońce bladą i ciepłą grzywę podnosiło coraz wyżej i miękczyło ostre kontury cieniów, drzewa stały bez ruchu, jakby omdlałe, jakby w katalepsyi zwieszały się liście.

Droga szła coraz wyżej, była coraz szerszą i suchszą, wiła się już krętym pasem kurzawy aż do szczytu samego — skąd roztaczała się ogromna panorama na Sorrento i całą zatokę Neapolitańską — ogromny amfiteatr, nieskończonemi terasami schodzący do morza — olbrzymi ogród, pełen młodej zieleni winnic, co jak pajęczyna rozpinały się wzdłuż dróg, po zboczach gór, po drzewach, po terasach, po balustradach białych domów — wszędzie omotały swą przędzę szaro-zieloną, od szczytów gór zamykających z trzech stron amfiteatr i spływały do morza, i tam, ta zieleń blada przechodziła w błękitno-modrawą stal, a potem paliła się już ku środkowi zatoki jak wypolerowane srebro.

A z drugiej strony od zatoki Salerneńskiej góry obrywają się prawie nagle, i podruzgotane, porwane, postrzępione i zwalone w chaotyczne rumowiska, spadają wprost w morze, które, jak nieobjęty okiem basen z lapis lazuli, popręgowany złotemi pasmami — paliło się w słońcu...

Kilka mew białobrzusznych przecinało błękity, kilka łodzi rybackich białymi żaglami plamiło szafirową toń — a poza tem pustka przeogromna, topiel wody i słońca, bezbrzeżność i milczenie.

Ale i tutaj nie było wiosny.

Była wątła zieleń, kwiaty bez zapachu, przestrzenie bez głosów, odradzanie się przyrody bez radości — a nigdzie krzyku tryumfującego wiosny, nigdzie zgiełku potężniejącego życia, prężenia soków, pożądania się, nienawiści, miłości, zmartwychwstawania i tych nieprzeliczonych głosów naszej wiosny — naszej ziemi.

Te wązkie pasy ziemi, narzucone na skalne podłoże, nie buchały żarem, kwiatami, zielenią, życiem — a jakby wyczerpane walką ze słońcem i z kamieniem, leżały ciche i pławiły się melancholijnie w tem ciepłem kaloryferowem prawie powietrzu.

Kaloryferowa, cieplarniana wiosna.

A dookoła roztocze nieskończone monotonnego błękitu i wody nieruchomej, zmartwiałej, a w pośrodku, cały ten kraj garbaty górami, kraj rumowisk bezładnych, brzydkich i dzikich, poplamiony kępami nędznych zieleni, wpośród której słaniają się strasznie brzydkie domy i miasteczka.

I na drogach smutnych, kamienistych, leży wieczna martwa cisza, czasem z pośród tych gór trupich, z pośród tych bezmyślnych zsypowisk zdechniętych głazów, z bladych aloesów i dzikich

kaktusów, wychylały się brodate głowy kóz — a częściej jeszcze gromady dzieci, żebrzących o soldy.

Niebo bez chmur, morze bez ruchu, ziemia bez krzyków — martwa cisza rumowiska, wśród którego pleni się z trudem, z boleścią, w męce, ciężkie, głodne życie.

I napróżno dzień cały szukałem tej wiosny wymarzonej, tej cudnej primavery italskiej — niema jej w Italii, ona jest tylko u poetów, ale tem piękniejsza i rzeczywistsza.

Kiedym powracał, mroki już przysłaniały cały amfiteatr Sorrentyński — świeciły tylko najwyższe szczyty gór i wody w zatoce.

A cisza tego wiosennego wieczoru była jeszcze cięższa, bardziej smutna i martwa, niźli we dnie.

W jakiejś zagrodzie, schowanej w cytrynowym gaju, osły zaczęły ryczeć przeraźliwie, odpowiadały im i inne zdala i z blizka, że uczynił się ohydny koncert wieczoru.

POLSKA.

Uciekałem z Włoch, gnany niepokonaną tęsknotą za krajem.

Jechałem dnie i noce, aż pewnego wczesnego dnia czerwcowego, przed wschodem słońca, o świcie, pociąg wyrzucił mnie na małej, pustej stacyjce w okolicach Piotrkowa — i odleciał z hukiem.

Byłem jakby wyrzucony z chaosu na samo dno ciszy.

Przejście było tak gwałtowne, że długą chwilę nie wiedziałem, co się ze mną stało, byłem jeszcze przeniknięty krzykiem pociągów, hałasem i ruchem tylodniowej jazdy szalonej; oglądałem się bezradnie, a przez mózg przewalały się słoneczne krajobrazy, góry, morza, rozwrzeszczane miasta, tysiące twarzy, tysiące przedmiotów, tysiące głosów — majaczyło się we mnie...

Szaro było i tak pusto, i tak cicho, że oprzytomniałem.

Poszedłem w ten przedświtowy mrok, w pola, na przełaj.

Mgły, jakby runami wełny pokrywały łąki, zboża jeszcze czarne stały cicho pochylone, w rosach całe, senne; szaro-zielonawa kurzawa świtu przysłaniała śpiącą ziemię; pierwsze zorze rozsączyły się na wschodzie i mżyły opalowymi pyłami.

Wszystko spało jeszcze.

Usiadłam na piaszczystej, wilgotnej wydmie pod lasem, nie mogłem iść, bałem się mącić tej świętej ciszy zórz pierwszych, nie śmiałem budzić majestatu snu wiosennego...

Ogromny las stał za mną w niezgłębionej ciszy, słychać było tylko monotonne kapanie rosy i coś, jak oddech tych pni olbrzymich, zbitych w gęstwę, stłoczonych, jakby się wspierających w tem słodkiem odpocznieniu.

A przedemną nieobjęta równia szaro-zielonawa; chaos nieuchwytnych jeszcze zarysów drzew, wsi, pól i lasów — przez który snuły się jak wizya senna, ledwo odczute zarysy rzeki — niby pas mgieł szklistych.

Ale świt już nadchodził.

Niebo zaczęło się oddzielać na wschodzie od ziemi wązkim pasem opali, przechodziło w róż i żarzyło się coraz bardziej, rozlewało, stawało się płynną purpurą, a potem olbrzymimi płomieniami rozlało się na horyzoncie.

I na ziemi uczyniło się jaśniej, z głębin szarych zaczynały wyrzynać się zarysy jakichś kościołów wież, drzew, to aleja jakaś zarysowała się potężnym

konturem, to wsie odrywały się czarnemi plamami z głębin, to strumień wybłysnął nagle z szarości lub szyba stawów zamigotała — cienie ustępowały jakby opony ściągane z ziemi zorzanymi palcami świtu, że coraz nowe wsie, domy, drzewa, drogi, pola, wychylały się z próżni, stawały się, zaludniały ziemię — a horyzont wciąż się rozjaśniał, rósł, rozszerzał, rozpurpurzał i cofał, aż zginął w blaskach dnia, bo z pod zórz wychyliła się rozpalona obręcz i po chwili, krwawe, bezrzęse oko słońca zawisło w przestrzeniach.

Budziła się ziemia.

Las drgnął, zaszemrał i pochylił korony ku słońcu, a z łąk i oparzelisk zaczęły bić mgły w górę, jak dymy z trybularzy. Stawy podnosiły powieki mgieł i sennem jeszcze, zorzanem spojrzeniem patrzyły w niebo; zboża zachrzęściły źdźbłami, poruszyły się sennie, że rosa jak grad różowemi perłami posypała się na ziemię. Strumienie zabulgotały i płynęły szybciej, radośniej.

Nad mokradłami czajki już chibotały białymi podbrzuszami, kołowały i kwiliły, bocian zaklekotał nad stodołą jakąś i ciężkim lotem płynął na żer, jaskółki świegotały pod strzechami, dzikie kaczki krzyczały na oparzeliskach, a od wsi jakiejś jeszcze nie widzialnej, płynęło po rosach rżenie koni.

Słońce szło w górę, dzień się zrobił zupełny, bo skowronki ze wszystkich pól zrywały się ku niebu i drżał w powietrzu ich hymn porankowy,

a potem głos sygnaturki leciał po rosach, dzwonił, budził, radował.

Szedłem zahypnotyzowany czarem tego wiosennego poranku. Zapomniałem już o Włochach, zapomniałem o sobie, zapomniałem o wszystkiem — żyłem cudem tej ziemi, miałem wiosnę w sercu, i wszystkie te barwy, drgnienia, śpiewy, zapachy, całe to przepotężne życie przyrody tętniło we mnie, było mną i ja byłem niem...

A ten wiośniany cud trwał i potężniał jeszcze.

Zaszumiały grusze na rozłogach i deszcz kwietnych listków sypał się na trawy i chwiał na źdźbłach, jak motyle.

A słońce podniosło się wysoko — było już na dwa, już na pięć chłopów i rozświetliło, rozłociło świat cały.

Zapachniały sady, podobne do kwietnych obłoków, zapachniały pola zielone, zapachniały łąki całe w kwiatów przepychu, zapachniała ziemia wczoraj zorana — i rozdzwonił i rozśpiewał się naraz świat barwami, życiem, radością, uniesieniem.

Wiosna śpiewała swój hymn tryumfu milionami głosów i szła przez ziemię barwna, radosna, dobroczynna i święta.

O Święta! śpiewał chaos splątanych głosów polnych.

Święta! dzwoniły strumienie kryniczne, śpiewały niezabudki, niebieskiemi oczami zapatrzone w toń migotliwą.

Święta! śpiewały żyta już w kłosach i szły całemi polami jakby ku słońcu i kłaniały się rytmicznie, jakby w dziękczynnej modlitwie.

Święta! śpiewały kwiaty łąk, wiśniowe gaje, skowronkowe głosy, szumy borów, zapachy ziemi, brzęki pszczół.

Święta! Święta! Święta! Dyszał cicho wietrzyk poranny i jak gospodarz tych pól nieobjętych, przebiegał je wzdłuż i wszerz — i gasił rosy, podnosił źdźbła ociężałe, rozdmuchiwał grzywy zbóż, otrząsał kwiaty, targał miękkimi kochającymi ruchami maćkowe grusze po miedzach, gonił się z potokami, zwiewał z kwiatów motyle — to tarzał się po drogach, wysuszał kałuże, to biegł w pola do uznojonych pracą ludzi, osuszał im czoła i świstał im w uszy: Święta! Święta.

A potem przyszło południe upajające, potężne żarem — i obezwładniło życie na chwilę.

A potem słońce opadało zwolna ogromne, ciężarne jutrem i kładło się tam, za bory, za ziemie dalekie.

A ziemia rozszalała w potędze istnienia, wezbrana sokami, nabrzmiała krzykiem radości — przycichać zaczynała, sennieć...

I szło wszystko ku odpocznieniu, ku ciszy wieczornych godzin, bo słońce zapadło zupełnie — świeciły tylko zorze ostatnie, i oczy stawów błyskały gdzieniegdzie, a od wiosek ostatnie gwary drżały, beczenia owiec, gęganie gęsi, zgubionych na

pastwiskach, to śpiew pastuchów na łąkach leciał po rosach.

A potem mrok, cisza i senność.

Tylko bzy zaczęły mocniej pachnieć i słowiki po gąszczach śpiewały czarowny hymn nocy wiosennej — hymn miłości.

SPIS RZECZY:

	Str.
O zmierzchu	1
Z pamiętnika	13
W jesienną noc	149
W porębie	165
Przy robocie	181
Venus	199
Legenda wigilijna	211
W głębiach	219
Dwie wiosny	235